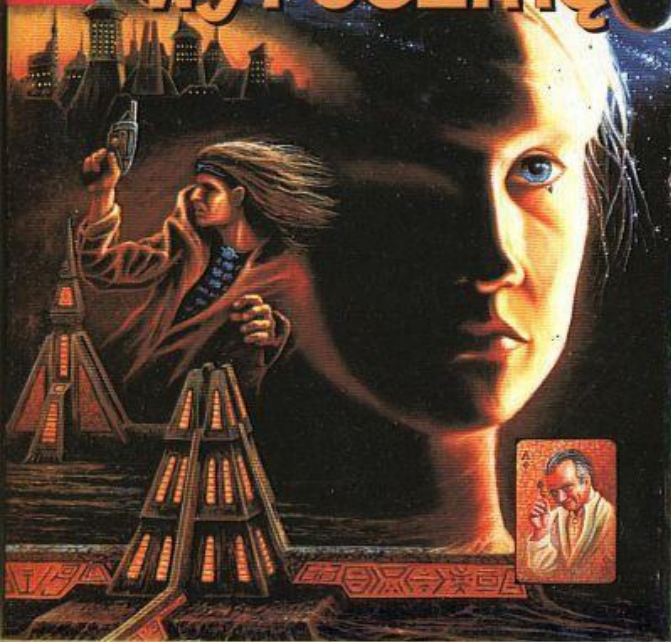


NOVA
Fantastyka

MIKE RESNICK

Wyrok na Wyrocznię



Mike Resnick

Wyrok na wyrocznię

Oracle

Przełożył: Juliusz Wilczur Garztecki

**Prószyński i S-ka
Warszawa 1996**

*Carol, jak zawsze.
A także Markowi
i Lynne Aronsonom,
bliskim przyjaciołom
przez połowę
mego życia.*

Spis treści

STRONA TYTUŁOWA

PROLOG

CZEŚĆ 1

1

2

3

4

5

6

7

8

CZEŚĆ 2

10

11

12

13

14

15

16

17

CZEŚĆ 3

19

20

21

22

CZEŚĆ 4

24

25

26

27

CZEŚĆ 5

[29](#)

[30](#)

[31](#)

[32](#)

PROLOG

Był to czas gigantów.

W rozrastającej się Demokracji rodu ludzkiego nie mieli dla siebie dość miejsca, by swobodnie oddychać i wykazać się siłą. Ciągnęły ich więc odległe, puste światy Wewnętrznej Granicy, przyciągały coraz bliżej jaśniejszego Jądra Galaktyki, jak płomień zwabia ćmy.

Och, mieścili się w ludzkich ciałach, przynajmniej większość z nich, niemniej byli gigantami. Nikt nie wiedział, dlaczego narodziło się ich aż tak wielu w tym właśnie momencie historii ludzkości. Kto wie, może potrzebnymi byli Galaktyce pełnej po brzegi małych Ludzi, owładniętych jeszcze mniejszymi marzeniami? Niewykluczone, że spowodowała to dzika wspaniałość samej Wewnętrznej Granicy, gdyż z pewnością nie była ona miejscem dla zwykłych mężczyzn i kobiet. A może, ponieważ w ostatnich tysiącach brakowało gigantów, zaczęli się znowu rodzić wśród Ludzi.

Niezależnie od powodu, dla którego się pojawili, dotarli poza najdalszy zasięg zbadanej Galaktyki, zanosząc nasienie Człowieka na setki nowych światów i równocześnie stwarzając cykl legend, które nie zaginą tak długo, jak długo Ludzie będą zdolni powtarzać opowieści o bohaterskich czynach.

Był więc Daleki Jones, który postawił stopę na ponad pięciuset nowych planetach, nigdy nie wiedział do końca, czego szuka, lecz zawsze miał pewność, że tego nie znalazł.

Był Gwizdacz, który nosił tylko to imię, i który zabił ponad stu Ludzi oraz kosmitów.

Była Piątkowa Nelli, która podczas wojny przeciw Settom przerobiła swój burdel na szpital, i wreszcie doczekała się tego, iż ci sami, którzy wcześniej próbowali zamknąć to miejsce, ogłosili je świątynią.

Był Dżamal, który nie zostawiał odcisków palców ani śladów stóp; rabował pałace, których właściciele po dziś dzień nie wiedzą, że zostali obrabowani.

Był Zakład-o-Planetę Murphy, który różnymi czasy posiadał dziewięć złotych planet i stracił je co do jednej przy stołach gry.

Był Ben Ami Łamacz Kręgosłupów idący w zapasy z niezemcami dla pieniędzy i zabijający Ludzi dla przyjemności. Był Markiz Queens-bury, który walczył nie stosując się do żadnych zasad i Biały Rycerz, albinos, zabójca pięćdziesięciu mężczyzn; Sally Klinga i Wieczny Chłopiec, który skończywszy dziewiętnaście lat, po prostu przestał się zmieniać przez

następne dwa stulecia; Baker Katastrofa, pod którego stopami trzęsły się całe planety, i egzotyczna Perła z Maracaibo; Szkarłatna Królowa, której grzechy przeklinały wszystkie rasy Galaktyki, i Ojciec Boże Narodzenie; Jednoręki Bandyta z morderczą protezą i Matka Ziemia; Jaszczurka Malloy i zwodniczo łagodny Cementarny Smith.

Giganci.

A jednak pojawił się ktoś, kto wyrósł ponad wszystkich, żonglował istnieniami Ludzi i planet jakby to były zabaweczki, napisał na nowo historię Wewnętrznej Granicy i Ramienia Spiralnego, a nawet samej wszechmocnej Demokracji. W różnych okresach swego krótkiego, burzliwego życia ten ktoś znany był jako Wróżbiarka, Wyrocznia i Prorokini. Gdy już zesza ze sceny galaktycznej, tylko garstka tych, co przeżyli, znała jej prawdziwe imię, planetę, z której pochodziła, a nawet początek jej historii.

CZĘŚĆ 1

KSIĘGA GWIZDACZA

Naprawdę nazywał się Carlos Mendoza, ale zwracano się do niego w ten sposób przed tak wielu laty, że prawie o tym zapomniał.

Tu, na Wewnętrznej Granicy, wśród rzadko rozsianej ludności planet, położonych pomiędzy rozpychającą się Demokracją Człowieka i Jądrem Galaktyki, ludzie zmieniali nazwiska z łatwością, a niekiedy tak często, jak ich bracia w Demokracji zmieniali ubrania. Podczas swych sześćdziesięciu pięciu lat życia Mendoza miał wiele profesji. O niektórych z nich wolałby sam zapomnieć, co do innych chciałby, aby zapomnieli o nich jego wrogowie. Miał też równie wiele imion, ale to, które do niego przyłgnęło, brzmiało: Lodziarz.

Byli ludzie, którzy twierdzili, że jest Lodziarzem, ponieważ niegdyś władał planetą całkowicie pokrytą grubym na miłę lodowcem. Inni nie zgadzali się z tym i uważali, że otrzymał swe imię, ponieważ potrafił zabijać z zimną krwią. Niektórzy, choć tych było niewielu, sugerowali, że opanowała go rzadka choroba. Stale obniżała się temperatura jego ciała, co groziło mu śmiercią, i właśnie z tego powodu osiedlił się wreszcie na gorącej, pustynnej planecie Ostatnia Szansa.

Lodziarza zupełnie nie obchodziło, co ludzie myślą o pochodzeniu jego imienia. Prawdę powiedziawszy w ogóle niewiele go obchodziło. Lubił oczywiście pieniądze oraz władzę, jaką dawało mu posiadanie Końca Trasy – jedynej tawerny na Ostatniej Szansie. Ale z biegiem lat większość rzeczy przestała go interesować. Oprócz plotek.

Górnicy, handlarze, badacze, awanturnicy i łowcy nagród zatrzymywali się na Ostatniej Szansie, by uzupełniać paliwo w swych statkach lub zaopatrzyć się w żywność, albo też zarejestrować swe prawa do złotodajnych działek, niekiedy zaś, by poczekać na pocztę lub nagrodę, którą tu w ślad za nimi skierowano. Przychodzili do Końca Trasy i opowiadali. Lodziarz nigdy nie zadawał pytań, nigdy nie podawał w wątpliwość informacji, ale słuchał z uwagą. Co jakiś czas trafiał mu się jakiś rodzynek, który na jego nieruchomej twarzy wywoływał przelotny błysk ożywienia. Wtedy znikał zazwyczaj na tydzień lub miesiąc, a potem powracał na Ostatnią Szansę tak nagle, jak niespodziewanie ją opuszczał. Siadał w barze i znów słuchał plotek, nowych opowieści o przygodach i

śmiałych wyczynach, o fortunach zdobytych i fortunach utraconych, o wygranych bitwach i upadłych imperiach – z twarzą pozbawioną wyrazu.

Ci, którzy go lubili, a niewielu było takich i rzadko się pojawiali, niekiedy zapytywali go, co właściwie spodziewa się usłyszeć? Co pragnie znaleźć, gdy odlatuje na swe sporadyczne wycieczki?

Grzecznie ignorował ich pytania, bo pomimo swej reputacji był człowiekiem dobrze wychowanym i wkrótce potem pytający widzieli go, jak siedział przy innym stole, wysłuchując opowieści kolejnego podróżnika.

Nie imponował posturą. Do średniego wzrostu brakowało mu cała czy dwu, miał ze trzydzieści funtów nadwagi, włosy przerzedzone na czubku głowy i bielejące na skroniach. Chodząc wyraźnie kulął; większość ludzi uważała, że ma protezę nogi, ale nikt i nigdy nie pytał go o to, a on sam milczał na ten temat. Głos miał ani donośny ani dźwięczny, ale gdy odzywał się na Ostatniej Szansie, brzmiał w nim ton tak władczy, że bardzo niewielu ludzi rzucało mu wyzwanie (nikt nie zdołał zrobić tego dwukrotnie).

Znano go na całej Wewnętrznej Granicy, ale nikt dokładnie nie wiedział, czego dokonał, że zdobył taki rozgłos. Oczywiście zabił kilku ludzi, ale to bynajmniej nie wystarczyło, by uzyskać aż taką reputację na rządzących się bezprawiem granicznych planetach. Krążyły plotki, że niegdyś pracował dla Demokracji, wykonując jakieś sekretne zadania, ale nic o nich nie wiadano. Jeden tylko raz, czternaście lat temu, znikł z Ostatniej Szansy na wiele miesięcy i krążyły wieści, że winien był śmierci niemałej liczby łowców nagród. Ale nikt nie zdołał tego zweryfikować, a szczegóły były tak mętne, że mało kto dawał wiarę tej opowieści.

Znalazła, się jednak pewna kobieta, która usłyszawszy to opowiadanie, uwierzyła w nie. Po wielu nieudanych próbach wytropiła go wreszcie w jego schronieniu na Ostatniej Szansie, odległej o pół Galaktyki od bogatych, gęsto zaludnionych planet Demokracji. Była w średnim wieku, miała niebieskie oczy i nie wyróżniające się niczym włosy, piaskowego koloru. Na grzbiecie nosa widniało niewielkie zgrubienie, jakby wiele lat temu został złamany, zęby zaś, zbyt białe i zbyt równe, chyba nie mogły być jej własnymi.

Gdy weszła do Końca Trasy, tawernę wypełniał zwyczajny tu tłum awanturników i nieudaczników, ludzi i kosmitów. Kosmici: siedmiu Canphorytów, para Lodinitów, dwóch Domarian i po jednym z trzech różnych ras, jakich nigdy w życiu nie spotkała, skupili się przy kilku małych

stoliczkach. Większość z nich nie mogła stawić tego, co proponowano w barze. Oczywiście więc było, że tylko czekają na otwarcie wielkiego kasyna, w którym znajdowały się dwa tuziny stołów i tyleż egzotycznych gier hazardowych. Nieduża wywieszka, z napisem w różnych językach ludzi i kosmitów ogłaszała, że ten szczęśliwy moment nastąpi z chwilą zachodu słońca.

Przy długim barze z liściastego drewna siedziało rzędem czterech mięsożernych kosmitów, mrużąc stłumione wyzwania. Dalej, tuż obok kasjera, w szklanej gablocie spoczywał wyświechtany egzemplarz poematu, napisanego przez Czarnego Orfeusza, barda Wewnętrznej Granicy, który stworzył i podpisał, gdy jakieś dwa wieki temu zatrzymał się na jeden wieczór na Ostatniej Szansie.

Dwudziestu ludzi, z których część ubrana była w odzież barwną i kosztowną, inni zaś w matowe brązy i szarości górników i poszukiwaczy cennych minerałów, stało przy barze lub siedziało przy stołach. Gdy kobieta weszła do tawerny, żaden z nich nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi. Rozejrzała się szybko, a potem podeszła do barmana.

– Poszukuję człowieka, znanego pod imieniem Lodziarz – oświadczyła. – Czy jest tutaj?

Barman skinął głową.

– O tam, siedzi przy oknie – odparł.

– Czy będzie ze mną rozmawiał?

– To zależy od jego humoru – zachichotał barman. – Ale wysłucha cię.

Podziękowała i podeszła do stołu Lodziarza, po drodze szerokim łukiem omijając kosmitów.

– Czy mogę się przysiąść? – zapytała.

– Proszę sobie przysunąć krzesło, pani Bailey – odrzekł.

– Wie pan, kim jestem? – zdziwiła się kobieta.

– Nie – odparł. – Ale znam pani nazwisko.

– Skąd?

– Musiała pani przedstawić się, prosząc o koordynaty do lądowania – powiedział Lodziarz. – Bez mojej zgody nikt nie ląduje na Ostatniej Szansie.

– Rozumiem – stwierdziła siadając. Popatrzyła na niego uważnie. – Nie mogę uwierzyć, że wreszcie pana znalazłam!

– Nie zgubiłem się, pani Bailey – odrzekł bezbarwnym głosem.: – Być

może nie, ale ja pana szukałam ponad cztery lata.

– A cóż jest aż tak ważnego, że spędziła pani cztery lata życia na próbach odnalezienia mnie?

– Nazywam się Bettina Bailey – zaczęła.

– Wiem.

– Czy to panu nie daje nic do myślenia?

– A powinno?

– Jeśli nazwisko Bailey nic panu nie mówi, zmarnowałam mnóstwo czasu.

– Nigdy nie słyszałem o Bettinie Bailey – odparł z rezerwą.

– Słyszałam opowiadania... a uczciwie mówiąc plotki... że mógł pan znać moją córkę.

– Proszę kontynuować – powiedział Lodziarz.

– Nazywa się Penelopa.

Lodziarz wyciągnął cygaretkę.

– Co pani słyszała?

– Słyszałam, że pan ją znał. – Bettina Bailey przerwała, uważnie przyglądając się twarzy Lodziarza. – Słyszałam nawet, że ona spędziła pewien czas na Ostatniej Szansie.

– Pani Bailey, to było czternaście lat temu – zauważył Lodziarz, zapalając cygaretkę. – Od tej pory nie widziałem jej. – Wzruszył ramionami. – Zdaje się, że ona już nie żyje.

Bettina Bailey wpatrywała się w niego bez zmużenia oka.

– Jeśli mówimy o tej samej dziewczynie, to wie pan, że to niemożliwe.

Lodziarz odpowiedział jej takim samym spojrzeniem. Wreszcie ponownie pyknął z cygaretki i kiwnął głową.

– Mówimy o tej samej dziewczynie.

– Teraz powinna mieć dwadzieścia dwa lata.

– To by się mniej więcej zgadzało – zgodził się Lodziarz. Bettina Bailey znów zamilkła.

– Słyszałam także inne plotki – powiedziała wreszcie.

– Na przykład?

– Że mieszka z kosmitami.

– Z kosmitą – sprostował Lodziarz. – Więc wie pan, gdzie ona jest? Zaprzeczył ruchem głowy.

– Wiem tylko, z kim była, gdy widziałem ją po raz ostatni.

– Słyszałam też, że spędził pan mnóstwo czasu szukając jej – kontynuowała Bettina Bailey.

Popatrzył na nią obojętnie i nie odpowiedział.

– I że wie pan o niej więcej, niż którykolwiek żyjący człowiek.

– To możliwe – zgodził się. – Więcej, niż możliwe. To fakt.

– Zgoda, to fakt. I co z tego?

– Chcę, by córka wróciła do mnie.

– Pani Bailey, przepraszam, że to wytknę, ale podjęcie tej decyzji zabrało pani dużo czasu.

– Szukałam jej przez szesnaście lat – przerwała. – Odebrano mi córkę w Demokracji. Demokracja obejmuje ponad dziesięć tysięcy planet. Odkrycie, że już jej tam nie ma, i że znajduje się na Wewnętrznej Granicy pochłonęło ponad dziesięć lat i większość pieniędzy mego zmarłego męża.

– Pani Bailey, ona znajdowała się na Wewnętrznej Granicy czternaście lat temu – stwierdził Lodziarz. – Teraz może być gdziekolwiek: na Wewnętrznej Granicy, na Skraju, w Ramieniu Spiralnym, na Zewnętrznej Granicy, nawet z powrotem w Demokracji. Dla kogoś z jej zdolnościami nie byłoby trudne ukryć się przed każdym, kto jej poszukuje.

– Ona jest na Zewnętrznej Granicy – powtórzyła zdecydowanie Bettina Bailey.

Patrzył na nią z nieukrywanym zainteresowaniem.

– Skąd pani wie?

– Jeśli zechce pan być ze mną otwarty i szczerzy, ja zachowam się podobnie – odrzekła. – W tej chwili musi pan uwierzyć na słowo, że wiem, gdzie ona jest.

Milczał długą chwilę.

– Zgoda – rzekł wreszcie. – Pani wie, gdzie ona jest. – I chcę, żeby do mnie wróciła.

– I chce pani, żeby córka do pani wróciła – powtórzył. – Czemu przyszła pani do mnie? Czemu nie pojedzie pani tam, gdzie ona jest i nie zabierze jej do domu?

– To nie takie proste – powiedziała. – Ona może mnie nie rozpoznać... A jeśli nawet rozpozna, to przez większość życia była z kosmitami. Może nie zechceć ze mną wrócić.

– Obecnie jest już pełnoletnia – stwierdził Lodziarz. – Wybór należy do

niej.

– Zgoda – powiedziała Bettina Bailey. – Ale chcę, żeby wybrała sama, z dala od wpływu kosmitów.

– Wiem tylko o jednym kosmicie.

– Nie. Ona jest na planecie kosmitów.

– Na której?

– Powiem panu, gdy zawrzemy umowę. – Jaką umowę? – spytał

Lodziarz.

– Chcę, by pan ją przywiózł do mnie.

– Jeśli uważa pani, że ona nie pojedzie z panią, czemu pani sądzi, że zgodziłyby się wrócić ze mną?

– Powiedziałam panu: przeprowadziłam na pana temat dokładny wywiad. Ma pan doświadczenie w zakresie załatwiania spraw z kosmitami oraz działania na Wewnętrznej Granicy. Jeśli będzie panu potrzebna pomoc, wie pan, gdzie ją znaleźć.

Lodziarz przyjrzał się jej z namysłem.

– Pani Bailey, to może być bardzo kosztowne. – Jak kosztowne?

– Milion talarów Marii Teresy teraz, drugi milion po wykonaniu roboty.

– Talarów Marii Teresy? – powtórzyła, marszcząc brwi. – Myślałam, że są w obiegu tylko w układzie Corvus. Dlaczego nie kredytów?

– Niezbyt tu wierzymy w długowieczność Demokracji, pani Bailey – odparł Lodziarz. – A jeszcze mniejszą wiarą darzymy jej walutę. Kredyty są nie do przyjęcia. Jeśli nie może pani zdobyć talarów Marii Teresy, przyjmę dwa miliony w rublach Nowostalinowskich.

– Dostanę talary – odrzekła. – Jak szybko?

– Mogę załatwić transfer tutaj w ciągu trzech dni.

– Wobec tego puszczę koła w ruch za trzy dni od dzisiaj – oświadczył

Lodziarz.

– Co pan ma na myśli mówiąc: puszczenie koła w ruch?

– Wybiorę tego, od którego zażądam, by odnalazł pani córkę.

– Ależ myślałam, że to pan pojedzie.

– Nie, pani Bailey, ona mnie zna... Nie sądzę, aby była szczęśliwa ujrzawszy mnie ponownie.

– Przecież ja wybrałam pana właśnie dlatego, że ona pana zna! – Jeśli chodzi o pani córkę nie jest to bynajmniej korzystne – odrzekł sucho.

– A więc, gdzie ona jest?

Bettina Bailey milczała chwilę. A potem wzruszyła ramionami. – Jest na Alfie Crepello III.

– Nigdy nie słyszałem o takiej planecie.

– To jest w Gromadzie Quinellus.

– Skąd ma pani pewność, że ona się tam znajduje? Bettina schyliła się ku niemu z poważną miną.

– Oboje wiemy, że moja córka ma rzadki talent.

– Słucham.

– Na Deluros VIII dotarła tajna wieść, że na Alfie Crepello III znajduje się osoba ludzka płci żeńskiej. Przekupiłam informatorów z rządu, aby poznać szczegóły. Wygląda na to, że nikt nie wie, czy ta kobieta jest zatrudniona przez kosmitów, zamieszkujących Alfę Crepello III, czy też pozostaje ich więźniem. Ale znana jest jako Wyrocznia. – Przerwała. – Gdybym miała Penelopie dać imię, nie mogłabym wybrać odpowiedniejszego.

– To wszystko, co pani wie? – zapytał Lodziarz. – Żadnego rysopisu? Żadnych wiadomości od niej lub kogokolwiek, kto miał z nią kontakt?

– Tylko to – stwierdziła Bettina Bailey. – Układ Alfa Crepello nie należy do Demokracji i prawie nie utrzymuje z nią kontaktów. Uzyskanie pewności, że Wyrocznia jest istotą ludzką zabrało mi prawie dwa lata, a potem minęły jeszcze dwa, zanim upewniłam się, że jest kobietą.

– Pani Bailey, czy wie pani, jakie są szanse, że to jest pani córka?

– Przez szesnaście lat gromadziłam te ułamki informacji – odrzekła. – Mogę umrzeć ze starości, nim uzyskam niezbity dowód. – Zamilkła na chwilę. – Czy umowa stoi?

Na mgnienie oka odmalowało się na jego twarzy zainteresowanie, które tak usilnie starał się ukryć. A potem, równie szybko, jego oblicze stało się kamienną maską.

– Umowa stoi – oświadczył Lodziarz.

Na mapach gwiazdnych nosiła nazwę Boyson III. Na miejscu znano ją jako Planetę Francuza. Na początku rosła tam dzika, nieposkromiona dżungla i było zatręśnienie egzotycznych zwierząt. Kiedy na planetę zawitał Człowiek, wybił większość zwierząt, wykarczował dżunglę i przekształcił ją w pola uprawne. Boyson III dostarczała więc żywność wszystkim położonym opodal planetom górniczym. Ale nim minęło dwadzieścia lat, obce wirusy zniszczyły importowane zwierzęta hodowlane, importowaną kukurydzę i pszenicę, a nawet hybrydowe zwierzęta i zboża. Po tym wszyscy koloniści wynieśli się gdzie indziej, a Boyson III powoli znów zaczęła porastać dżungla, co trwało sześć stuleci.

Wówczas przybył Francuz. Opowiadano, że zbierał obce zwierzęta dla ogrodów zoologicznych w Demokracji i że jako emeryt wycofał się na Boysona III, by przez resztę życia zajmować się łowiectwem. Na brzegu szerokiej rzeki wybudował rozległy biały dom, zaprosił paru przyjaciół, by się do niego przyłączyli, aż wreszcie wieść o polowaniach rozeszła się, co pozwoliło na utworzenie małego przedsiębiorstwa safari.

Wszystko to działo się ponad dwieście lat temu. Od tamtego czasu Planeta Francuza niezbyt się zmieniła, jeśli nie liczyć tego, że dzika zwierzyna została zdziesiątkowana, na miejscu zaś została tylko garsteczka przewodników, inni bowiem wyemigrowali na nowo otwarte planety, gdzie ich klienci mogli z mniejszym wysiłkiem pozyskać trofea łowieckie.

Oceniano, że jeśli chodzi o ludzi, to na Planecie Francuza na stałe mieszka ich obecnie najwyżej dwustu. Jeden z nich, o którym mówiono, że jest ostatnim człowiekiem urodzonym na tej planecie, wprowadził się do starego domu Francuza, koło rzeki zaś wybudował własne, prywatne ładowisko.

Nazywał się Jozue Jeremiasz Chandler. W młodości odnosił wielkie sukcesy jako myśliwy, ale na ścieżkach safari nie widziano go już prawie od dziesięciolecia. Znany był najpierw na Planecie Francuza, a potem na całej Wewnętrznej Granicy jako Gwizdacz, miał bowiem taki zwyczaj, że nim strzelił do zwierzyny, gwizdał, by zwrócić na siebie jej uwagę. Był człowiekiem niedostępnym, nawet tajemniczym, jego sprawy i myśli

należały tylko do niego. Na długi czas wyjeżdżał z planety, a niemal wszystkie konta bankowe zakładał na innych planetach. Nigdy nie przychodziły do niego przesyłki pocztowe ani radiodepesze, choć od czasu do czasu na jego prywatnym pasie obok rzeki lądował mały stateczek.

Tym, który pojawił się jako ostatni, był statek Lodziarza. Gdy przybysz ruszył długą, krętą ścieżką w stronę domu, stwierdził, iż poci się obficie w panującym tu upale i wilgoci; zdziwił się więc, że ktokolwiek chce mieszkać w takim otoczeniu. Otarł twarz chusteczką do nosa, wymierzył klapsa purpurowo-żółtemu owadowi, który przysiadł na jego szyi i ledwo udało mu się uniknąć nadeptnięcia na paskudnego, rogatego gada, który zasyczał na niego i pośpiesznie skrył się w gęstym podszyciu.

Wynurzywszy się z buszu, pokonał kamienne schody i stanął na obszernym pomoście, wybiegającym daleko w rzekę. W wodzie roiło się od żywych stworzeń: ogromnych torbaczy wodnych, delikatnych wodnych węży, długich i brzydkich gadów, a wszystko to pływało wśród rojowiska wielobarwnych ryb, trzymających się blisko powierzchni. Puszcze, porastającą teren wzdłuż rzeki, na przeciwległym brzegu wycięto, aby z pomostu można było przyglądać się roślinożercom, schodzącym do wodopaju. W tej chwili nisko nad wodą fruwały całe chmury motyli, a przez polanę maszerował metodycznie z tuzin ptaków, wydziobujących coś z ziemi, garstka ptactwa wodnego zaś brodziła na płycznach w poszukiwaniu małych rybek.

Lodziarz usłyszał, jak w ścianę wsuwają się szklane drzwi. W chwilę później wysoki, szczupły mężczyzna o kasztanowych włosach, zbliżający się do czterdziestki, wyszedł na pomost. Ubrany był w dość dziwny strój brązowego koloru, który wszędzie miał kieszenie. Jego oczy ocieniał przed blaskiem słońca szerokoskrzydły kapelusz.

- Widzę, że ci się udało – oświadczył Chandler w formie powitania.
- Trudno cię znaleźć, Gwizdaczu – stwierdził Lodziarz.
- Ty zdołałeś. – Chandler zrobił pauzę. – Masz ochotę na drinka?
- Proszę – skinął głową Lodziarz.
- Naprawdę powinieneś zapłacić mi za to – powiedział Chandler z uśmiechem rozbawienia, prowadząc gościa do wnętrza domu. – Nie przypominam sobie, abys na Ostatniej Szansie kiedykolwiek dał mi darmowego drinka.

– I nigdy sobie nie przypomnisz – stwierdził Lodziaz, odwzajemniając uśmiech Chandlera.

Pokój, w którym się znalazł, był obszerny, z chłodną kamienną posadzką, bielonymi ścianami i szerokimi okapami dla ochrony przed upałem. Stało tam parę wyściełanych foteli, pokrytych futrami miejscowych zwierząt; dywan z głowy i futra dużego mięsożercy, małe pudło na książki i taśmy, radiostacja podprzestrzenna oraz zegar, wykonany z jakiejś dziwnej, świetlistej substancji, która zdawała się wiecznie zmieniać barwy. Ściany zawieszono były oprawionymi listami gończymi, na każdym z nich widniał portret zbrodniarza, którego Chandler zabił lub schwytał.

– Interesujące trofea – zauważył Lodziaz, wskazując gestem plakaty.

– Najlepiej poluje się na ludzi – odrzekł Chandler. Wszedł za mały bar z liściastego drewna i otworzył chłodziarkę. – Co będziesz pił?

– Cokolwiek zimnego.

Chandler zmieszał dwa identyczne drinki i jeden z nich wręczył Lodziazowi.

– To powinno wystarczyć.

– Dziękuję – odparł Lodziaz i pociągnął wielki łyk.

– Klient nasz pan – stwierdził Chandler. Obrzucił Lodziarza baczny spojrzeniem. – Bo jesteś klientem, prawda?

– Potencjalnym. – Lodziaz popatrzył na drugi brzeg rzeki. – Czy nie masz nic przeciwko temu, byśmy wrócili na pomost? Podróż do ciebie jest tak miła, jak wrzód na dupie; ale gdy się człowiek tu wreszcie dostanie, jest naprawdę cudownie.

– Czemu nie? – zgodził się Chandler, prowadząc go ponownie na pomost.

– To bardzo wygodnie: stanąć tu sobie i ustrzelić coś na obiad – kontynuował Lodziaz.

– Nie mam pojęcia – wzruszył ramionami Chandler. – O?

– Nigdy nie poluję w promieniu pięciu mil od domu. Nie chcę wystraszyć zwierzyny. – Przerwał. – Są zwierzęta do jedzenia, są dla sportu, a niektóre do oglądania. Te są do oglądania.

– Wiesz – zauważył Lodziaz – właśnie przyszło mi do głowy, że nie widziałem tutaj żadnej broni.

– Och, jest tu broń – zapewnił go Chandler. – Ale nie myśliwska. Biały ptak o delikatnej budowie wylądował na grzbiecie jednego z wodnych

torbaczy i zaczął mu wydziobywać insekty z głowy.

– Zawsze tęsknię do tego miejsca, gdy jestem z dala od niego – powiedział Chandler, stając na skraju pomostu i patrząc na rzekę. – Jeśli wezmę to zadanie, na jak długo wyruszę?

– Nie będę cię okłamywał – odpowiedział Lodziarz. – Ta robota nie jest ani łatwa, ani szybka.

– Jakie są wymagania? – zapytał Chandler, sącząc drinka.

– Jeszcze nie wiem.

Chandler uniósł jedną brew, ale milczał.

– Czy słyszałeś kiedykolwiek o Penelopie Bailey? – kontynuował po chwili Lodziarz.

– Myślę, że wszyscy musieli o niej słyszeć, jakieś dziesięć czy piętnaście lat temu – odpowiedział Chandler. – Ofiarowywano za nią cholerną nagrodę.

– To ona.

– Jeśli dobrze pamiętam, chcieli ją złowić wszyscy: Demokracja, kosmici, nawet jacyś piraci. Nigdy nie dowiedziałem się, co się z nią stało, tyle tylko, że pewnego dnia banda łowców nagród nie żyła, a potem nikt jakoś nie interesował się nagrodą. – Odwrócił się do Lodziarza. – Krążyły też pogłoski, że ty byłeś w to zamieszany.

– Byłem.

– O co szło w tej całej awanturze? – spytał Chandler. – Gonili ją setki ludzi, ale nikt nigdy nie powiedział, czemu mała dziewczynka warta jest pięć czy sześć milionów kredytów.

– Ona nie była, ściśle rzecz biorąc, taką normalną, przeciętną dziewczynką – powiedział kwaśnym tonem Lodziarz.

Z jednej ze swych kieszeni Chandler wyjął parę kawałków suchego chleba i położył je na barierce, a potem patrzył, jak trzy barwne ptaki opadły, złapały chleb i odleciały ze zdobyczą.

– Jeśli chcesz, abym ją znalazł i przywiózł, będziesz musiał powiedzieć mi, z jakiego powodu wyznaczono za nią tak dużą nagrodę – stwierdził w końcu.

– Powiem – odrzekł Lodziarz, łykając drinka. – A ty nie musisz jej szukać.

– Wiesz, gdzie ona jest?

– Może.

– Albo wiesz, albo nie.

– Wiem, gdzie znajduje się osoba, po którą cię wysyłam – odparł Lodziarz. – Nie wiem, czy to Penelopa Bailey.

– Czy rozpoznałbyś Penelopę Bailey, gdybyś ją zobaczył? – zainteresował się Chandler.

– To działo się dawno temu, a ona jest teraz dorosłą kobietą – powiedział Lodziarz. – Z ręką na sercu nie wiem, czy bym ją rozpoznał.

– To skąd będziesz wiedział, czy przywoziłem tę kobietę, co trzeba?

– Są sposoby, by to sprawdzić. – Lodziarz przerwał. – Ale jeśli ona jest Penelopą Bailey, istnieje wszelkie prawdopodobieństwo, że nie zdołasz jej przywieźć.

Chandler podniósł głowę i spojrzał w niebo, które nagle pokryły chmury.

– O tej porze każdego popołudnia pada deszcz – obwieścił. – Wejdźmy do środka, usiądźmy sobie wygodnie, a ty mi wszystko wyłożysz.

Poprowadził Lodziarza z powrotem do domu, kazał szklanym wrotom zasunąć się i skierował się ku dwóm rzeźbionym fotelom z drewna przykrytym futrami jakichś niebieskoscórych zwierząt.

– Dobra – powiedział, gdy usadowili się obaj. – Słucham.

– Kiedy spotkałem Penelopę Bailey, miała osiem lat – zaczął Lodziarz. – Demokracja odebrała ją rodzicom, gdy miała pięć albo sześć, a jakiś kosmita ukradł dziewczynkę Demokracji. W chwili, gdy się na nią natknąłem, była w towarzystwie kobiety, która kiedyś dla mnie pracowała.

– Dlaczego Demokracji zależało na Penelopie? – spytał Chandler.

– Posiada ona dar, talent jeśli wolisz, który chcieli wykorzystać. – Jaki?

– Prekognicji.

– Chcesz powiedzieć, że potrafiła przepowiadać przyszłość?

– To nie takie proste. Ona potrafi widzieć niemal nieskończoną liczbę możliwych wariantów przyszłości i manipulować wydarzeniami w taki sposób, że urzeczywistniają się te, które są dla niej najkorzystniejsze.

Chandler wpatrywał się w Lodziarza długą chwilę.

– Nie wierzę w to – oświadczył w końcu.

– To prawda. Widziałem ją w działaniu.

– Więc dlaczego nie została królową całego cholernego wszechświata?

– Gdy spotkałem ją po raz pierwszy, potrafiła zobaczyć tylko te warianty przyszłości, w których groziło jej niebezpieczeństwo. W chwili, gdyśmy się rozstawali, dostrzegła już rezultaty wszystkiego, od rozdania kart w pokera do walki rewolwerowców i mogła manipulować wydarzeniami, aby toczyły się w sposób, jakiego sobie życzyła... Ale jej wiedza o przyszłości nie sięgała dalej niż na kilka godzin naprzód. – Przerwał. – Gdyby jej talent nie rozwijał się dalej, dzięki niemu mogłaby stać się bardzo bogatą i potężną kobietą. Ale w wielkiej skali nie liczyłaby się wcale.

– I sądzisz, że jej talent nadal dojrzewał? – Chandler rzucił retoryczne pytanie.

– Nie wiem, czemu nie miałyby tak być – odrzekł Lodziarz. – W czasie gdy ją znałem, rozwijał się z dnia na dzień.

– Zdumiewa mnie, że nie próbowałaś jej zabić.

– Próbowałem. – Poklepał swą protezę nogi. – Oto, co zyskałem za moje trudy.

Chandler kiwnął głową, ale nic nie powiedział.

– Kiedy ją widziałem po raz ostatni, była w towarzystwie kosmity zwanego Nibyzółwiem... Przysięgłbym, iż tak właśnie wyglądał... sądzę, że od tej pory żadna istota ludzka jej nie widziała.

– Dlaczego poszła z kosmitą?

– Ponieważ to coś czciło ją jak bóstwo i było przekonane, że gdy Penelopa rozwinie swój talent, powstrzyma Demokrację przed wchłonięciem jego planety.

– Czy dziewczyna jest na jego planecie? – zapytał Chandler.

– Nie. Byłem tam dwukrotnie i nie znalazłem po nich śladu.

– Więc to tam latasz, gdy cię nie ma na Ostatniej Szansie – stwierdził bez zdziwienia Chandler. – Polujesz na Penelopę Bailey.

– Na nic to się zdało. – Lodziarz skrzywił się i dokończył drinka.

– Myślę, że nikt nie umie się lepiej ukryć niż kobieta, która potrafi widzieć wszystkie warianty przyszłości.

– Więc w jaki sposób ją znalazłeś? – zainteresował się Chandler.

– Nie znalazłem – odparł Lodziarz. – Ale tydzień temu zgłosiła się do mnie kobieta, podająca się za matkę Penelopy. Uważa, że wie, gdzie jest dziewczyna i wynajęła mnie, bym ją sprowadził.

– Podająca się? – powtórzył Chandler. – To ciekawy dobór słów.

– Łgała od początku do końca.

– Czemu tak myślisz?

– Wiedziała o rzeczach, których znać nie powinna.

– Na przykład?

– Wiedziała, że Penelopa uciekła z kosmitą... a tylko około dziesięciu osób na planecie zwanej Przystań Śmierci wiedziało o tym. Wiedziała, że jej szukam... a ja nigdy i nikomu o tym nie mówiłem.

– Przerwał. – Wiedziała, że poszukuje Lodziarza, a nie Carlosa Mendozy.

– Pracuje dla Demokracji, to oczywiste. Lodziarz potwierdził skinieniem głowy.

– Nikt inny nie miałby dość środków, aby szpiegować mnie przez czternaście lat.

– Więc tropiłeś ją przez czternaście lat... – zaczął Chandler.

– Szesnaście – sprostował Lodziarz.

– Zgoda, szesnaście. To dlaczego zgłosili się do ciebie dopiero teraz?

– Bo myślałem, że ją znaleźli.

– To nie wystarczy – odrzekł Chandler. – Czemu skłamali? A, co ważniejsze, jeśli ją znaleźli, dlaczego sami się nią nie zajmą?

– Jestem pewien, że posłali po nią swych najlepszych ludzi i ponieśli porażkę. Inaczej nie zgłosiliby się do mnie – odparł Lodziarz. – Natomiast nader proste jest wytłumaczenie tego, czemu przystali kogoś, udającego matkę Penelopy: Wewnętrzna Granica nie podlega Demokracji, oni zaś nie wiedzą, czy byłbym skłonny im dopomóc. A poza tym – dodał – czternaście lat temu zabiłem paru ich łowców nagród.

– Dlaczego chciałeś ją ocalić od bandy łowców nagród?

– Oni nie stanowili dla niej ani przez chwilę zagrożenia – odrzekł Lodziarz. – Próbowałem ocalić kogoś innego, kto z nią był. – Przerwał. – Nie udało się.

– Z tego co mówisz, Penelopa Bailey przedstawia się jako istota przeraźliwie groźna.

– Bo tak jest – zapewnił go Lodziarz. – Nie wątp w to ani przez chwilę.

– Gdzie ona jest?

– Na planecie zwanej Alfa Crepello III w Gromadzie Quinellus.

– I są tego pewni? Lodziarz potrząsnął głową.

– Tak myślą, choć nie są pewni.

– Dlaczego tak myślą?

– Jest tam podobno młoda kobieta znana jako Wyrocznia, mieszka wśród kosmitów. – I to wszystko?

– Zapewne nie – powiedział Lodziarz. – Prawie na pewno nie. Ale tyle tylko mi powiedziano.

– Niezbyt wiele, by zaczynać robotę – orzekł Chandler. – A jak sądzisz, co przemilczeli?

– Zapewne coś, co dotyczy liczby ludzi, których tam wysłali, i o których nigdy więcej nie usłyszeli. Tego rodzaju okoliczność dałaby im pewność, że się nie pomylili, a także odstraszyłaby wszystkich potencjalnych najemników.

Chandler milczał przez długą chwilę. Wreszcie popatrzył na Lodziarza.

– Mam do ciebie pytanie.

– Mianowicie?

– Ta mała dziewczynka kosztowała cię nogę i zabiła twoją przyjaciółkę.

– Nie bezpośrednio.

– Dlaczego nie zapolujesz na nią sam?

– Mam sześćdziesiąt pięć lat, brzusek i sztuczną nogę – odparł Lodziarz. – Jeśli to naprawdę jest Penelopa Bailey, będę martwy, nim zdołam się do niej zbliżyć. Może potrafiłbym to zrobić dwadzieścia lat temu, ale nie teraz. – Spojrzał Chandlerowi w oczy. – Dlatego przyszedłem do ciebie, Gwizdaczu... Ze wszystkich ludzi w tym zawodzie jesteś chyba najlepszy. Wkradłeś się potajemnie na pół tuzina planet i jesteś lepszym zabójcą, niż ja byłem kiedykolwiek.

– Czyją można zabić? Lodziarz wzruszył ramionami.

– Nie wiem.

– O jakich pieniądzach mówimy?

– Pół miliona z góry, drugie pół po ukończeniu roboty.

– Kredytów? – spytał, krzywiąc się, Chandler.

– Talarów Marii Teresy. Chandler skinął głową.

– Limit czasu?

– Jeśli nie dotrzesz do niej w ciągu sześciu miesięcy, nigdy tego nie dokonasz.

– Co będzie, jeśli wrócę z pustymi rękami?

– Jeśli przyjmiesz zadanie, zaliczka jest twoja bez względu na to, co

się zdarzy – oświadczył Lodziarz.

– Czy twoja klientka zgodzi się na to?

– Biorąc pod uwagę, że nie jest naprawdę Bettiną Bailey, nie sądzę, by miała jakikolwiek wybór.

– A co z wydatkami? – spytał Chandler.

– Przy zaliczce pół miliona nie pokrywam żadnych.

– Może się zdarzyć, że podczas roboty będę musiał wynająć kogoś do pomocy.

– Nie radziłbym – stwierdził Lodziarz.

– Dlaczego?

– Im mniej uwagi zwrócisz na siebie, tym prawdopodobniejsze jest, że wyjdiesz z tego żywy.

– Mogę zechcieć wynająć jakichś ludzi, by odwrócić uwagę od siebie.

– To twoje prawo. – Lodziarz popatrzył na niego z namysłem. – Jeśli odniesiesz sukces i będziesz mógł udowodnić, że ich potrzebowałeś, otrzymasz zwrot kosztów.

– A co ty będziesz z tego miał?

– Pieniądze, satysfakcję, zemstę... wybierz, co chcesz.

– Wybieram wszystkie trzy – uśmiechnął się Chandler. – Czy na tamtej planecie mówią choć trochę jakimś ludzkim językiem?

– Nie wiem... ale wedle moich map gwiazdnych są tam trzy terraformowane księżycy, zamieszkane przez ludzi. To twoje logiczne miejsce startu.

– Czemu nie podejść wprost do niej?

– Gdyby bezpośrednio podejście dało wyniki, Demokracja nie szukałaby mnie – odrzekł Lodziarz. – Weźmiesz tę robotę?

Chandler przez chwilę zastanawiał się nad propozycją, a potem skinął głową.

– Taa, wezmę ją.

– Dobrze – powiedział Lodziarz. – Jeśli okaże się, że Wyrocznia nie jest Penelopą Bailey, przywieź ją.

– A jeśli to jest Penelopą Bailey?

– Gdy tylko się upewnisz, znajdź sposób, by mnie zawiadomić. Nie ma możliwości, abyś ją tu przywiózł, jeśli ona nie zechce pojechać, więc zabij ją, jeśli zdołasz. Jeśli nie dostanę w ciągu sześciu miesięcy

wiadomości od ciebie, będę wiedział, że nie żyjesz.

– Chciałeś powiedzieć, iż zaczniesz przypuszczać, że nie żyję.

– Powiedziałem to, co chciałem powiedzieć – odrzekł poważnie

Lodziarz.

Radio ożyło z piskiem.

– Znajdujesz się obecnie w systemie Alfa Crepello – powiedział mechaniczny głos. – Proszę się przedstawić.

– Tu Gamestalker, numer rejestracyjny 237H8J99, po ośmiu standardowych galaktycznych dniach podróży z Planety Francuza, dowódca Jozue Jeremiasz Chandler.

– Gamestalker, w rejestrach nie figuruje Planeta Francuza. – Jest to trzecia planeta w układzie Boyson na Wewnętrznej Granicy.

Nastąpiło krótkie milczenie.

– Gamestalker, w jakim celu przybyłeś do układu Alfa Crepello?

– Biznes.

– Proszę powiedzieć coś więcej.

– Jestem sprzedawcą.

– Co sprzedajesz?

– Rzadkie znaczki pocztowe i monety.

– Czy masz potwierdzone spotkanie z którymkolwiek z mieszkańców układu Alfa Crepello?

– Tak.

– Z kim jest to spotkanie?

– Z Carlosem Mendozą – odrzekł Chandler, podając pierwsze nazwisko, które przyszło mu do głowy. – Sądzę, że mieszka on na Alfie Crepello III.

Kolejne milczenie.

– Nie mamy zapisu, by jakikolwiek Carlos Mendozą mieszkał na Alfie Crepello III. Czy Carlos Mendozą jest człowiekiem?

– Tak.

– Nie mieszka na Alfie Crepello III – powiedział głos tonem rozstrzygającym wszelkie wątpliwości.

– To może jest po prostu z wizytą – powiedział Chandler. – Wiem tyle tylko, że miałem go tu spotkać.

– Układ Alfa Crepello nie należy do Demokracji – stwierdził głos. – Nie mamy z Demokracją traktatu o handlu wzajemnym, nie mamy z Demokracją traktatów wojskowych i nie uznajemy paszportów Demokracji.

Nikt nie może lądować na Alfie Crepello III bez specjalnego zezwolenia rządu, a takie pozwolenie rzadko bywa wydawane członkom twojej rasy. – Nastąpiła krótka przerwa. – Możesz wylądować na którymkolwiek z terraformowanych księżyców Alfę Crepello III, ale jeśli spróbujesz wylądować na samej planecie, zostaniesz uwięziony, a twój statek skonfiskowany.

– Dziękuję – powiedział Chandler. – Gamestalker bez odbioru.

Lodziarz powiedział mu, że nie dostanie zezwolenia na lądowanie na samej planecie, więc odmowa ani go nie zaskoczyła, ani nie rozczarowała. Westchnął, przeciągnął się i spojrzął na ekran wewnętrzny.

– Wyświetl hologramy, mapy oraz odczyty na temat terraformowanych księżyców Alfę Crepello III – zwrócił się do komputera.

– Wykonuję... wykonane... – zawiadomił go komputer pokładowy.

Były trzy: Przystań Maracaibo, Przystań Samarkanda i Przystań Marrakesz. Każda z nich niegdyś posiadała bogate złoża materiałów rozszczepialnych i prawie dwa tysiące lat temu została terraformowana przez dawno zmarłą Republikę. Mieszkańcy Alfę Crepello III sprzeciwiali się temu i Marynarka pokonała ich w krótkiej, lecz zaciętej bitwie. Potem, gdy następcą Republiki stała się Demokracja, Alfa Crepello III, którą ambasador rasy ludzkiej nazwał Hadesem z powodu jej czerwonej gleby i niewiarygodnie gorącego klimatu, odmówiła pozostania aktywnym członkiem wspólnoty galaktycznej i zerwała wszelkie więzi z sąsiednimi planetami, także z Deluros VIII – ogromną, odległą planetą, która stała się stolicą rasy Człowieka. Ponieważ w tym czasie księżyce wyeksploatowano już praktycznie z surowców górniczych, a Człowiek musiał radzić sobie z pilniejszymi podbojami i problemami, pozwolono Hadesowi, by robił, co mu się żywnie podoba.

Trzy księżyce dla mieszkańców Hadesu nie miały znaczenia lub co najwyżej niewielkie. Gdy wyjechali górnicy, wprowadzili się tam ludzie, poszukujący planet, które nie miałyby oficjalnych więzi z Demokracją. Hades początkowo sprzeciwiał się temu, ale perspektywa nowej wojny przekonała jego mieszkańców, by przyjęli formę łagodnego lekceważenia księżyców oraz ich nowych kolonistów. Mijały wieki, a księżyce stopniowo stały się punktami przerzutowymi czarnorynkowych towarów, azylem dla ludzi wyjętych spod prawa, miejscem spotkań najemników oraz kanałem pomiędzy wolnymi planetami Gromady Quinellus i podporządkowanymi

planetami rozległej Demokracji ludzi.

– Ilu ludzi rezyduje na każdym z terraformowanych księżyców? – zwrócił się Chandler do komputera.

– 126 214 na Przystani Maracaibo, 18 755 na Przystani Samarkanda i 187 440 na Przystani Marrakesz – odparł komputer. – Dane te są ściśle w odniesieniu do ostatniego spisu ludności, który miał miejsce siedem lat temu.

– Jakie waluty są w obiegu na każdym z księżyców?

– Przyjmowane są wszelkie, jakimi posługują się ludzie, będące w obiegu w obrębie Demokracji i na Wewnętrznej Granicy, oraz waluty Hadesu, Canphora VI, Canphora VII i Lodina XI. Wartość każdej z nich ustalana jest zgodnie z kursem wymiennym kredytów Demokracji, obowiązującym na Deluros VIII.

– Proszę podać dane klimatyczne i grawitacyjne.

– Wszystkie trzy księżyce zostały terraformowane przez ten sam Zespół Pionierów Republiki i mają identyczny zarówno klimat, jak i grawitację – odrzekł komputer. – Grawitacja wynosi 98 procent grawitacji ziemskiej i Deluros, temperatura jest stała i wynosi 22 stopnie Celsjusza w dzień i 17 stopni Celsjusza w nocy, atmosfera jest taka sama jak na Ziemi i na Deluros.

– Czy na wszystkich znajdują się kosmoporty?

– Księżyce mają kosmoporty dla statków klasy H i mniejszych. Większe statki muszą dokować w orbitujących hangarach.

– To nie stwarza większych możliwości wyboru – zauważył Chandler.

Ponieważ nie było to ani pytanie, ani polecenie, komputer nie odpowiedział.

– Który jest najbliższy Hadesu?

– Przystań Marrakesz.

– W porządku – powiedział Chandler. – A więc do Przystani Marrakesz.

Łądowanie odbyło się bez szczególnych wrażeń i wkrótce potem Chandler szedł przez zatłoczony dworzec kosmiczny. Tu i ówdzie zauważył parę twarzy, zapamiętanych z listów gończych, ale nie zwrócił na nie uwagi, chcąc jedynie przedostać się do głównego wyjścia... Znalazszy się na zewnątrz, przywołał taksówkę, która zawiozła go do serca pobliskiego miasta; jeśli się dobrze orientował, jedynego. Budynek ozdobiono licznymi

egzotycznymi arkadami, a większość z nich pobielono. Nie wiedział, jakie jest pochodzenie nazwy „Marrakesz”, ale przyjął, że jest to miasto położone gdzieś w Galaktyce, bardzo podobne do tego, w którym się teraz znalazł: architektura była zbyt jednolita i zbyt odmienna od tych, które oglądał na innych planetach. Musiała więc zostać starannie zaplanowana.

– Dokąd teraz? – zapytał kierowca, gdy znaleźli się w zatłoczonym centrum miasta.

– Nigdy jeszcze tu nie byłem – odrzekł Chandler. – Czy możesz polecić mi jakiś hotel?

– Z, czy bez?

– Z czym lub bez czego?

Kierowca wzruszył ramionami.

– O czym tylko byś zamarzył: kobiety, mężczyźni, narkotyki, hazard, cokolwiek sobie życzysz.

– Myślę, że bez.

– To może być odrobinę trudniejsze. Wiesz, to nie Demokracja

– uśmiechnął się szeroko kierowca.

Chandler pochylił się w jego stronę i wręczył pięćdziesięciokredytowy banknot.

– Może mógłbyś mi coś podpowiedzieć? – zaproponował.

– Masz pragnienie?

– A powinienem?

– Mogę ci poradzić o wiele lepiej, gdy moje usta nie wyschną w połowie drogi.

– Już ci dałem pięćdziesiąt kredytów. Możesz sobie postawić drinka, gdy skończymy.

– Już popełniłeś kilka błędów – powiedział znacząco kierowca.

– Mogę ci o nich opowiedzieć, gdy będziemy popijali, albo może wolisz nauczyć się wszystkiego na własnej skórze.

– Nagle poczułem pragnienie – oświadczył Chandler.

– Myślałem, że tak będzie – zachichotał kierowca. – A przy okazji: nazywam się Gin.

– Tylko Gin?

– Moje imię Gin, napojem moim gin, moje imię Gin – zanucił kierowca.

– Okay, Gin – zgodził się Chandler. – Jak uważasz, gdzie powinniśmy

wypić tego drinka?

– Już się tam kieruję – oświadczył Gin. – Lokal nie jest szczególnie wytworny, ale nie rozcieńczają tam gorzały, a goście zostawią nas w spokoju.

Chandler rozparł się wygodnie obserwując miasto, przez które mknął wehikuł. Większość budynków stała tu od setek lat, oprócz kilku pałaców w śródmieściu naprawdę wyglądały na swój wiek. Miasto robiło wrażenie zaniedbanego, jakby większość mieszkańców znalazła się tu tylko przejazdem. Hotelików i pensjonatów było znacznie więcej, niż kamienic mieszkalnych; wszędzie panoszyły się restauracje i bary, jakby nikt nie jadał ani nie pił w domu. Ponure otoczenie oraz potężny cień, jaki Hades rzucał na powierzchnię księżyca sprawiały, że panował tu wszechobecny nastrój przygnębienia.

– Oto jesteśmy – oznajmił Gin, zatrzymując się przed frontem tawerny, na oko niczym nie różniącej od czterech innych znajdujących się w pobliżu.

– Prowadź – polecił Chandler, wysiadając z pojazdu.

Poszedł w ślad za Ginem i zaraz znalazł się w słabo oświetlonym wnętrzu. Było tam ze dwa tuziny stołów i łóż, połowa z nich pusta, druga zajęta przez ludzi i kosmitów, rozmawiających przyciszonymi głosami. W jednym kącie znudzona kobieta z bardzo zmęczonym wyrazem twarzy bez zapalu robiła striptiz w rytm dźwięków muzyki mechanicznej; Lodinita obserwował ją jakby była rzeczą, natomiast nikt z pozostałych gości nie zwracał na kobietę najmniejszej uwagi.

– Czy tu ci odpowiada? – spytał Gin, wskazując łóżę najdalszą od drzwi.

– Świetnie – odrzekł Chandler.

Usiedli razem, a Gin podniósł rękę i dał w powietrzu szybki sygnał. W chwilę później podszedł otyły kelner, niosąc dwa drinki zabarwione na zielono.

– Co to takiego? – zapytał Chandler, patrząc ze zmarszczonymi brwiami na szklanke.

– Na Binderze X nazywają to Pogromcą Kurzu. Tutaj jest to Numer Piąty.

– Co zawiera?

– Masę różności, większość z nich dobrze ci posłuży – odrzekł Gin, unosząc szklanke i opróżniając ją jednym haustem.

Chandler podniósł swoją, przyglądał się jej przez chwilę, a potem spróbował.

– No i? – zapytał Gin.

– Może być.

– Do cholery, najlepszy drink, jaki kiedykolwiek piłeś, i tyle tylko masz do powiedzenia?

– To ty miałaś pragnienie. Ja przyszedłem tutaj porozmawiać.

– Zgadza się – potwierdził Gin, prosząc o następnego drinka. – Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe – powiedział – ale gadanie okropnie wysusza gardło.

– Mam przeczucie, że wszystko, co robisz, okropnie wysusza – rzekł zgrzyliwie Chandler.

– Skoro tak uważasz... – odrzekł Gin i roześmiał się. – A nawiasem mówiąc, nazywasz się jakoś?

– Chandler.

– Okay – rzekł wzruszając ramionami Gin. – Na twoim miejscu zmieniłbym nazwisko.

– Dlaczego?

– Po co ogłaszać, że Gwizdacz przybył na Przystań Marrakesz?

– W Galaktyce jest mnóstwo Chandlerów. Czemu sądzisz, że jestem Gwizdaczem?

– Ilu Chandlerów wychodzi z kosmoportu mając przy sobie pięć ukrytych sztuk broni palnej oraz nóż? – Gin wyszczerzył zęby. – To był twój pierwszy błąd. Moja taksówka ma system bezpieczeństwa, który wyświetla dane na desce rozdzielczej.

– Wiem – odrzekł spokojnie Chandler. – Zauważyłem to w tej samej chwili, gdy otworzyłeś dla mnie drzwiczki.

– Doprawdy? Chandler kiwnął głową.

– Uznałem, że to dla twojej własnej ochrony. Bo przecież gdyby przywóz broni był tutaj zakazany, zatrzymałoby mnie Bezpieczeństwo Kosmoportu.

– To by się zgadzało – potwierdził Gin. – Ale istnieją przecież metody na wylądowanie tutaj w sposób niezauważalny. Rano wszyscy będą wiedzieć, że Gwizdacz jest na Przystani Marrakesz.

– Zamierzasz im powiedzieć?

– Nie muszę. Do tej pory ktoś z Bezpieczeństwa Kosmoportu sprawdził numer rejestracyjny twego statku albo przepuścił przez komputer

twój retinogram, albo po prostu cię rozpoznał. Szczególnie, jeśli podałeś nazwisko Chandler.

– Więc wiesz, kim jestem – stwierdził Chandler. – No i co? Z tego co słyszałem, to miejsce jest nafaszerowane zabójcami i jeszcze gorszymi typami.

– Nie przyleciałeś tutaj dla zdrowia – zwrócił uwagę Gin. – Wiem o tobie wszystko: gdy pojawia się Gwizdacz, ludzie zaczynają umierać.

– Nie poluję na nikogo z Przystani Marrakesz. Gdyby tak było, nikt by nie wiedział, że tu jestem.

– Wierzę ci – powiedział Gin. A po chwili zastanowienia zapytał: – Więc co tutaj robisz?

– To ty masz odpowiadać na pytania, nie ja – oświadczył Chandler. – Co według ciebie było moim następnym błędem?

– Zapytałeś mnie o hotel. – Gin uśmiechnął się. – Mało sprytnie. Zabójca nie powinien zawiadamiać ludzi, że przybył do miasta, a jak wszyscy diabli nie powinien dawać ludziom wskazówek, gdzie się zatrzymał.

– Dlaczego? – zapytał Chandler.

Gin zagapił się na niego.:

– Chyba chcesz, aby ludzie wiedzieli, że tu jesteś.

– Zgadza się.

– Wobec tego musisz polować na kogoś z Przystani Samarkanda albo z Przystani Maracaibo. – Zmarszczył brwi. – Ale to nie ma żadnego sensu. Po co miałbyś lądować tutaj?

– Po co wylądowałem tutaj, to tylko i wyłącznie moja sprawa – stwierdził Chandler w chwili, gdy kelner podszedł z kolejnym drinkiem dla Giną.

– Gwizdacz, czy aby na pewno nie chcesz mi powiedzieć, na kogo polujesz? Mam bardzo dobre kontakty. Być może zdołam ci pomóc – przerwał i uśmiechnął się – w zamian za niewielkie wynagrodzenie.

– Nie poluję na kogoś, poluję na coś: informację, pamiętasz? Gin westchnął.

– Niech ci będzie. Ja tylko próbowałem pomóc.

– Nie próbujesz dość usilnie – stwierdził Chandler. – Siedzimy tu od dziesięciu minut i niewiele mi powiedziałaś.

– Co chcesz wiedzieć?

Tak naprawdę Chandlerowi potrzebna była tylko jedna informacja: jak dostać się na Hades. Ale następne pół godziny spędził zadając liczne pytania na temat Przystani Marrakesz. Pod koniec wiedział więcej o miejscowym handlu narkotykami, prostytutce i towarach czarnorynkowych, niż w ogóle pragnął się dowiedzieć.

– Wygląda ciekawie – oświadczył na koniec. – Na Wewnętrznej Granicy interesy kiepsko idą. Zastanawiam się nad otwarciem przedsiębiorstwa tutaj.

– W twoim zawodzie spotkasz się z ogromną konkurencją – zauważył Gin.

– Nie na długo – odrzekł Chandler.

Gin patrzył na niego i wreszcie kiwnął twierdząco głową.

– Rzeczywiście, przypuszczam, że nie, jeśli jesteś choć w połowie tak dobry, jak mówią.

– Może się zdarzyć, że potrzebny mi będzie kierowca, który dobrze się orientuje i wie, co w trawie piszczy – kontynuował Chandler.

– Taa? – powiedział ożywiony nagle Gin.

– Jest taka możliwość. Jak myślisz, czy znasz kogoś, kogo interesowałaby taka posada?

– Patrzysz na takiego właśnie – wyszczerzył zęby Gin.

– Więc ją masz.

– Na księżycu nafaszerowanym zabójcami podoba mi się poczucie bezpieczeństwa związane z pracą dla najlepszego z nich.

– No, gadane to ty masz, przyznaję – stwierdził Chandler. – Ciekawe, czy równie dobrze umiesz trzymać gębę zamkniętą na kłódkę?

– Gwizdaczu, możesz mi zaufać.

– Jeśli zaczniesz dla mnie pracować, a ja przekonam się, że nie mogę ci ufać, to nie zazdroszczę ci twojej śmierci. – Chandler przerwał. – Czy nadal pragniesz tej pracy?

– Ile dostanę?

– Więcej, niż daje ci jeżdżenie tam i z powrotem z kosmoportu do miasta i branie łapówek w barach i hotelach... i wszystko gotówką.

– Nadal chciałbym wiedzieć, ile. Ostatecznie będę musiał jeździć własnym wozem. Muszę obliczyć wydatki.

– Ile teraz zarabiasz?

– Wliczywszy wszystkie boki? – powiedział Gin. – Ze sto kredytów

tygodniowo.

– Dam dwa razy tyle.

Gin wyciągnął dłoń nad stołem.

– Stoi!

– Stoi – odrzekł Chandler, ściskając podaną dłoń. – Jesteś na mojej liście płac, już od tej chwili.

– Wspaniale! – stwierdził Gin. – Ee, co robimy teraz?

– Dokończymy drinki i znajdziemy miejsce do spania.

– A co potem?

– W końcu się obudzę.

– Miałem na myśli, co ja mam robić?

– Jesteś do dyspozycji dwadzieścia cztery godziny na dobę – odpowiedział Chandler. – Gdy obudzę się rano, chcę cię widzieć w samochodzie zaparkowanym przed lokalem, gdzie spędzę noc. Oczekuję także, że będziesz miał oczy i uszy otwarte. Jeśli usłyszysz, że ktoś poszukuje osoby wykonującej mój zawód, powiedz mi. A jeszcze ważniejsze: powiedz mi, jeśli zobaczysz, że ktoś mnie śledzi.

– Zgoda – powiedział Gin i dał znak kelnerowi, by przyniósł następnego drinka.

– I będziesz zgłaszał się trzeźwy – dodał Chandler.

– Na pewniaka.

– A nawiasem mówiąc, nie zamierzam ograniczać mej działalności tylko do Przystani Marrakesz. Czy byłeś kiedykolwiek na Przystani Samarkanda lub Przystani Maracaibo?

– Znam je prawie równie dobrze, jak Przystań Marrakesz – zapewnił Gin.

– Dobrze – orzekł Chandler. – To może się okazać pomocne. – Przerwał. – A co z Hadesem?

– Gwizdaczu, nie masz co marzyć o Hadesie – stwierdził Gin. – Tam nie ma nic, prócz tych niebieskoskórych kosmitów... nazywanych Błękitnymi Diabłami*. Nawet jeśli masz kontrakt na uwalenie jednego z nich, nie będziesz umiał go odróżnić od innych.

– Byłeś tam?

– Nie, ale widziałem dość Błękitnych Diabłów. Paskudnie wyglądające sukinsyny.

– Czy jacykolwiek ludzie mieszkają na Hadesie?

– O ile mi wiadomo, nie – odparł Gin. Wzruszył ramionami. – Do diabła, kto by miał na to ochotę?

Chandler nie chciał okazywać zbytniego zainteresowania Hadesem, więc zmienił temat i przez następne dwadzieścia minut zadawał pytania o dwa pozostałe księżyce. Wreszcie zdecydował, że czas wyjść z baru.

Zameldował się w jednym z lepszych pensjonatów, zapłacił za tydzień z góry i poszedł do swego pokoju, ufając, że miał dobry start.

* Blue Devil – Błękitny Diabeł – slangowe amer. określenie bogate w skojarzenia. m.in.: tabletki barbituranu, koszmar widywany w delirium tremens, głęboka depresja itd.

Nie śpieszyło mu się z przedostaniem się na Hades, póki się czegoś więcej o nim nie dowie. Udał, że pragnie otworzyć interes na Przystani Marrakesz, a za dzień, tydzień lub miesiąc Gin lub ktoś inny powie mu to, czego chce się dowiedzieć o Hadesie i tajemniczej Wyroczni. Tymczasem może nawet przyjąć jeden czy dwa kontrakty, choćby tylko dla udowodnienia, że legendy o nim nie kłamią.

Ogolił się, wziął prysznic i już miał pójść spać, gdy błysnął wideofon.

– Taa? – zapytał, patrząc na pusty ekran.

– Ty jesteś Gwizdacz, prawda? – odezwał się głos, który równie dobrze mógł należeć do człowieka, jak i do kosmity.

– Nazywam się Chandler.

– Jesteś Gwizdaczem – powtórzył rozmówca bezbarwnym tonem. Przerwał na chwilę. – Dam ci dobrą radę, Gwizdaczu: wracaj do domu.

– Kto mówi? – zapytał Chandler, próbując bez skutku wywołać obraz na ekranie.

– Nie będę powtarzać ostrzeżenia, Gwizdaczu. Wiem, kim jesteś, wiem, po co tu jesteś i mówię ci, że twoja misja się nie powiedzie. Jeśli jutro rano nadal tu będziesz, narazisz swoje życie na niebezpieczeństwo.

Na tym połączenie przerwano, a Chandler pozwolił sobie na uśmiech zadowolenia.

Gdy Chandler wynurzył się z pensjonatu następnego ranka, Gin już czekał na niego na zewnątrz. Zamienił swój firmowy wóz na własny, dość podniszczony samochód terenowy.

- Dokąd? – spytał Gin, gdy Chandler umieścił się na tylnym siedzeniu.
- Dwukrotnie wokół kwartału.

Gin tylko mruknął i zrobił, co mu kazano. Gdy skończył, znów zaparkował przed pensjonatem i odwrócił się do Chandlera.

- Nikt nas nie śledził.
- Nikt nie jechał za nami – poprawił go Chandler. – To różnica.
- O co chodzi?
- Nic takiego – rzekł Chandler. – Zeszłej nocy dostałem wiadomość.

Ktoś nie życzy sobie mojej obecności tutaj.

– Jasne – zgodził się Gin. – Gdy pojawia się człowiek z twoją reputacją, wiadomo, że czyjeś interesy na tym ucierpią.

- Będą musieli nauczyć się żyć z tym rozczarowaniem.
- Mówiłem ci, że w kosmoporcie ktoś cię zauważy – kontynuował Gin.

– Dokąd teraz mam cię zawieźć?

- Pojeźdź po mieście.
- Po mieście dokąd?

– Po prostu po mieście. Nie mogę rozpocząć biznesu, jeśli ludzie nie będą wiedzieć, że tu jestem.

– Wiedzą – odparł Gin. – Ten, kto próbował cię wystraszyć, prawdopodobnie do tej chwili opowiedział o tobie połowie ludzi, których zna. Proponuję, abyśmy wstąpili na drinka i przemyśleli to.

– Zawiadomię cię, gdy będziesz miał zostać partnerem – powiedział Chandler. – Teraz ruszaj.

Nagle Gin uśmiechnął się ze zrozumieniem.

– Ty się nie reklamujesz – oświadczył z naciskiem. – Ty łapiesz na błyszczkę! Chcesz, aby ten, kto rozmawiał z tobą zeszłej nocy, zrobił jakiś ruch, i żebyś go mógł załatwić!

– Jedź.

– Chwileczkę – rzekł Gin, wyciągając spod siedzenia pistolet dźwiękowy. Odwrócił go i sprawdził ładunek.

– Wiesz, jak się tym posługiwać? – zapytał Chandler, gdy Gin włączył się w strumień aut.

– Może nie tak dobrze jak ty – brzmiała odpowiedź – ale zwykle trafiam do celu.

Chandler zamilkł na chwilę.

– Nie celuj z tego w nic, jeśli ci nie powiem, byś to zrobił – odezwał się wreszcie.

Gin kiwnął głową i wsadził pistolet za pasek.

– Okay, szefie – odpowiedział. – Dokąd jedziemy?

– To twoje miasto. Zdecyduj.

– No, mogę cię zabrać tam, gdzie trzymają się dziani faceci, albo tam, gdzie włączą się ludzie, których tamci wynajmują.

– Najpierw pierwsze, potem drugie.

Gin zagapił się na ubogo ubranego człowieka z wypchanymi kieszeniami, który stał na ruchomym chodniku i patrzył na nich, w tym właśnie momencie samochód prawie wpadł na inny pojazd. Gin skręcił w ostatniej chwili, by uniknąć wypadku.

– Nie odwracaj wzroku od jezdni – polecił Chandler. – Ja będę uważał na potencjalnych wrogów.

– Nie ma w tym nic potencjalnego – mruknął Gin. – W południe pół setki z nich może już polować na twój skalp.

– Nie dawaj się ponosić wyobraźni – zbagatelizował jego uwagę Chandler, gdy włączyli się w sznur pojazdów.

– A ciebie niech nie ponosi pewność siebie – odpalił Gin. – Im więcej o tym myślę, tym bardziej jestem pewny, że to nie najlepszy pomysł.

– Myślenie nie należy do twoich obowiązków służbowych – zwrócił uwagę Chandler. – Proponuję, abyś pozostawił je mnie.

– Jak sobie życzysz – wzruszył ramionami Gin.

– Tego właśnie sobie życzę – odpowiedział Chandler. Nagle coś zajęło jego uwagę.

– Zatrzymaj się. Samochód stanął.

– Czy zauważyłeś kogoś podejrzanego? – Spytał Gin sięgając po pistolet.

– Tego kosmitę – powiedział Chandler, przyglądając się tysemu, niebieskoskóremu humanoidowi, stojącemu po przeciwnej stronie ulicy. – Czy to jest Błękitny Diabeł?

– Taa. I co?

Chandler przyglądał się kosmicie przez chwilę, a potem cofnął się na oparcie i odprężył.

– Okay, teraz ruszaj przed siebie.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie – nalegał Gin. – Co cię obchodzi Błękitne Diabły?

– Nigdy jeszcze żadnego nie widziałem.

– Długo na niego patrzyłeś.

– Byłem ciekaw.

Przez minutę jechali w milczeniu.

– Czemu myślisz, że Błękitny Diabeł chce cię zabić? – zapytał wreszcie Gin.

– Czy powiedziałem, że tak myślę?

– Nie musiałeś. – Gin przerwał. – Ale nawet za cenę mojego życia nie umiałbym wykombinować, czemu jakiegoś Błękitnego Diabła mogło choć trochę obchodzić, czy jesteś na Przystani Marrakesz, czy nie.

Zapadło milczenie, podczas którego Gin zdecydował, że nie należy przeciągać struny, a Chandler kompletnie go ignorował. Wreszcie Gwizdacz odezwał się:

– Kiedy dotrzemy tam, gdzie mnie wiesz?

– Mniej więcej za parę minut.

– Opowiedz mi o terenie, przez który przejeżdżamy.

– Doprawdy interesuje cię to?

– Przez cały rano nie byłem w stanie cię uciszyć – rzekł z ironicznym uśmiechem Chandler. – A teraz, gdy chcę, byś mówił, nagle to cię przestało interesować.

– Ty tu jesteś szefem – wzruszył ramionami Gin. – Ta część miasta zwana jest Małą Spiką. Zamieszkują ją głównie potomkowie górników z planety Spika VI i budowniczych statków ze Spiki II. Na obrzeżu mieszka nieco Canphorytów, ale Spikanie nie cenią większości innych kosmitów. – Przerwał. – W następnym kwartale jest wielki burdel, jeśli to odpowiada twoim gustom.

– Niespecjalnie.

– Widzisz ten magazyn? – spytał Gin zwalniając. – Mówią, że Santiago we własnej osobie jakieś dwieście lat temu zabił dwie kobiety na ruchomym chodniku. A tamten bar, na lewo? Najlepsze źródło nasion

alfanelli w tej części miasta. – Znowu przerwał. – Żuleś kiedyś jakieś nasiona? Nie, nie sądzę – odpowiedział na własne pytanie. – Człowiek w twoim fachu musi mieć niezamąconą głowę.

– Ile jeszcze innych miast jest na Przystani Marrakesz?

– Miast? – powtórzył Gin. – Żadnych. Jest trochę wiosek, po drugiej stronie planety, liczących może po pięciuset mieszkańców. Głównie społeczności rolnicze. Nie, większość ludzi mieszka tutaj.

Wyjechali z Małej Spiki na jeszcze bardziej podupadły obszar, pełen bielonych budynków z kopułami. Większość z nich pokrywał brud, wiele wymagało remontu.

– Dzielnica kosmitów? – podsunął Chandler.

– Trafieś. W większości Błękitnych Diabłów. A reszta to mieszanina.

– Czy widziałeś kiedy kosmitę wyglądającego jak żółw? – spytał Chandler.

– Nawet nie wiem, co to jest żółw – odparł Gin. – Bo co?

– Po prostu jestem ciekaw.

– Człowiek twojego pokroju nie pyta bez przyczyny – stwierdził Gin. – Jeśli mi go opiszesz, być może zdołam dowiedzieć się, czy widziałem tu kogoś podobnego.

– Kiedy indziej – rzekł Chandler, porzucając temat.

Mknęli przez miasto jak wiatr. Gin co i rusz wskazywał tereny interesujące ze względów historycznych lub kryminalnych, Chandler od czasu do czasu zadawał pytania. W miarę jak jechali otoczenie stawało się coraz bardziej eleganckie, aż wreszcie Gin przyhamował i podjechał pod lśniący hotel, wyglądający jak starożytny i egzotyczny pałac.

– Nasz pierwszy postój – oznajmił Gin. – Najdroższy hotel w tym mieście.

Chandler kiwnął głową i wysiadł z samochodu.

– Mam iść z tobą? – zapytał Gin.

– Nie trzeba – odrzekł Chandler. – Wrócę za parę minut. Wszedł do holu i pozwolił iskrzącemu ruchomemu chodnikowi

obwieźć się wokół fontanny. Tysiące strumieni zabarwionej wody tryskały w taki sposób, iż tworzyły postać nagiej kobiety. Gdy tylko owa rzeźba rozpadała się, nowe strumienie złotej, czerwonej i białej wody łączyły się w powietrzu, odtwarzając postać. Chodnik podwiózł go pod recepcję, gdzie zza szerokiego, połyskującego kontuaru wyszedł mu

naprzeciw mężczyzna w uniformie.

– Czy mogę panu czymś służyć? – zapytał.

– To możliwe – rzekł Chandler. – Czy zameldował się tu Carlos Mendoza?

Komputer recepcjonisty udzielił odpowiedzi negatywnej.

– To dziwne – odparł marszcząc brwi Chandler. – Miałem się tu z nim spotkać.

– Nie ma rezerwacji na nazwisko Mendoza – stwierdził mężczyzna.

– Cóż, pewien jestem, że pokaże się prędzej czy później.

– Sir, mamy komplet gości na najbliższe trzy miesiące.

– To już jego problem – odrzekł wzruszając ramionami Chandler. –

Zastanawiam się, czy mógłbym zostawić dla niego wiadomość.

– Oczywiście, sir.

– Dobrze. Jeśli pan Mendoza pokaże się, proszę go poinformować, że Gwizdacz zakończył swoją tutejszą sprawę.

– To wszystko?

– Niezupełnie – powiedział Chandler. – Gdy Mendoza otrzyma moją wiadomość, prawdopodobnie zostawi dla mnie kopertę. Proszę ją przechować w sejfie, póki się po nią nie zgłoszę.

– Może mnie tu zastępować ktoś inny, gdy pan powróci – rzekł mężczyzna. – Jeśli to transakcja finansowa, będziemy potrzebowali jakiejś formy identyfikacji, sir, nim przekażemy panu pieniądze.

Chandler położył palce na błyszczącym kontuarze, a potem go nacisnął.

– Czy się zarejestrowały?

Urzędnik spojrział na ukryty za kontuarem ekran.

– Tak, panie Gwizdacz. Mamy teraz pańskie odciski w pamięci stałej.

– Dobrze – powiedział Chandler, kładąc na kontuarze banknot pięćsetkredytowy. – Jestem pewien, że mogę liczyć na dyskrecję.

– Oczywiście, sir. – Recepcjonista schował banknot do kieszeni. – Jak możemy się z panem skontaktować, jeśli pan Mendoza zostawi kopertę?

– Ja się z wami skontaktuję – odrzekł Chandler. Zawrócił na pięcie i poszedł do wozu.

To samo zrobił w trzech kolejnych hotelach. Gdy wynurzył się z ostatniego z nich, wszedł do pojazdu, rozparł się wygodnie i odprężył.

– W porządku – zawiadomił Giną. – Teraz już dostatecznie wielu ludzi się dowie, że tu jestem.

– Widziałem, jak każdemu z recepcjonistów wsunąłeś jakieś pieniądze – zauważył Gin. – Czy płacisz im, aby rozpowszechnili wiadomość?

Chandler uśmiechnął się rozbawiony.

– Dałem każdemu z nich po pięćset kredytów, aby nie mówili nikomu, że jestem na Przystani Marrakesz.

– Nie rozumiem – zdziwił się Gin. – Chcesz rozgłosić, że tu jesteś, więc płacisz im, aby trzymali to w tajemnicy?

– Z pewnością uznają, że jeśli płacę pięćset kredytów za utrzymanie w tajemnicy tego, że tu jestem, to ta sama wiadomość może być dla kogoś innego warta parę tysięcy.

– Nigdy bym czegoś takiego nie obmyślił – wyszczerzył zęby Gin. – To ja myślę.

– Dokąd teraz?

– Gdyby mnie nie było na Przystani Marrakesz, ty zaś miałbyś pokazać kwotę i chciałbyś, aby ktoś został zabity, kogo byś wynajął?

– Poszedłbym prosto do Chirurga – odrzekł bez wahania Gin.

– Chirurga?

– Naprawdę nazywa się Vittorio jakimś tam, ale wszyscy mówią o nim Chirurg. Potrafi porządzić cię na kawałeczki, nim się zorientujesz, że ktoś jest obok ciebie.

– Jak mogę go znaleźć?

– W pół tuzinie miejsc. Jest dość ruchliwy. Miewa troszkę roboty tu i troszkę ówdzie – wzruszył ramionami Gin.

– Wybierz najprawdopodobniejsze miejsce i pojedź tam.

– O tej porze dnia będzie zapewne u Człowiłka. W restauracji w Dzielnicy Platynowej, koło tego miejsca, gdzie piliśmy zeszłego wieczoru.

– Dzielnica Platynowa? Zeszłego wieczoru nie dostrzegłem, aby była tak bogata.

– Całkiem podupadła – potwierdził Gin. – Ale gdy wyczerpały się zasoby surowców naturalnych Przystani Marrakesz, ktoś odkrył platynę i to były ostatnie podrygi aktywności, nim zdecydowano, że kruszcu nie ma tak dużo, aby opłacało się wydobyć go. Górnicy pozostawili w tej okolicy tyle tuneli, że można przedostać się z każdego prawie budynku w dzielnicy do

innego, nigdy nie wychodząc na powierzenie... jeśli znasz drogę. – Przerwał. – Często się zdarza, że ktoś, kto nie zna systemu tuneli, schodzi tam i więcej się go nie widzi.

– Nie jest dość wielki, by się w nim zgubić na zawsze – skomentował Chandler. – Uważam, że owi zaginieni ludzie nie umierają tam z głodu.

– Gwizdaczu, mamy facetów żyjących tam w dole, którzy od dziesięciu lat nie oglądali słońca – odrzekł Gin. – Płaci się im, ile zażądata, za bezpieczne przejście albo sami sobie zabierają, co chcą i zostawiają ciała robakom. – Znów przerwał. – W życiu nie widziałeś czegoś takiego, jak robaki Przystani Marrakesz. Cholerne bydlaki mierzą po parę stóp długości i naprawdę mają zęby. Zostaw tam w dole ciało, a objedzą je do kości w ciągu kilku godzin.

– Przyjemne miejsce.

– Ludzie, którzy mieszkają w dole, są gorsi od robaków. Niektórzy mówią, że wytresowali robaki tak, by ich rozpoznawały i pozostawiały w spokoju. Inni twierdzą, że jadają robaki, by utrzymać się przy życiu.

– Czy Chirurg kiedykolwiek schodzi do tuneli?

– Od czasu do czasu. Tamci zarabiają przede wszystkim ukrywając wszystkich, którzy muszą na trochę zniknąć, a jeszcze więcej żądają od ludzi, którzy w żadnym wypadku nie powinni tam leżeć.

– Interesujące – skomentował powściągliwie Chandler.

– Interesujące? Do diabła! To cholernie niebezpieczne – sprzeciwił się gorąco Gin. – Jeśli myślisz o zejściu do tuneli, to musimy się rozstać.

– Będę to miał na uwadze.

Jechali jeszcze przez kilka minut, a potem Gin zatrzymał się przed niedużym, prostokątnym budynkiem, który wyglądał obco w tym mieście kopu i łuków. Na oknach ani na drzwiach nie było żadnych szyldów, ale Gin zapewnił Chandlera, że reklama nie jest potrzebna, bo każdy, kto miał jakieś powody, by tu się znaleźć, wiedział, gdzie jest restauracja Człowiek.

– Lepiej będzie, jeśli wejdziesz z tobą – powiedział, gdy Chandler wysiadł z wozu. – Zacziesz wypytywać o Chirurga, a że nikt nie wie, kim jesteś, możesz doczekać się nieplanowanej operacji.

Chandler wszedł za Ginem do restauracji, która wyglądała smętniej, niż inne. Krzesła były tanie, obicia w łóżach porwane, stoły porysowane, wzdłuż lewej od wejścia ściany stał mały bar, a przy nim kelner i kelnerka z gburowatymi minami.

Uzabarem tkwilo stworzenie niby gładajace niby postac z najgorszych nocnych dziecięcych zmór. Poruszało się jak człowiek, ale miało głowę wilka z wydłużonym pyskiem oraz imponującymi kłami. Spiczaste uszy, nie całkiem ludzkie i nie całkiem wilcze, ale wielkie, osadzone były wysoko na głowie. Głowę, szyję, tors i ręce porastało futro. Stworzenie ubrane było w elegancki strój wieczorowy.

Gin poprowadził Chandlera prosto do niego.

– Gwizdaczu, przedstawiam ci Człowiłka.

– Słyszałem o tobie – powiedział Człowiłk, wyciągając rękę-lapę.

– Zdumiony jestem, że nie słyszałem o tobie – odrzekł Chandler, również wyciągając dłoń. – Chirurgia kosmetyczna?

– Tak.

– Czemu wilk? – zainteresował się Chandler.

– A czemu nie? – padła odpowiedź, a potem Człowiłk zakrakał z głębi gardła. Chandler uznał to za chichot. – Przynajmniej ludzie zapamiętują mnie od pierwszego wejrzenia. – Przerwał. – Oczywiście w twoim zawodzie nie dawałoby to przewagi. – Przyjrzał się Chandlerowi. – Myślę, że nie przyszedłeś tutaj, by poprobować mojej kuchni?

– Szukam kogoś.

– O?

– Chirurga.

– Nie ma go tu – odrzekł Człowiłk.

Chandler spojrział pytająco na Ginę, który przyglądał się niewielu zajętych stolikom. Gin pokręcił głową.

– Możesz jutro spróbować znowu – dodał Człowiłk. – Jest jednym z moich najlepszych klientów. Przychodzi tu cztery albo pięć razy w tygodniu.

– Człowiłk wskazał stojący blisko baru stolik, z miejscem plecami do ściany, skąd można było dobrze obserwować wejście. – Zawsze tu siada.

– Już nie – oświadczył Chandler.

– O?

– Ten stół jest teraz mój – stwierdził Gwizdacz. – Możesz to opowiadać wszem i wobec.

– Nie wiem, czy Chirurgowi sprawisz tym przyjemność.

– To nie mój problem – stwierdził Chandler. – Może zmienić zawód albo planetę, jak mu się podoba.

– Czy on o tym wie? – zapytał Człowiłk.

– Będzie wiedział – oświadczył Chandler. – Jeśli pierwszy go zobaczysz, możesz mu o tym powiedzieć.

– Nie ja, przyjacielu – stwierdził Człowiłk. – Stworzenie tej twarzy zajęło mi cztery lata. Chirurg może pociąć ją na paseczki w ciągu trzech sekund.

– Nie zrobi tego – zapewnił Chandler. – Od tej chwili jesteś pod moją ochroną.

– Nie chcę mieć z tym nic wspólnego – powiedział nerwowo Człowiłk. Zamilkł na chwilę. – Może jesteś tak dobry jak mówią, a może nie. Ale ja widziałem Chirurga.

– Już go nie zobaczysz – stwierdził Chandler. – Zapamiętaj: nikt prócz mnie od dziś nie będzie siadał przy tym stole.

Położył na barze banknot, a potem odwrócił się i poszedł do drzwi. Gin dogonił go w samym wyjściu.

– Chłopie, mam diabelną nadzieję, że wiesz, co robisz! – zawołał. – Myślałem, że chcesz tylko porozmawiać z Chirurgiem.

– Jeśli jest człowiekiem rozumnym, to rozmowa powinna wystarczyć – odpowiedział Chandler. – Ale ja tu otwieram interes. To jest najłatwiejszy sposób, by udowodnić moją wiarygodność i równocześnie pozbyć się największego rywala. – Wsiadł do auta. – Zawieź mnie do następnego miejsca na twojej liście. Chciałbym załatwić wszystko przed kolacją.

– Jesteś pierwszym w życiu facetem, który śpieszy się, by się zmierzyć z Chirurgiem – nie mógł ochlōnąć ze zdumienia Gin.

– Masz nieszczęśliwą minę – stwierdził Chandler.

– Bo wydawało mi się, że będę miał posadę dłużej, niż pół dnia – rzekł ironicznie Gin.

– Będziesz miał.

– Nie wydaje mi się – oświadczył Gin. – Jakiś Błękitny Diabeł chce cię zabić, a teraz ty wyłazisz ze skóry, by zetrzeć się z Chirurgiem. Jesteś albo cholernie dobry, albo tylko kompletny wariat.

– Niedługo się przekonamy, prawda? – odrzekł spokojnie Chandler.

– Zdaje mi się, że tak będzie – potwierdził Gin, włączając się do ruchu.

Chandler oparł się wygodnie i zamknął oczy, czując się zupełnie spokojny. Nie znosił marnotrawstwa i z tego powodu było mu bardzo przykro, że musi poświęcić Chirurga, przecież wykonywali tę samą

profesję. Ale Chirurg był istotnym elementem gry, którą Chandler rozpoczął: bardzo starannie rozważył swój plan ataku, tak jak do najdrobniejszych szczegółów planował safari. I jeśli nie przeoczył jakiegoś ukrytego elementu, przybliży go to o jeden krok do Wyroczni.

Jeśli przeżyje.

– Okay, jesteśmy na miejscu – oświadczył Gin, wysiadając z wozu i podchodząc do zrujnowanego budynku.

– W jakim miejscu? – zapytał Chandler. – W Basenie Snów.

– Narkomelina? Gin skinął głową.

– Chirurg wstępuje tutaj co kilka dni.

– Ciekawe.

– Dlaczego? – zainteresował się Gin.

– Zawodowcy zwykle nie używają narkotyków – odrzekł Chandler. –

To zakłóca percepcję i niszczy refleks.

– Och, Chirurg nie żuje nasion – stwierdził Gin. – Ale masa jego klientów to robi. Tutaj zajmuje się interesami.

Podeszli do wejścia, gdzie Gin wypowiedział hasło i uśmiechnął się do umocowanej w górze kamery. W chwilę później drzwi odsunęły się i przed wchodzącymi stanęli dwaj muskularni mężczyźni.

– Gin, kogo tam masz ze sobą? – spytał jeden z nich.

– To mój nowy pracodawca – odparł kierowca. – Osobiście za niego gwarantuję.

– Nazwisko? – zwrócił się do Chandlera jeden z mężczyzn. – Jozue Chandler.

– Gdzie pan mieszka?

– W Souk – odrzekł Chandler. – To pensjonat po zachodniej stronie...

– Wiem, gdzie to jest – przerwał tamten. – Zawód?

– Turysta.

– No, to w każdym razie oryginalne. – Mężczyzna uśmiechnął się i wyciągnął rękę. – Dwieście kredytów. I jeszcze dwieście za pańskiego pracownika.

Chandler wręczył mu pieniądze.

– Czy już możemy wejść?

– Zaraz, gdy tylko zostawi nam pan swoją broń.

– Czy Chirurg zostawia swoją? – zapytał Chandler.

– Co robi Chirurg, to nie pańska sprawa, panie Chandler – brzmiała odpowiedź. – Jeśli nie przekaże pan swej broni, będę musiał zabrać ją sam. – Położył dłoń na kolbie swego pistoletu laserowego, jakby dla

podkreślenia wagi słów.

– To nie byłoby mądre – zwrócił mu cicho uwagę Chandler. Coś w tonie jego głosu spowodowało, że mężczyzna się zawahał.

– Albo pan odda broń, albo nie będzie mógł pan wejść – powiedział słabo.

– Nie zabijaj ich – odezwał się Gin do Chandlera. – Oni tylko wykonują swoją robotę.

– Jeśli ktoś tu będzie zabijał, to najwyżej my – zdecydował się wreszcie przemówić drugi.

– Nie wiecie, z kim macie do czynienia – wtrącił się Gin z takim przekonaniem, że drugi mężczyzna także się zawahał.

Przez parę sekund wszyscy stali nieruchomo. Wreszcie Chandler wyjął swoje pistolety oraz nóż i wręczył jednemu z mężczyzn.

– Chodźmy – powiedział do Giną, gdy mężczyzna usunął się na bok, patrząc na Gwizdacza z mieszaniną złości i niepokoju.

Poszli długim, słabo oświetlonym korytarzem, mijając szereg ponumerowanych drzwi. Powietrze było przesycone mdląco słodkim odorem palipu, narkotyku kosmitów, przystosowanego przez ludzi do ich potrzeb. Palono go w staromodnych wodnych fajkach.

Minęli jedne otwarte drzwi i Chandler zerknął do środka. Cztery kobiety leżały zawieszane nad podłogą na poduszkach powietrznych; nie potrafił określić, czy paliły czy wzięły zastrzyki, ale trzy z nich były bliskie katatonii. Czwarta, z twarzą wykrzywioną bólem, widząc go wyciągnęła drżącą dłoń w błagalnym geście. Chandler patrzył na nią przez chwilę z wyrazem niesmaku, a potem odwrócił się i poszedł dalej.

Wreszcie weszli do obszernego salonu. Nie było tam foteli ani kanap, tylko szereg wielkich poduszek na podłodze. Jedenastu mężczyzn i osiem kobiet leżało albo siedziało na nich, niektórzy w grupach po dwoje czy troje, inni samotnie. Wielu z nich wyglądało na oszołomionych, jakby właśnie narkotyk przestał działać; inni wydawali się niespokojni, jakby właśnie przygotowywali się do odlotu. Paru po prostu miało znudzone miny. Na ścianach wisiało pół tuzina domariańskich aktigrafów: trójwymiarowych kompozycji, złożonych z koncentrycznych kół i skomplikowanie splecionych linii, pulsujących energią i wywierających na widzach prawie hipnotyczny efekt.

Nagle Gin zatrzymał się i zeszytniał.

– Gdzie on jest? – spytał cicho Chandler.

– Widzisz tych dwóch rozmawiających w kącie? – szepnął Gin, mając na myśli łysego, okrągłych kształtów mężczyznę w garniturze z niebieskiej satyny i małego, żyłastego człowieczka o orlim nosie i z zatokami nad czołem, ubranego w kosztowny, szyty na miarę strój.

– Tak.

– Ten gruby, to Omar Tripoli. Jest bankierem i właścicielem kilku nocnych klubów w Dzielnicy Antarejskiej. Ten mały, to Chirurg.

– Nie robi wielkiego wrażenia – zauważył Chandler.

– Cmentarze pełne są ludzi, którzy uważali, że on nie robi wielkiego wrażenia.

Chandler przyglądał się Chirurgowi jeszcze przez chwilę, a potem zwrócił się do Giną:

– Poczekaj tu.

– On zapewne jest uzbrojony – szepnął Gin.

– Rób tylko to, co mówię – odrzekł Chandler. Przeszedł przez salę i zatrzymał się obok Omara Tripoli.

– To prywatna rozmowa – odezwał się nie podnosząc głowy Chirurg.

– Wiem – rzekł Chandler.

– Więc odejdz – oświadczył Chirurg.

Chandler pozostał na miejscu, milczący i nieruchomy.

Wreszcie Chirurg spojrzał na człowieka stojącego przed nim i podniósł się z miejsca.; – Nie słuchasz bardzo uważnie, prawda?

– Nie słyszałem nic, czego warto by wysłuchać – odparł Chandler.

– Ogromnie ryzykujesz, przyjacielu – zauważył Tripoli.

– Nie tak wiele jak pan, panie Tripoli – odrzekł Chandler.

– Co pan chce przez to powiedzieć? – zapytał nerwowo Tripoli.

– To Chirurg nie zawiadomił pana? – powiedział z udawanym zaskoczeniem Chandler.

– O czym mnie nie zawiadomił?

– Że wyjeżdża z Przystani Marrakesz tego wieczoru i rozpoczyna nową karierę. Na pana miejscu nie zapłaciłbym mu ani kredytu.

– Dobra! – warknął Chirurg. – Kim, u diabła, jesteś?

– Twoim następcą – rzekł Chandler. Zrobił pauzę. – Myślę, że jeśli się pospieszysz, możesz akurat złapać przelot na Bindera X.

– Masz jaja, mój panie, to ci muszę przyznać – powiedział Chirurg. –

Zastanawiam się, jak się poczujesz, gdy ujrzysz, gdy wyciągną po podłogę.

– Oszczędź sobie pogroźek – stwierdził spokojnie Chandler. – Na panu Tripoli nie robią wrażenia... na mnie też nie.

Nagle w prawej dłoni Chirurga pojawił się ohydnie wyglądający nóż.

– Czy mi powiesz, kim jesteś, czy też mam wyciąć i twój dowód osobisty?

– Nie widzę przeszkód, by ci powiedzieć. Nazywam się Chandler.

– Nigdy o tobie nie słyszałem.

– To tylko jedno z moich nazwisk. Niektórzy nazywają mnie Gwizdaczem.

Oczy Chirurga na moment rozszerzyły się, ale nie opuścił noża ani się nie cofnął.

– Jeszcze możesz stąd wyjść – zauważył Chandler. – Prawdę mówiąc, jeśli przekażesz mi swój interes, mogę nawet zapłacić za twój bilet.

– Myślisz, że możesz zająć moje miejsce za cenę biletu na kosmolot? – powiedział z ochrypłym śmiechem Chirurg.

– Właściwie to nie – odparł Chandler. – Ale pomyślałem sobie, że dam ci szansę przeżycia.

– Ja także coś ci zaproponuję – wychrypiął Chirurg. Przełożył kilka razy nóż z dłoni do dłoni, a potem rzucił się do przodu z wyciągniętą lewą ręką.

Chandler chwycił go za nadgarstek, odskoczył w bok, a potem, szybciej niż zdolali to zauważyć Tripoli i Gin, wymierzył trzy szybkie ciosy: jeden w pachwinę, drugi w jabłko Adama, trzeci zaś z dołu w nos, wbijając mu kość nosową w mózg. Chirurg był martwy, nim upadł na podłogę. Chandler podniósł nóż i schował go w jednej ze swych licznych kieszeni. Wszystko nastąpiło tak szybko, że nikt na sali nie zdążył zareagować.

Chandler zwrócił się do Tripoli:

– Nie jest to czas ani miejsce dla naszych interesów – powiedział z pełnym spokojem. – Skontaktuję się z panem jutro lub pojutrze; przekonam się pan, że biorąc pod uwagę jakość moich usług, ceny są całkiem rozsądne. Może pan przez ten czas opowiedzieć przyjaciółom, że Gwizdacz przybył do miasta.

Przeszedł nad ciałem Chirurga i ruszył przez salon nie zwracając uwagi na mężczyzn i kobiety, gapiących się na niego ze zgrozą.

– Chodźmy – powiedział do Giną.

Długim korytarzem wrócili do wyjścia, odebrali broń Chandlera, i nim ktokolwiek zameldował o zabójstwie już odjeżdżali stamtąd.

– Ależ dałeś przedstawienie, Gwizdaczu! – orzekł Gin z entuzjazmem małego chłopca. – Byłeś przerażający!

– Cóż, udowodniłem moją wiarygodność – powiedział Chandler. – Konieczna lekcja poglądowa. Żałuję, że musiałem ją dać, bo nie lubię marnotrawstwa.

– Marnotrawstwa? – zapytał zdziwiony Gin.

– Musiałem zabić człowieka, którego pierwszy raz widziałem na oczy, który nie stanowił dla mnie żadnej groźby i nie był moim wrogiem. A ty nie nazwałbyś tego marnotrawstwem?

– Ani trochę.

– Więc szczęśliwie się składa, że nie masz mojej zdolności zabijania – oświadczył Chandler.

– W tym sezonie dziwnie obrodzili nam mordercy – zauważył rozbawiony Gin.

– To nie było morderstwo – sprostował Chandler. – To była egzekucja.

– Bez względu na to, co powiesz, on nie żyje – odparł Gin, kończąc temat wzruszeniem ramion. – Dokąd teraz, Gwizdaczu?

– Odwieź mnie z powrotem do Souku – rzekł Chandler. – Myślę, że jak na jeden ranek, dokonałem dosyć. Poczytam chwilę, a potem się zdrzemnę.

– Tak po prostu?

– Przykro mi, że jego śmierć była konieczna – stwierdził z irytacją Chandler. – Nie mam zamiaru dołączać się do żałobników.

– Zdumiałbym się, gdyby pokazał się jakikolwiek – powiedział Gin. Przerwał na chwilę. – A propos, myślę, że możesz oczekiwać, iż władze złożą ci wizytę. Dopóki zabijamy się między sobą, nie sprawią ci większego kłopotu, ale muszą z tobą pomówić, choćby na pokaz.

– To było działanie w obronie własnej – odpowiedział Chandler. – Mam ponad dwunastu świadków.

– Prawda – zgodził się Gin. Znów przerwał. – Chcesz, abym czekał na wezwanie przed Soukiem?

– Nie – rzekł Chandler. – Chcę, abyś w ciągu najbliższych godzin

objechał miasto i opowiedział wszystkim, co się stało. – Wręczył Ginowi kilka banknotów. – A ponieważ mówienie tak wysusza, możesz użyć tego, by się nasmarować.

– Z przyjemnością – oświadczył Gin, biorąc pieniądze. – Zresztą nigdy nie lubiłem tego rzeźnika o ptasim mózdzku.

– To był po prostu człowiek, wykonujący swą robotę – przestrzegł go Chandler. – Od tej chwili ja ją będę wykonywał.

– No, jesteś, jak to się mówi, człowiekiem dnia – zachwyił się kierowca. – Jutro całe cholerne miasto będzie wiedzieć, że przybyłeś tu na stałe.

– Jak szybko ta wiadomość dotrze do mieszkańców pozostałych księżyców? – zapytał Chandler.

– Przed zachodem słońca – zapewnił go Gin.

Gwizdacz chciał zapytać, czy na Hadesie też się o tym dowiedzą, ale zrezygnował. Jedyna osoba, dla której dawał całe przedstawienie, już wiedziała, kim on jest. Nie byłby też zaskoczony, gdyby wiedziała o śmierci Chirurga, zanim on dotrze do swego pensjonatu. Dla człowieka wykonującego tego typu zawód był to znakomicie logiczny krok: albo dąży się w górę – startując od szeregowca – albo, jeśli jest się dość dobrym i mocnym, załatwia się pierwszego psa w zaprzęgu i przywłaszcza jego terytorium. Nie okazał żadnego zainteresowania Hadesem, nie dopytywał się o Wyrocznię, nie zrobi tego również w przyszłości. Przybył na Przyszań Marrakesz w interesach, a teraz ma klientelę do obsłużenia. Takie to było proste.

Jedynym otwartym pytaniem pozostała kwestia: czy ona to kupi.

Policja przerwała drzemkę Chandlerowi i zabrała go o miejscowego komisariatu, by nagrać jego oświadczenie w związku z zabójstwem Chirurga. Odniósł wrażenie, że stróże prawa dają tylko przedstawienie, a śmierć mordercy, niezależnie od okoliczności, najzupełniej ich nie obchodzi. Gdy zeznanie Chandlera okazało się zgodne ze świadectwami licznych naocznych świadków, pouczono go, by podczas pobytu na Przystani Marrakesz nie przekraczał granic prawa, i zwolniono.

Gdy policja odwiozła go do Souku, Gin już na niego czekał.

– Widzę, że miałeś towarzystwo – zauważył, patrząc za oddalającym się pośpiesznie wozem policyjnym.

– Nie było żadnych problemów.

– Gdyby tylko mogli, zapewne przypięliby ci medal – poinformował Gin. – Chirurg nie był, prawdę mówiąc, najpopularniejszym człowiekiem w mieście.

– Ja także nie będę, gdy przejmę jego klientów.

– Taa. Cóż, w tym wypadku oni woleli diabła, którego jeszcze nie znają od tego, który jest im znany.

– Mam wrażenie, że dadzą mi spokój, dopóki nie zabiję niewłaściwej osoby.

– To się mniej więcej zgadza.

– Wobec tego – kontynuował Chandler – myślę, że dopóki lepiej się nie zorientuję, słuszne będzie, jeśli ograniczę swą aktywność do innych księżyców i Hadesu.

– Mogę ci pomóc – stwierdził Gin. – Wiem, od kogo trzeba trzymać się z daleka.

– Dziękuję za propozycję, ale doprawdy nie chciałbym ryzykować życia opierając się wyłącznie na twoim doświadczeniu.

– Okay – powiedział Gin wzruszając ramionami. – Niech ci będzie. Ale powinienes zapomnieć o Hadesie. Na planecie mieszka niespełna tysiąc ludzi.

– Z tego wniosek, że są to ludzie nader ważni – zastanawiał się Chandler. – Ktoś może życzyć sobie śmierci jednego z nich.

– Zapomnij o tym – powtórzył Gin z przekonaniem. – Od chwili gdy

zamieszkała tam Wyrocznia, planeta zmieniała się w cholerną fortecę.

– Kim jest Wyrocznia? – zapytał Chandler. – Jednym z Błękitnych Diabłów?

– Nie. Mówią, że to człowiek. Kobieta. Nie wiem czy to prawda, czy nie, prawie nikt jej nie widział.

– Czemu kobieta chciałaby mieszkać na Hadesie? – zainteresował się Chandler.

– Nie mam pojęcia.

– Skoro Błękitne Diabły nas nienawidzą, dlaczego miałyby pozwolić jej tam zamieszkać?

– Kto wie? – odrzekł Gin. – Nie dbam o politykę.

– Politykę?

– No, może to nie jest polityka. Ale cokolwiek to jest, nie dotyczy trzech Przystani, a jeśli tamci zostawiają nas w spokoju, to mi zupełnie wystarczy.

– Ale to ciekawe – powiedział Chandler. – Kobieta, mieszkająca właśnie tam. Czemu nazywają ją Wyrocznią? Czy ona ma jakieś prawdziwe nazwisko?

– Tuś mnie załatwił.

– Czy możesz się dowiedzieć?

– Nie wiem. Nigdy się nad tym wiele nie zastanawiałem. – Gin przerwał. – Ale to i tak niewiele ci pomoże.

– Czemu?

– Przede wszystkim dlatego, że nie masz zezwolenia na lądowanie na Hadesie. Po drugie, Wyrocznia i Błękitne Diabły nie niepokoją nas. A po trzecie, co jakiś czas ktoś pojawia się na jednej z Przystani i zaczyna zadawać na jej temat zbyt wiele pytań, a potem pewnego dnia znika. Wobec tego, ponieważ lubisz życie, a ja lubię mieć pracę, skoncentrujmy się na liście klientów Chirurga.

– Mimo wszystko dowiedz się, czego będziesz mógł.

– Czemu tak się nią interesujesz? – zapytał Gin.

– Nigdy jeszcze nie spotkałem Wyroczni. Może będzie mogła mi powiedzieć, jakie numery obstawiać, gdy następnym razem zagram w ruletkę.

– O wiele więcej pieniędzy zdołasz zarobić po prostu pozostając przy tym, co umiesz najlepiej. I nie musisz ryzykować życia, próbując ją poznać.

– Czy chcesz mi powiedzieć, że Wyroczni zabija ludzi?

– Gwizdaczu, na temat Wyroczni nie wiem niczego pewnego – oświadczył podrażniony Gin. – Ale wiem, że jeśli spróbujesz wylądować na Hadesie bez zezwolenia Błękitnych Diabłów, oni cię zabiją.

– Chyba powinna tu wkroczyć Demokracja – podsunął Chandler.

– My także na nich czekamy, ale jak dotąd nie wykazali żadnego zainteresowania. – Przerwał. – A teraz, czy możemy porzucić ten temat?

– Wyglądasz na zdenerwowanego.

– Ludzie, którzy gadają na temat Wyroczni zawsze znikają – odrzekł Gin. – A mnie się tutaj podoba.

Chandler wzruszył ramionami.

– Co, u diabła, po prostu byłem ciekaw. Czas pomyśleć o ważniejszych sprawach.

– Na przykład?

– Na przykład o kolacji. Pozwól mi się przebrać, a potem chcę, abyś zawiózł mnie do najlepszej restauracji w mieście. Umieścimy to na rachunku dla pana Tripoli.

– Czy miałeś od niego wiadomość?

– Będę miał – odrzekł z pewnością siebie Chandler. – Ma robotę do wykonania, a ja mu już udowodniłem, że jestem w tym lepszy niż Chirurg. – Ruszył do windy. – Wracam za dwadzieścia minut.

Wszedł do swego pokoju, wziął szybki suchy prysznic, ogolił się i przebrał w popołudniowy, ciemnoszary garnitur, specjalnie tak uszyty, by maskował trzy pistolety: dźwiękowy, laserowy i jeden na zwykłe pociski. Odświeżony, opuścił pokój, i zjechał windą do holu.

– A więc? – zapytał, podchodząc do Giną. – Dokąd jedziemy?

– Ty jedziesz do Zielonego Brylantu – oświadczył Gin. – Ja wolę inne miejsce. – Przerwał. – Jeśli chcesz, mogę załatwić ci towarzystwo.

– Kiedy indziej.

Gin wzruszył ramionami i poszedł do samochodu.

– To wygląda znajomo – zauważył Chandler, gdy dojeżdżali do nędznie wyglądającej dzielnicy. – Czy to Dzielnica Platynowa?

– Nieźle, jak na faceta, który był tu tylko raz – odparł Gin.

– Czy jesteś pewien, że jedziemy do najlepszej restauracji w mieście? – w głosie Chandlera czaiła się wątpliwość.

– To klub prywatny – oświadczył Gin. – Nie zwracaj uwagi na to, jak

wygląda z zewnątrz; oni nie chcą, aby włązili tam ludzi z ulicy.

– Jak mam się tam dostać, jeśli jest prywatny?

– Rozeszły się wieści o dzisiejszym ranku – uśmiechnął się Gin. – Nie będziesz miał żadnych kłopotów.

– Chciałbym, abyś miał rację – oświadczył Chandler. – Nie lubię robić z siebie idioty.

– Zaufaj mi – odparł Gin, zatrzymując się przy zrujnowanym budynku.

Okna były zabite deskami, ściany pilnie wymagały malowania, drzwi natomiast, jako nieliczne w kwartale, nie miały skomplikowanych rzeźb. – A więc jesteś na miejscu.

– Żartujesz, prawda? – zapytał Chandler.

– Gwizdaczu, to jest Zielony Brylant*. Podejdź po prostu do drzwi.

– Żadnego hasła, żadnego tajnego kodu, pukania?

– Słuchaj, jeśli nie chcesz tu zostać, to powiedz, a ja cię zawiozę gdzie indziej.

– Nie – sprzeciwił się Chandler. – Już tu jesteśmy, a mnie dokucza głód.

Wysiadł z auta, podszedł do drzwi, a potem odwrócił się do Gina.

– Wróć za dwie godziny.

– Tak jest – odparł Gin. – Jeśli wcześniej skończysz, będę u Człowiłka. To jest około dwóch kwartałów stąd.

Samochód odjechał, Chandler ponownie zwrócił się ku drzwiom. Teraz, gdy podszedł bliżej, zauważył, że mają bardzo skomplikowany zamek komputerowy, a w cieniu dostrzegł parę ukrytych kamer holowizyjnych.

Czekał prawie trzydzieści sekund i już miał zapukać do drzwi, gdy rozległ się trzask zamka i drzwi bezdźwięcznie wsunęły się w ścianę. Niski, elegancki mężczyzna, ubrany na zielono, stał o kilka stóp przed nim w holu o kształcie rombu.

– Dobry wieczór, panie Chandler – przemówił łagodnym głosem. – Przyszedł pan tu na kolację, czy dla rozrywki?

*Diamond (ang.) ma kilka znaczeń: brylant, romb oraz kolor karciany karo.

– Najpierw pierwsze, potem drugie – odrzekł Chandler, wchodząc do budynku. Drzwi zasunęły się za nim.

– Pana stół jest już gotów – powiedział mężczyzna. Odwrócił się i

poszedł w stronę dużej, zatłoczonej sali.

– Chwileczkę – zatrzymał go Chandler.

– Tak? – spytał mężczyzna.

– Skąd wiedzieliście, że będę tu dzisiaj wieczoru? – Ja nie wiedziałem.

– Więc czemu jest dla mnie przygotowany stół?

– Każdy nasz gość ma własny, prywatny stół – wyjaśnił mężczyzna. –

Ten należał do pańskiego... aaa... – niezdarnie szukał właściwego słowa

– ... poprzednika. Nikt inny nie może z niego korzystać.

– Rozumiem – rzekł Chandler. – A ty jak się nazywasz...?

– Charles.

– W porządku, Charles. Prowadź.

– Dziękuję – odparł Charles, natychmiast znów ruszając z miejsca.

Wprowadził Chandlera do obszernej sali z błyszczącą, zieloną podłogą i pryzmatycznym sufitem, na którym załamywało się sztuczne światło z niewidocznego źródła, tworząc gamę przyćmionych kolorów. Sufit znajdował się na wysokości dwudziestu stóp nad podłogą, pośrodku widoczne było wewnątrz kopuły. Salę podzielono na jakieś czterdzieści wnęk w kształcie rombów, odgradzonych od siebie ścianami dziesięciostopowej wysokości. Gdzie tylko się dało umieszczono sztuczne zielone brylanty: na ścianach, jako ozdobę podłogi, a także naszyte na eleganckich mundurkach kelnerów i kelnerek. W centrum sali znajdowała się wielka fontanna również w kształcie rombu.

Charles poprowadził go do wnęki, gdzie panowała atmosfera intymności. Chandler usadowił się w pokrytej kosztownym obiciem łożu, a w chwilę później podszedł do niego kelner i wyrecytował menu dzisiejszego wieczora.

Chandler zamówił sałatkę z jarzyn uprawianych na Przystani Samarkanda oraz zmutowanego skorupiaka w sosie śmietanowym.

– Doskonale – powiedział kelner. – Czy zechciałby pan rozpocząć od znakomitej brandy z Alpharda? Właśnie tego ranka otrzymaliśmy nową dostawę.

– Później.

– Jak pan sobie życzy.

– A przy okazji, czy pan Tripoli jest tutaj?

– Nie.

– Gdyby przyszedł, proszę mu powiedzieć, że jestem.

– Tak.

– Ale gdyby szukał mnie ktokolwiek inny, proszę mnie zawiadomić.

Kelner skinął głową i popędził z zamówieniem, zostawiając Chandlerowi możliwość podziwiania tej części sali, która była widoczna z jego wnęki. Kwartet smyczkowy, który miał chwilę przerwy, właśnie znów się pojawił, stanął koło fontanny i zaczął grać spokojną muzykę. Przy stole Chandlera zatrzymała się blond kelnerka, niosąca tacę z wielkim wyborem zakąsek. Gwizdacz obejrzał je, wybrał jedną, a w chwilę później podano jego sałatkę.

Przez chwilę spoglądał od niechcienia na talerz, próbując zidentyfikować różne obce warzywa, gdy nagle... Może była to sprawa oświetlenia, może kształtu jarzyn, a może po prostu kąta widzenia, ale Chandler dostrzegł, jak światło odbija się od czegoś błyszczącego.

Wziął widelec, ostrożnie pogrzebał nim w sałatce, a potem podniósł go bardzo powoli i zbliżył do oka.

Był to mały odłamek szkła.

Poruszył widelcem zielonkawy liść i znalazł następny i kolejny okruch szkła.

Siedział absolutnie nieruchomo, wpatrując się w talerz i próbując uporządkować myśli.

Ktoś wiedział, że właśnie tego wieczora Chandler znajdzie się w Zielonym Brylancie. Nawet Gin nie domyślał się, dokąd pojedą, nim Chandler nie wrócił z policji. Oczywiście kierowca miał dość czasu, by komuś o tym powiedzieć, gdy Chandler brał prysznic i ubierał się. Ale było to wątpliwe. Gin musiał spodziewać się, że gdyby ofiara przeżyła, zada mu kilka trudnych pytań, a widział już Chandlera w akcji.

Zatem był to ktoś inny, ktoś, kogo nie trzeba informować, gdzie Gwizdacz zechce zjeść kolację; ktoś, kto po prostu wiedział.

Co oznaczało, że tutejsza Wyrocznia to rzeczywiście Penelopa Bailey.

Ale czemu jego domniemany morderca posłużył się tłuczonym szkłem, skoro trucizna byłaby niezauważalna? Jeśli Wyrocznia przewidziała, że Chandler znajdzie się tu, musiała też przewidzieć, że zobaczy kawałeczki szkła. Czy było to tylko ostrzeżenie, czy też istniały pewne granice jej zdolności? Łodziarz mówił, że nawet jako mała dziewczynka, potrafiła widzieć potencjalne zagrożenie dla siebie, a z pewnością Gwizdacz był

groźniejszy żywy niż martwy. Manipulowano nim, czy też Wyrocznia bywa omylna?

Nie miał dość informacji, by odpowiedzieć na to pytanie, więc pominął je i przeszedł do następnego: ktoś w Zielonym Brylancie próbował go zabić. Kto?

Popatrzył na Charlesa, który eskortował starszą wiekiem parę do stołu. Mógł to zrobić. Poszukał wzrokiem swego kelnera, lecz nie było go widać. Kolejna możliwość. Ale jakoś w nią nie uwierzył: tłuczone szkło nie zabija natychmiast, a jego reputacja dotarła tu wcześniej niż on sam. Musieli wiedzieć, że będzie żył dostatecznie długo, by załatwić ich obu, nim szkło porznie jego wnętrzności i całkowicie go obezwładni.

Więc kto? Myślał o tym jeszcze przez chwilę, a potem przywołał gestem Charlesa.

– Tak, panie Chandler? – zapytał Charles, zbliżając się do stołu.

– Chciałbym obejrzeć waszą kuchnię – powiedział.

– Oczywiście, panie Chandler. Jesteśmy bardzo z niej dumni. Jeśli wróci pan jutro rano, z przyjemnością pana oprowadzę.

– Chciałbym ją obejrzeć natychmiast.

– Obawiam się, panie Chandler, że to nie wchodzi w rachubę – odrzekł Charles. – O tej porze mamy największy ruch.

– To nie była prośba – stwierdził Chandler.

Charles aż przymknął oczy patrząc, jak dłoń Chandlera znacząco wsuwa się do kieszeni.

– Jest pan całkiem pewien, panie Chandler? – zapytał wzburzony.

– Całkiem.

– Czy mogę spytać, dlaczego?

– Możesz – odparł Chandler. – Ale to ci nie wyjdzie na dobre. – Wstał z miejsca. – Idziemy.

– Proszę nie robić żadnych pośpiesznych ruchów – powiedział Charles. – Nie chcemy alarmować członków naszego klubu.

– Zastosuj się do własnej rady, to nie będziemy mieli żadnych problemów – odparł Chandler.

Charles odwrócił się i skierował do krótkiego, lecz szerokiego korytarza, prowadzącego do kuchni, a potem zatrzymał się przed drzwiami.

– Czy życzy pan sobie, abym z panem wszedł, panie Chandler?

– Nie, to nie jest konieczne. Charles zawrócił i zaczął się oddalać.

– Charles? – zawołał za nim Chandler.

– Tak, panie Chandler?

– Czy nie zamierzasz przypadkiem wezwać policji albo ochroniarza?

– Z pewnością nie, panie Chandler.

– Jesteś fatalnym kłamcą, Charles – oświadczył Chandler. – Ale są dwie rzeczy, o których powinieneś wiedzieć.

– Tak?

– Jeśli wyślesz za mną ochroniarza, zabiję go. A jeśli wezwiesz policję, oskarżę Zielony Brylant o usiłowanie morderstwa.

– Jak to? – powiedział naprawdę zdumiony Charles.

– Ktoś zrobił mały dodatek do mojej sałatki – zawiadomił go Chandler. – Jeśli nie chcesz zwracać na siebie uwagi, po prostu zostaw mój talerz tam, gdzie stoi.

Charles patrzył na niego przez długą chwilę, a potem ruszył w kierunku sali restauracyjnej.

Gdy Chandler zbliżył się do drzwi, rozsunęły się natychmiast, ukazując wnętrze kuchni. Były tam liczne piece, grille, kuchnie gazowe, zamrażarki i chłodziarki i ze sześcioro mężczyzn i kobiet oraz dwóch Lodinitów. Wszyscy ubrani w jasną zieleń, uważnie zajmowali się potrawami, układając je artystycznie na półmiskach lub stawiając ostrożnie na tacach dla kelnerów, którzy przeciskali się nieustannie obok niego. Nikt nie zwrócił na gościa najmniejszej uwagi.

A potem zobaczył to, czego się spodziewał.

Z alkowy wyłonił się człowiek i Błękitny Diabeł; każdy z nich niósł pół tuzina sałatek. Człowiek zauważył Chandlera, popatrzył na niego ciekawie, a potem wzruszył ramionami nie przerywając marszu do wielkiej lady.

Błękitny Diabeł rzucił okiem na Chandlera, upuścił swą tacę na podłogę i wpadł do alkowy, z której przed chwilą wyszedł.

Chandler popędził przez kuchnię, nie przejmując się wrzaskami i protestami personelu i wbiegł do alkowy. Kosmity tam nie było, ale właśnie zatrząskiwały się drzwi, a gdy Chandler skierował się ku nim, rozsunęły się ponownie.

Znalazł się w przejmująco wilgotnym, słabo oświetlonym zaułku na tyłach budynku, kiedy Błękitny Diabeł akurat zniknął za rogiem. Chandler natychmiast rzucił się za nim w pogoń i wkrótce zmniejszył dzielącą ich

odległość z osiemdziesięciu jardów do niewiele ponad czterdziestu.

Wtedy Błękitny Diabeł dał nura za następny róg. Chandler podążył za nim i nagle znalazł się w ślepej uliczce, stojąc przed ścianą dużego budynku. Błękitnego Diabła nigdzie nie było widać.

Zatrzymał się, wydobył pistolet dźwiękowy i rozejrzał się dookoła. Uliczka wiodła do solidnej, kamiennej ściany, odległej o jakieś dwadzieścia jardów, a w żadnym z otaczających budynków nie było okien w zasięgu ręki. Przeszedł kolejno wzdłuż wszystkich ścian; nie zauważył wnek, w których mógłby się schować ktokolwiek wzrostu człowieka lub Błękitnego Diabła.

Wrócił, idąc wzdłuż budynków w stronę ściany i stanął tam, próbując wymyślić, gdzie w ciągu pięciu sekund mógł schować się Błękitny Diabeł.

A wtedy, z przelatującego w górze statku padło na uliczkę światło. Chandler ujrzał w odległości około dziesięciu stóp pokrywą włazu.

Błękitny Diabeł nie mógł jej zdjąć i znaleźć się we włazie w ciągu pięciu sekund... Ale jeśli był przygotowany na taką ewentualność, jeśli pozostawił właz nie zakryty i planował zamknięcie go, gdy tylko tam się zanurzy, miał dokładnie tyle czasu, by zniknąć, nim Chandler pojawił się w polu widzenia.

Co takiego opowiedział mu Gin? Coś na temat tuneli pod Dzielnicą Platynową. Pomyślał, czy nie pójść do Człowiłka i nie zaangażować Giną w charakterze przewodnika, ale trudno było przewidzieć, gdzie wówczas znajdzie się Błękitny Diabeł, a nawet, czy nadal będzie w tunelach. Chandlerowi zaś bardziej zależało na rozwikłaniu zagadki, niż na przewodniku.

Podjąwszy decyzję Chandler zdjął pokrywą i z pistoletem w dłoni zanurzył się w krętych, mrocznych korytarzach, leżących pod Dzielnicą Platynową.

Znalazł się w małej, krągłej jaskini, z której w trzy strony odchodziły tunele.

Teraz przestał być mordercą, a stał się znów myśliwym z Planety Francuza. Na podłodze, tuż przed wejściem do biegnącego po lewej stronie tunelu Chandler zauważył małą kałużę, w której woda poruszała się lekko, jakby ktoś przeszedł przez nią przed chwilą. Schyliwszy się trochę, gotów w jednej chwili przywrzeć do ściany, ostrożnie wszedł do tunelu.

Tu i ówdzie w starych tysiącletnich tunelach mógł dostrzec ślady, jakie tylko wyszkolone oko myśliwego potrafi ujrzeć, dowodzące, że nadal jest na właściwym tropie. Chciał przyśpieszyć kroku, aby Błękitny Diabeł nie wyprzedził go zbyt, ale trudno było podążać tą trasą, biegnąc zaś mógłby narobić hałasu, a wtedy jego zwierzyna skryłaby się w jednej z wielu odnóg.

Po dziesięciu minutach dotarł do obszernej groty, gdzie zgubił trop Błękitnego Diabła, ponieważ zanim tu trafił, przeszło tędy niemało ludzi zacierając wszelkie ślady jego zwierzyny.

Z jaskini odchodziły cztery dalsze tunele, a gdy próbował ustalić, którym podążać, usłyszał na prawo od siebie ciche szuranie. Cofnął się do tunelu, którym wszedł do jaskini, przykucnął i czekał.

W chwilę później mały człowieczek z laserową strzelbą wetkniętą pod pachę pojawił się w jaskini, rozejrzał i przeraźliwie zagwizdał. Odpowiedziano gwizdem z innego korytarza.

Znów gwizdnał i znów nadeszła odpowiedź, tym razem z innej strony.

– Wiem, że gdzieś tutaj jesteś – powiedział. Chandler trwał nieruchomo w milczeniu.

– Chodźże – zniecierpliwiał się człowieczek. – Im dłużej będziemy cię szukać, tym bardziej ci będzie niemiło, gdy wpadniesz w nasze ręce.

Z innego tunelu wynurzył się drugi człowiek.

– Ani śladu po nim? – zapytał.

– Nie – odrzekł niewysoki. – Ale jest blisko. Czuję to w kościach. Dwa nowe wibrujące gwizdy odbiły się echem w tunelach i w chwilę później czterej mężczyźni, wszyscy uzbrojeni, stanęli w jaskini.

– Teraz wyjdź – zawołał mały człowiek – a będziesz mógł się wykupić.

Jeśli zmusisz nas do polowania, zapłacisz dużo więcej.

Chandler usłyszał, że jego korytarzem nadchodzi jeszcze jeden człowiek, szybko więc wszedł do jaskini, dając krok w lewo i przywierając plecami do ściany.

– Rzuć pistolet, koleś – oświadczył nieduży, gdy cała czwórka zauważyła Chandlera i odwróciła się twarzami do niego.

– Jeśli ty to zrobisz – odpowiedział Chandler.

– Jest nas czterech – uśmiechnął się mały. – Jak myślisz, jakie masz szansę?

– Jest was pięciu – sprostował Chandler. – Nie chcę was zabijać. Szukam tylko informacji.

– On nie chce nas zabijać! – roześmiał się jeden z mężczyzn.

– Zgadza się – powiedział Chandler. Kroki umilkły. – Wyjdź i przyłącz się do towarzystwa – zaproponował.

– Myślę, że zaczekam aż przyjęcie się zacznie – odparł rozbawiony głos z tunelu, który Chandler właśnie opuścił.

– Szukam Błękitnego Diabła. Wszedł tu jakieś dziesięć minut temu – wyjaśnił Chandler, nie przestając celować do małego. – Czy widziałeś go?

– Na dole tylko my zadajemy pytania – odrzekł mały. – To jest nasze terytorium i trzeba płacić za bezprawne wkroczenie. Ile masz ze sobą pieniędzy?

– Nie płacę okupów – stwierdził Chandler. – Ale płacę za informacje. Pięć tysięcy kredytów dla tego, kto zaprowadzi mnie do Błękitnego Diabła.

– Pięć tysięcy kredytów – powtórzył mały z rozjaśnioną twarzą. – Masę pieniędzy nosisz przy sobie, przyjacielu.

– Za dużo – zauważył jeden z jego towarzyszy.

– O wiele za dużo – zgodził się inny. – Człowiek, który nosi przy sobie tyle pieniędzy, po prostu prosi się, by go obrabować. – Przerwał i łypnął pożądliwie. – Myślę, że będziemy musieli udzielić ci małej lekcji pogłądowej na temat włóczenia się z taką masą pieniędzy.

– Popelniasz błąd – oświadczył złowieszczo Chandler.

Mały mężczyzna wycelował do Chandlera ze strzelby laserowej.

– Gadaliśmy dość, przyjacielu. Rzuć pistolet albo usmażę cię natychmiast.

Czterej mężczyźni ustawili się półkolem, Chandler zaś, wzruszywszy ramionami, upuścił na podłogę swój pistolet laserowy, który upadł z

głośnym stukiem.

– Cieszę się, że zdecydowałaś się ruszyć głową, przyjacielu – stwierdził mały. – Otóż tak się właśnie składa, że rogatekowe za spacer do następnego wyjścia wynosi dokładnie pięć tysięcy kredytów... chyba że masz przy sobie dużo więcej.

– A jeśli mam?

– Wówczas poczulibyśmy się bardzo obrażeni, że myślałaś, iż możesz nas tak tanio kupić.

– A gdy nas ktoś obraża, robimy się zachłanni – uzupełnił jeden z pozostałych.

Mały uśmiechnął się i kiwnął głową.

– Oraz nieprzyjemni.

– Mam więc nadzieję, że posiadasz tylko pięć tysięcy kredytów – powiedział trzeci, zbliżając się do Chandlera. – I nie chciałbyś, abyśmy stali się nieprzyjemni.

– Już teraz niezbyt was lubię – stwierdził Chandler.

– To, przyjacielu, będzie cię kosztować dodatkowy tysiąc – oświadczył mały. – A jeśli go nie masz, weźmiemy coś w zamian.

– A teraz stój nieruchomo – polecił trzeci, zatrzymując się tuż przed Chandlerem i sięgając do kieszeni jego marynarki. – Albo sprawi ci to znacznie większy ból niż mnie.

– Wątpię – powiedział Chandler. Zgiął nadgarstek i już miał w dłoni pistolet na pociski. Strzelił w pierś tego, który go rewidował, a potem użył go jako tarczy, strzelając dalej.

W dwie sekundy później tylko on stał. Trzech jego przeciwników leżało nieruchomo, mały zaś wił się z bólu, trzymając się za brzuch, daremnie próbując zatamować krwotok.

– Ty tam w tunelu – rozkazał zdecydowanym głosem Chandler. – Wyjdź z rękami w górze.

Usłyszał kroki oddalającego się biegiem człowieka, błyskawicznie znalazł się u wylotu tunelu i dwukrotnie wystrzelił. Huk wybuchów był ogłuszający, ale gdy ucichł, Chandler zdołał dosłyszeć słabe, chrapliwe jęki człowieka, którego postrzelił.

Szybko podszedł do małego i zabrał mu strzelbę.

– Pomóż mi! – syknął ranny.

– Tak jak ty mi pomogłeś? – spytał złośliwie Chandler.

– Do cholery, umieram!

– Zapewne pożyjesz jeszcze z godzinę – stwierdził Chandler. –

Powiedz mi, gdzie mogę znaleźć Błękitnego Diabła, a przyślę ci pomoc.

– Idź smażyć się w piekle!

– Wygrzej mi tam fotel – odrzekł Chandler prostując się i kierując ku tunelowi na lewo.

– Zaczekaj! – zawołał słabym głosem mały. Chandler odwrócił się, ale nie podszedł do niego.

– Czy chcesz mi coś powiedzieć?

– Jakiś Błękitny Diabeł zszedł do tunelu jakieś pięć minut przed tobą.

– Gdzie mogę go znaleźć?

– Najpierw mi pomóż!

– Nie teraz. W czasie, gdy będę cię niósł do doktora, on dawno zniknie. Powiedz mi, gdzie go szukać. Jeśli załatwię moją sprawę na czas, skontaktuję się z najbliższym lekarzem i powiem mu, gdzie cię może znaleźć.

– Oni nie zechcą tu zejść.

– To już twój problem. Ja muszę odnaleźć Błękitnego Diabła.

– Nigdy go beze mnie nie znajdziesz.

– Nigdy go nie odszukam, gdy stracę jeszcze trochę czasu dla ciebie

– stwierdził Chandler.

– Zawrzyjmy umowę! – wysapał mały. – Zanieś mnie do doktora, a ja pomogę ci go znaleźć.

– Nim dostaniesz się do szpitala, on już dawno znajdzie się na Hadesie. – Chandler ponownie odwrócił się w stronę tunelu.

– Nie możesz mnie tu zostawić!

– Przecież właśnie to chcieliście zrobić ze mną – odparł Chandler. – Możesz to uznać za karę niebios.

– Kim jesteś? – zapytał mały.

– Jestem człowiekiem, który cię zabił – odrzekł Chandler, zagłębiając się w tunelu. Protesty i przekleństwa małego dolatywały coraz słabiej, aż wreszcie, gdy Chandler skręcił za róg, ucichły zupełnie.

Tunele oświetlone były słabym blaskiem wiecznych lamp, rozmieszczonych co dziesięć jardów. Wkrótce Chandler zauważył, że panuje tu określony porządek: w korytarzach światła czerwone, na skrzyżowaniach pomarańczowe, a zielone przed jaskinią.

Przemierzał tunnel po tunelu, trzymając laserową strzelbę w gotowości.

Od czasu do czasu słyszał w odległych korytarzach szuranie stóp, ale gdy tylko wydawało mu się, że zbliża się do celu – zapadała cisza.

Zdał sobie sprawę, że nigdy nie dogoni Błękitnego Diabła, jeśli ten zna drogę przez tunel. Zapewne wydostał się już na powierzchnię przez jakiś inny właz czy wejście. Ale Gin, opisując tunele, nigdy nie wspominał o Błękitnych Diablach, a zabity przez Chandlera mężczyzna nie nazwał Diabła żadnym imieniem. Była więc szansa, że Błękitny Diabeł, którego nie mógł dogonić, tak samo jak on nie miał prawa tu przebywać. To zaś z kolei oznaczało, że istnieje przynajmniej możliwość, że kosmita spotka się z takim samym przyjściem, jak przed chwilą Chandler w pierwszej jaskini.

Zielone światło oznaczało, że znów zbliża się do jakiejś groty, więc zwolnił tempo, nadstawiając uszu. W odległości dziesięciu stóp od wejścia usłyszał dwoje ludzi, mężczyznę i kobietę, rozmawiających przyciszonymi głosami.

Bezgłośnie wsunął się do jaskini. Tamci siedzieli plecami do niego i nadal porozumiewali się półgłosem.

– Mówią, że był to Gwizdacz – powiedział mężczyzna. – A dzisiaj przed południem zabił Chirurga.

– Po co miałybyście chcieć przejść tunele? – zapytała kobieta. – Dla gracza o tak wysokie stawki jesteśmy drobnicą.

– Kiedy chce się zostać szefem, człowiek nie martwi się, czy to, co się łapie jest duże, czy małe – oświadczył ze znajomością rzeczy mężczyzna. – Łapie się wszystko.

– No, jeśli on tu zejdzie, będzie sobie pluł w brodę, że nie został na górze.

– On już tu zszedł – sprzeciwił się mężczyzna. – Kto inny mógłby zabić Borysa i pozostałych? To musiał być Gwizdacz.

– Gwizdacz czy nie Gwizdacz, jeśli tylko się pokaże, potnę go na plasterki.

– Stać! – powiedział cicho Chandler, wchodząc głębiej do jaskini. – Ani słowa, ani gestu.

Zerwali się na równe nogi.

– Nikt tu nie będzie nikogo ciął na plasterki – kontynuował Chandler, podchodząc do nich. – Odwróćcie się teraz.

Stały twarzami do niego.

– Ty jesteś Gwizdacz? – zapytał mężczyzna.

– Niektórzy tak mnie nazywają – potwierdził Chandler.

– Nie przejmiesz tuneli! – warknęła kobieta. – Nie obchodzi mnie jak jesteś dobry, wszystkich nas nie zdołasz zabić!

– Nie chcę zabijać nikogo z was – powiedział Chandler. – Potrzebuję tylko trochę informacji.

– Więc czemu zabiłeś Borysa i jego ludzi? – zapytała.

– Bo nie chcieli ze mną współpracować.

– Nie kapujemy na swoich, Gwizdaczu – rzucił wyzywająco mężczyzna. – Możesz równie dobrze zaraz nas zastrzelić.

– Nie chcę nikogo z was – wyjaśnił Chandler. – Szukam Błękitnego Diabła.

– Tu na dole nie mamy żadnych Błękitnych Diabłów – odparła kobieta.

– Tylko Ludzi.

– On nie pracuje dla was, przynajmniej tak uważam. Wszedł do tuneli parę minut przede mną. – Przerwał. – Chcę go mieć.

– Po co?

– Nie wasza sprawa. Nie ma to nic wspólnego z tunelami. Nie zamierzam się do was mieszać.

– Czemu miałibyśmy ci wierzyć? – kobieta nie była przekonana.

– Ponieważ drugą ewentualnością, dla której mógłbym się tu znaleźć, jest to, żeby was zabić, a jesteście nadal żywi – stwierdził Chandler.

Mężczyzna i kobieta wymienili spojrzenia.

– Jeśli zaprowadzimy cię do Błękitnego Diabła, czy nie będziesz żądał niczego więcej? – zapytał mężczyzna. – Zabierzesz go na górę, a tunele zostawisz nam?

– Tyle tylko chcę – skinął głową Chandler. – I nigdy już tu nie wrócisz?

– Tego nie mogę obiecać. Jeśli wrócę, to nie bez powodu. Mężczyzna długo mu się przyglądał, aż wreszcie skinął głową:

– Dobrze, umowa stoi.

– Prowadźcie zatem – polecił Chandler.

– Najpierw muszę dowiedzieć się, gdzie jest Błękitny Diabeł.

– Czy potrafisz to zrobić nie niknąc mi z oczu? – zapytał Chandler.

– Tak.

Gdy mężczyźni rozmawiali, kobieta przysunęła dłoń w stronę swego paska i zacisnęła ją na rękojeści noża.

– Wyciągnij go, a resztę życia spędzisz zjedną ręką – ostrzegł Chandler groźnym tonem.

– Nie bądź głupia – warknął mężczyzna. – Stoisz przed Gwizdaczem! Przez chwilę patrzyła na niego wściekłym wzrokiem, ale zaraz odprężyła się i opuściła rękę.

Mężczyzna rozejrzał się po jaskini, podniósł dwa małe kamyki, a potem wszedł do jednego z korytarzy i zaczął nimi stukać w ścianę w nieregularnym rytmie. Jeszcze trwało echo dźwięków w wilgotnym powietrzu, gdy ruszył do następnego korytarza i znów zaczął stukać. Następnie powtórzył wszystko w tunelu, którym przyszedł Chandler.

– To nasz własny kod – wyjaśnił mężczyzna, wracając na środek jaskini. – Jeśli twój Błękitny Diabeł jest gdziekolwiek na dole, dowiemy się o tym za minutę, najdalej dwie.

– Jeśli wezwalesz pomoc – ostrzegł Chandler – chcę być wiedział, że nie mam zamiaru umierać samotnie.

– Jeśli wszyscy zachowamy spokój, nikt AV ogóle nie będzie musiał umierać – odrzekł mężczyzna. – Tylko daj nam słowo, że zabierzesz swego Błękitnego Diabła na górę i więcej tu nie wrócisz.

Zamilkli, czekając na odpowiedź. Półtorej minuty później usłyszeli słabe pukanie, po nim zaś przeraźliwy gwizd.

– W porządku – oświadczył mężczyzna, zwracając się do Chandlera. – Mamy Błękitnego Diabła.

– Chodźmy.

– To nie będzie takie proste. Już wykombinowali, że to ty go szukasz – przerwał. – Chętnie ci go odsprzedadzą.

– Ile? – spytał Chandler.

– Kwota do wynegocjowania. – Jesteś pewien, że chodzi o tego, który wszedł tu przede mną?

– To jedyny Błękitny Diabeł, który przez cały wieczór się tutaj pałęta. Dobrze wiedzą, co ich na dole może spotkać. – Przerwał. – A więc jesteś gotów zapłacić za niego?

– Tak. Jakąś rozsądną kwotę – stwierdził Chandler.

– A jeśli nie zgodzimy się na twoją cenę? – zapytała kobieta, nadał patrząc na niego ponurym wzrokiem.

– Czy nie lepiej będzie martwić się o to we właściwym czasie? – zaproponował Chandler. Zwrócił się do mężczyzny. – Idź przodem.

Mężczyzna skierował się do korytarza na prawo, a kobieta odsunęła się, by przepuścić Chandlera.

– Ty idziesz druga – polecił.

Znów mu rzuciła wściekłe spojrzenie, ale podążyła za swym towarzyszem, Chandler zaś zamykał pochod.

Przeszli prawie pięćdziesiąt jardów, potem ostro skręcili w lewo, przy następnym rozgałęzieniu ponownie w lewo, a potem korytarz stopniowo zaczął opuszczać się w dół. Gdy znaleźli się prawie ćwierć mili pod powierzchnią księżycy, dotarli do największej jaskini, jaką Chandler dotychczas widział.

Błękitny Diabeł był przywiązany do słupa, na całym ciele miał ślady pobicia. Koło niego stało czterech mężczyzn i dwie kobiety, na przeciwległym końcu jaskini siedział tęgi mężczyzna na prymitywnie wyciosanym kamiennym fotelu za namiastką biurka z granitu.

– Ach, pan Chandler! – zawołał grubas. – Jak to miło, że złożył nam pan wizytę.

– To nie jest Chandler – sprostował mężczyzna, który ich tu przyprowadził. – To Gwizdacz.

– To tylko pseudonim – stwierdził siedzący za biurkiem. – Nazywa się Jozue Jeremiasz Chandler – uśmiechnął się grubas – i miał dziś bardzo pracowity dzień.

Chandler patrzył na niego, ale nie odpowiadał.

– Ale gdzież moje dobre wychowanie? – powiedział mężczyzna, wstając z miejsca. – Panie Chandler, proszę pozwolić, że się przedstawię. Nazywam się Lord Lucyfer.

– Interesujące – odrzekł nader obojętnie Chandler.

– Ścisłe – padła odpowiedź. – Państwem Lucyfera są czeluście Ziemi, moim zaś świat pod powierzchnią Przystani Marrakesz. – Przerwał. – Mam pana nazywać Chandler, czy Gwizdacz?

– Proszę wybierać, co panu sprawi większą przyjemność.

– Znakomicie! – odparł Lord Lucyfer z uśmiechem. – Mam nadzieję, że nasze negocjacje przebiegną w serdecznej atmosferze.

– Skąd pan wiedział, kim jestem?

– Poprosiłem Charlesa, by mi pana wskazał.

– Charlesa?

– Szefa sali w Zielonym Brylancie – odrzekł Lord Lucyfer. – Gdy

usłyszałem, że zabił pan Chyrga, wiedziałem, że pana wizyta w Zielonym Brylancie to tylko kwestia czasu; każdy, kto jest kimś, wcześniej czy później tam się pojawia. A ponieważ ja sam jestem członkiem klubu, po prostu dałem Charlesowi napiwek, by mnie powiadomił, gdy pan przybędzie. – Przerwał. – Zaintrygował mnie pan wchodząc do kuchni. A gdy pan nie powrócił, uznałem, że udał się pan w pogoń za Błękitnym Diabłem. Gdybyście obaj pozostali na powierzchni, nie miałbym sposobu na włączenie się w to równanie... Ale biorąc pod uwagę możliwość, że Błękitny Diabeł zbiegnie do tuneli, dałem znać moim ludziom, by go złapali, lecz nie zabijali. Zakładałem bowiem, że to stworzenie będzie miało dla pana o wiele większą wartość jeszcze żywe. – Znow się uśmiechnął. – I oto pan jest.

Chandler popatrzył na Błękitnego Diabła.

– Czy ono mówi jakimś ziemskim językiem?

– Chcąc pracować na Przystani Marrakesz, musiało umieć – odrzekł Lord Lucyfer.

– W porządku – powiedział Chandler, odwróciwszy się do Lorda Lucyfera. – Ile?

– No cóż, musimy wziąć pod uwagę, że zabił pan dzisiejszego wieczoru pięciu moich pracowników – odparł Lord Lucyfer. – Do tego dochodzi wysiłek, jaki musieliśmy włożyć, by schwytać Błękitnego Diabła, oraz mój własny czas i koszty ogólne. No i oczywiście zarówno pan, jak i Błękitny Diabeł możecie mnie teraz zidentyfikować, więc to także będę musiał wziąć pod uwagę w rachunkach.

– Cena – powtórzył Chandler znużonym tonem.

– Z drugiej jednak strony, panie Chandler, lubię pana. Naprawdę. Kto zgodziłby się przyjść tu, gdzie ja panuję i pozostać tak spokojnym i opanowanym? Przyjacielu, złóż mi ofertę.

– Pięć tysięcy kredytów.

Lord Lucyfer ze smutkiem potrząsnął głową.

– Naprawdę znacznie bardziej cenilem moich poległych towarzyszy. Z pewnością nie mógłbym wziąć pod uwagę kwoty niższej, niż trzydzieści tysięcy.

Chandler sięgnął do kieszeni, wyjął plik banknotów, odliczył pięć z nich i schował resztę. Następnie przeszedł przez jaskinię i położył pieniądze na biurku.

– Pięć tysięcy kredytów – powtórzył.

– Panie Chandler, jest pan człowiekiem albo bardzo odważnym, albo bardzo głupim – stwierdził Lord Lucyfer.

– Mam ograniczony budżet.

Lord Lucyfer odrzucił głowę do tyłu i ryknął śmiechem.

– Znakomite! – zdołał wreszcie powiedzieć. – Panie Chandler, myślę, że zostaniemy wielkimi przyjaciółmi. – Uśmiech znikł z jego twarzy. – Ma pan Błękitnego Diabła za pięć tysięcy kredytów pod jednym warunkiem.

– Jakim?

– Pytał pan, czy Błękitny Diabeł potrafi mówić którymś z ziemskich języków – odrzekł Lord Lucyfer. – Wynika z tego, że go pan przesłucha przed zabiciem lub wypuszczeniem na wolność. – Wlepił wzrok w Chandlera. – Mój warunek jest prosty: chcę być obecny w czasie przesłuchania.

– Czemu?

– Od chwili wylądowania tutaj nie zrobił pan nic złego żadnemu Błękitnemu Diabłu, a wiem, że nie był pan na Hadesie. Żaden Błękitny Diabeł na Przystani Marrakesz nie interesuje nas. Chciałbym więc wiedzieć, panie Chandler, dlaczego właśnie ten chciał pana uśmiercić.

– Nadal nie wiem, dlaczego to pana obchodzi.

– Proszę nie udawać tępaka, panie Chandler – oświadczył Lord Lucyfer. – Morderstwa należą do najlucracyjniejszych przedsięwzięć mojej organizacji. Jeśli Błękitne Diabły mają zamiar ze mną konkurować na Przystani Marrakesz, chcę o tym wiedzieć.

– Mogę pana zapewnić, że nie zamierzają – stwierdził Chandler.

– Z pewnością może pan – zgodził się Lord Lucyfer. – Ale ja wolałbym to sam usłyszeć.

– To, co ten Błękitny Diabeł ma do powiedzenia, pana nie dotyczy.

– Panie Chandler, pozwoli pan, że wyrażę się z absolutną jasnością: moje zainteresowania zawodowe zaczynają się i kończą na Przystani Marrakesz. Jeśli Błękitny Diabeł miał jakikolwiek inny powód, by próbować pana zabić, to mnie w ogóle nie interesuje. Jeśli obawia się pan, że wykorzystam informacje zdobyte podczas przesłuchania, to mogę pana zapewnić, że tego nie zrobię. – Spojrzał Chandlerowi w oczy. – Rozkażę moim ludziom, aby opuścili jaskinię. Zostaniemy tylko my dwaj i Błękitny Diabeł... Jedynie pod tym warunkiem zaakceptuję cenę pięciu tysięcy

kredytów.

Chandler przez chwilę zastanawiał się nad oświadczeniem Lorda Lucyfera, a potem skinął głową na zgodę.

– Słyszeliście – zwrócił się Lord Lucyfer do pozostałych. – Zostawcie nas samych, póki po was nie poślę. – Zwrócił się do Chandlera. – Jeśli pan mnie zabije, proszę uwierzyć memu zapewnieniu, że nie wyjdzie pan już na powierzchnię.

Pięciu mężczyzn i trzy kobiety rządkiem opuścili jaskinię, Chandler i Lord Lucyfer zaś podeszli do słupa, do którego przywiązany był Błękitny Diabeł.

– Jak się nazywasz? – zapytał Chandler.

Błękitny Diabeł spojrzał na niego i nie odpowiedział.

– Ma na imię Boma – poinformował Lord Lucyfer.

– Skąd pan wie?

– Nie śpieszyło mi się tak bardzo jak panu – odrzekł z uśmiechem Lord Lucyfer. – Zapytałem o to jeszcze w kuchni. – Przerwał. – On pracował w Zielonym Brylancie od dwóch tygodni.

– A ja około dwóch tygodni temu rozmawiałem z Lodziarzem – zauważył Chandler. – Dobra jest, to muszę jej przyznać.

– Kto to jest Lodziarz? – zapytał Lord Lucyfer. – I o jakiej „jej” pan mówi?

Chandler puścił pytanie mimo uszu i zwrócił się do Błękitnego Diabła.

– Boma, kiedy ona kazała ci mnie zabić? Dwa tygodnie temu, czy dzisiaj?

Boma nie odpowiedział.

– Czy możesz się z nią kontaktować z Przystani Marrakesz? Błękitny Diabeł nadał milczał.

– A jak ja mogę się z nią skontaktować? Żadnej odpowiedzi.

– Odpowiedz mi tylko na to jedno pytanie, a będziesz mógł odejść stąd w jednym kawałku – zapewnił Chandler.

Żadnej odpowiedzi.

– Jest pan pewien, że on mówi jakimś ziemskim językiem? – zapytał Lorda Lucyfera Chandler.

– Oczywiście.

– I rozumie, o co pytam?

– Tak.

– Dobrze, Boma – powiedział Chandler, wydobywając pistolet laserowy. – Teraz ona nie może ci pomóc. Jeśli będę musiał ci spalić kolejno po jednym palcu u ręki i nogi, mogę to zrobić. A potem popracujemy nad stawami. Wcześniej czy później zaczniesz ze mną rozmawiać.

Boma spojrział Chandlerowi w oczy.

– Nigdy – powiedział.

– A jednak potrafisz mówić, jeśli chcesz – stwierdził Chandler. * A teraz powiedz mi tylko, jak się z nią skontaktować i możesz sobie oszczędzić mnóstwo bólu.

Boma patrzył na niego i nie odpowiadał.

– To ostatnia okazja – ostrzegł Chandler, odbezpieczając broń i przykładając lufę do jednego z palców Błękitnego Diabła.

– Nie możesz wygrać, Gwizdaczu – powiedział Boma.

– Tak myślisz?

– Ona jest Wyrocznią.

Błękitny Diabeł z całej siły zacisnął szczęki i natychmiast zawiśł, podtrzymywany tylko przez więzy.

– Gówno! – mruknął Chandler, siłą otwierając pysk stworzenia. – Jeden z jego kłów jest złamany. Zapewne miał wewnątrz staromodną kapsułkę samobójczą. – Wyprostował się i zmarszczył brwi.

– Powinienem się domyślić! – powiedział Lord Lucyfer z twarzą rozjaśnioną nagłym zrozumieniem. – Wiedziałem, że Przystań Marrakesz zbyt mało dla pana znaczy. Przyjechał pan po nią!

– Wie pan o niej?

– Przyjacielu, wiem dość, by panu nie zazdrościć.

Chandler przez długą chwilę wpatrywał się w nieżyjącego Błękitnego Diabła, a potem podniósł wzrok.

– Jaką miała władzę nad tym kosmitą, że wolał raczej się zabić, niż cokolwiek powiedzieć? Jak mogę się z nią skontaktować?

– Właśnie to zdarzenie powinno panu wyjaśnić, panie Chandler, jaką ma władzę – stwierdził Lord Lucyfer. – Błękitny Diabeł wolał umrzeć, niż narazić się na jej niezadowolenie z odległości jakichś 300 000 mil. – Wzruszył ramionami. – Cóż, nikt nigdy nie twierdził, że Błękitne Diabły są bystre.

– Nie całkiem pana zrozumiałem.

- Mogłem panu od razu powiedzieć to wszystko, co chciał pan wiedzieć – wyjaśnił Lord Lucyfer.
- Dlaczego?
- Odpowiedź jest oczywista, panie Chandler – odrzekł Lord Lucyfer. – Jej nie można zabić.

Siedzieli w małej jaskini, której kamienna podłoga i ściany ostro kontrastowały ze skórzanymi meblami i tkanymi dywanami. Lord Lucyfer trzymał w palcach duże cygaro z systemu Syriusza i popijał stuletnią alphardzką brandy, Chandler zaś pociągnął duży łyk piwa, a potem odstawił szklankę na przesłiczny stolik z domariańskiego drewna liściastego.

– Proszę zrozumieć, panie Chandler – powiedział Lord Lucyfer – pomógłbym panu, gdybym mógł. Bardzo cieszyłaby mnie współpraca z człowiekiem o pana zdolnościach. – Westchnął. – Nie kocham ludzi, którzy sprzedają się rasie kosmitów i z pewnością okazją rozciągnięcia terenu moich operacji na sam Hades bardzo by mnie ucieszyła. Ale to się nie może panu udać.

– Pan jej nigdy nie widział – odrzekł Chandler. – I nikt na tej planecie, poza mną, nawet nie orientuje się, jakie są jej możliwości. Więc czemu pan się jej boi?

– Znam władzę, jaką ona posiada – odparł Lord Lucyfer. – Nie muszę wiedzieć, w jaki sposób ją wykonuje.

– Dobrze. Proszę mi opowiedzieć o jej potędze.

– Demokracja nigdy nie była silniejsza, niż obecnie, panie Chandler – stwierdził Lord Lucyfer. – Rozrasta się we wszystkich kierunkach, połykając planety na prawo i lewo. Około czteremastu lat temu była w pełni zdecydowana przyłączyć Hades.

– Chwileczkę – przerwał Chandler. – Myślałem, że Demokracja nie była zainteresowana systemem Alfry Crepello, gdy jej księżycy zostały wyeksploatowane górnictwo.

– Taka jest wersja oficjalna. W rzeczywistości Siedemnasta Flota zajęła pozycje dla, powiedzmy, spacyfikowania mieszkańców Hadesu. A wtedy pokazała się ona. Nie wiem, co zrobiła, ale nagle Flota wycofała się i Hades znów był niepodległą planetą. Wiem także, że Demokracja wysłała pięciu czy sześciu swych najlepszych agentów, ale o żadnym z nich później nie słyszano. – Ponownie napił się brandy. – Panie Chandler, nie muszę znać do końca jej możliwości. Wiem, że potrafi powstrzymać Demokrację i to mi wystarczy. Prawdę mówiąc, jestem zaskoczony, że potrafili pana

namówić na tę wyprawę.

– Nie robili tego – powiedział Chandler. – Pracuję dla osoby prywatnej.

– Wspomnianego przez pana Łodziarza? Chandler skinął głową.

– A więc bez względu na to ile panu płaci, nie jest to kwota wystarczająca. – Zaciągnął się cygarem. – Czego tak naprawdę dokonał pan dzisiejszego wieczoru? Miał pan szczęście nie umrzeć przy kolacji i zabił pan jednego z jej agentów. I co z tego? Tam, skąd przybył Boma, jest jeszcze dwieście milionów Błękitnych Diabłów.

– Ale tylko jedna Wyrocznia – stwierdził Chandler. – Zastanawiam się, czy możliwe jest wywabienie jej z Hadesu?

– Jak?

– Jeszcze nie wiem. Może zabijając więcej jej agentów?

Lord Lucyfer pokręcił głową.

– Jestem pewien, że wszyscy są przeznaczeni na straty. Czemu pan po prostu nie wymyśli sposobu, by skasować całą tę przeklętą planetę i mieć to z głowy?

– Po pierwsze, ponieważ wbrew temu, co pan sądzi, nie jestem maniakałnym ludobójcą. A po drugie, ponieważ mam instrukcję, by ją zabić tylko w przypadku, gdybym nie mógł jej stamtąd wydostać.

– Wydostać?

– Tak. Ona jest bardzo cennym towarem. Nikomu nie zależy na martwej Wyroczni... chyba że okazałoby się, iż nie można jej mieć w żaden inny sposób. – Przerwał. – To jest prawdziwy powód wycofania się Floty. Kiedy się ukazała, nie chcieli ryzykować wyrządzenia jej krzywdy.

– W ciągu czternastu minut bardziej wzbudził pan moją ciekawość, niż ona w ciągu czternastu lat – stwierdził Lord Lucyfer. – Co w niej jest takiego, że wszyscy się o nią zabijają?

– Ma zdolność prekognicji.

– Widzi przyszłość?

– Widzi cały szereg wariantów przyszłości, a swoim działaniem potrafi sprawić, że realizuje się ta możliwość, którą ona chce.

– To ogromny talent! – zawołał z podziwem Lord Lucyfer. – Jak można podejść do kogoś, kto wie, co zrobisz, zanim ty sam się na to zdecydujesz?

– Przypuszczam, że będę musiał postawić ją w sytuacji, z której nie

znajdzie żadnego dobrego wyjścia.

– Nie widzę, w jaki sposób mógłby pan tego dokonać z Przystani Marrakesz.

– Wiem. Nie dadzą mi zezwolenia na lądowanie na Hadesie, więc pomyślałem, że muszę przynajmniej stworzyć wiarygodną przyczynę mego pobytu tutaj, nim zbadam jej słabości.

– I dlatego zabił pan Chirurga.

– Tak. Jeśli zabójca przybywa do miasta, powinien szybko kogoś zabić. W przeciwnym razie ludzie zaczną się zastanawiać, co on tu robi. – Skrzywił się. – Oczywiście jest, że to nie podziałało. – Przerwał, marszcząc brwi. – Przynajmniej tak sądzę.

– Wygląda pan na zakłopotanego – zauważył Lord Lucyfer.

– Bo jestem. Jeśli ją nabrałem, czemu próbowała mnie zabić? A jeśli próbowała mnie zabić, to czemu się jej nie udało?

– Ach! – wykrzyknął Lord Lucyfer z rozjaśnioną twarzą. – A więc jej możliwości są ograniczone! Oczywiście odległość ma coś z tym wspólnego. Mogła przewidzieć, że pan ewentualnie planuje porwanie jej lub zabicie. Ale nie potrafi zobaczyć, co może wydarzyć się tutaj, o jakieś 300 000 mil od Hadesu. – Spojrzał uważnie na Chandlera. – Panie Chandler, nie wygląda pan na przekonanego. Czemu? Mnie się to wydaje absolutnie wiarygodne.

– Jeśli ona nie potrafi dostrzec, co się stanie na Przystani Marrakesz, skąd w ogóle wiedziała, że tu jestem?

– Może w jednym z wariantów przyszłości, gdy staje pan z nią twarzą w twarz mówi jej pan o tym, ona zaś cofała się od tego momentu do teraźniejszości, by spróbować pana zabić,

– Nie. Boma zaczął pracować w Zielonym Brylancie następnego dnia po tym, jak przyjąłem zlecenie... A to miało miejsce znacznie dalej, niż 300 000 mil od Hadesu.

– Interesujący szczegół – zgodził się Lord Lucyfer. Przez kilka chwil siedzieli w milczeniu, popijając drinki.

– Wie pan, że będzie musiał udać się na Hades – odezwał się wreszcie Lord Lucyfer. – Jeśli ona wie, że pan żyje, zamachy na pana życie będą się ciągle powtarzać... A panu nigdy nie uda się spowodować, by przybyła na Przystań Marrakesz.

– Wiem – odparł Chandler. – Muszę najpierw dostać się na planetę. A

potem zaczął się martwić, jak dobrze się do Wyroczni.

– Och, przedostać się tam jest nader łatwo – oświadczył wylewnie Lord Lucyfer. – Nie na darmo jestem Panem Mrocznych Korytarzy. Ale to co pan zrobi znalazłszy się na miejscu, to już pański problem.

– Wiem, co mam zrobić.

– Niejasno się wyraziłem. Mogę pana przesznuć na Hades dość łatwo; co drugi dzień odlatuje statek transportowy dla Błękitnych Diabłów. A zależnie od tego, ile pieniędzy pan na to przeznaczy, mogę pana ucharakteryzować na drugiego pilota lub nawigatora; w ostateczności ukryję pana w przedziale towarowym. Ale bez oficjalnego statusu zatrzymają pana w chwili pojawienia się na Hadesie. – Potrząsnął głową. – Nie, trzeba się nad tym jeszcze zastanowić. Musi być jakiś lepszy sposób.

Chandler z namysłem wpatrywał się w swoją szklankę piwa. – Czemu chce pan sobie zadać aż tyle trudu? – spytał wreszcie.

– Po pierwsze, ponieważ pana lubię – odrzekł Lord Lucyfer. – A po drugie, im szybciej pan stąd odleci, tym szybciej tu, na Przystani Marrakesz pojawi się próżnia na szczycie w naszym zawodzie, którą mam nadzieję zapełnić osobiście.

– Jest pan szefem kryminalistów, zabójcą czy kim w końcu?

– Jestem człowiekiem korzystającym z okazji – odpowiedział spokojnie Lord Lucyfer. – Śmierć Chirurga i pański odjazd stwarzają właśnie dla mnie okazję.

– Bez względu na pana motywy, chciałbym podziękować za pomoc.

– Mój drogi panie Chandler, mam nadzieję, że pańskie podziękowanie zmaterializuje się, zanim opuści pan Przystań Marrakesz.

– Ile pan chce i kiedy mogę odlecieć?

– Jak dotąd, nie znam odpowiedzi na żadne z tych pytań – przyznał Lord Lucyfer. Spojrzał na Chandlera. – Przetransportowanie pana tam będzie moim problemem. Pozostanie przy życiu do tego momentu pańskim. – Przerwał. – Na Przystani Marrakesz jest mnóstwo Błękitnych Diabłów. Jeśli ona raz próbowała pana zabić, istnieje wszelkie prawdopodobieństwo, że spróbuje tego ponownie.

– Powiniennem wracać. Gdy będzie pan gotów, proszę zostawić dla mnie wiadomość u Człowiłka – powiedział Chandler wstając z miejsca.

– Nie w Zielonym Brylancie?

Chandler potrząsnął głową i krzywo się uśmiechnął.

– Przestała mi się podobać ich kuchnia.

– Biedny Charles! Mam nadzieję, że nie weźmie tego do siebie. –

Lord Lucyfer wstał nagle. – Lepiej będzie, jeśli pana odprowadzę – stwierdził. – To uchroni pana przed zagubieniem się, a może także zwiększyć długowieczność paru moich bardziej agresywnych podwładnych.

Lord Lucyfer ruszył przodem przez labirynt wznoszących się tuneli. W końcu przeszli przez jaskinię, w której Chandler zabił Borysa i jego towarzyszy; pozostało tam tylko kilka plamek krwi.

– Jesteśmy na miejscu – oświadczył Lord Lucyfer, gdy dotarli do małej, okrągłej komory pod włazem, przez który dostał się Chandler.

– Wie pan, jak iść stąd dalej?

– Tak. Mój kierowca powinien czekać na mnie pod Zielonym Brylantem.

– Może pójdę tam wraz z panem – zaproponował nagle Lord Lucyfer.

– Nie zdążyłem jeszcze zjeść deseru i wypić kawy.

Wynurzyli się z zaułka i ruszyli w stronę restauracji.

– Tam jest samochód – powiedział Chandler, robiąc gest w stronę pojazdu Giną, zaparkowanego blisko wejścia do Zielonego Brylantu.

Gin ujrzał zbliżającego się Chandlera i wysiadł, by otworzyć mu drzwiczki. Nagle rozległ się gromki głos Lorda Lucyfera:

– Chandler... uważaj!

Chandler natychmiast padł na ziemię i przetoczył się, trzymając w dłoni gotowy do strzału pistolet na pociski. Gin zareagował wolniej i w chwilę później wrzasnął, gdy promień laserowy przypalił mu lewy bark.

Chandler strzelił w źródło promienia i ciało, które skrywało się za innym pojazdem, ciężko upadło na bruk.

– Dziękuję – powiedział Chandler, podchodząc do trupa.

– Po prostu ślepy traf – stwierdził Lord Lucyfer. Przyłączył się do niego i spojrzał z góry na martwego mężczyznę. – Panie Chandler, ma pan więcej wrogów, niż pan sądził.

– Jak pan myśli, czy on pracował dla Wyroczni? – Jeśli tak, byłby to pierwszy znany mi wypadek, że posłużyła się człowiekiem.

Chandler przykucnął i zaczął przeszukiwać kieszenie zabitego.

– Sprawdźmy to – powiedział.

Wyciągnął pakiet identyfikacyjny i zachmurzył się.

– Jest pan zaniepokojony – skomentował Lord Lucyfer.

– Jestem – potwierdził Chandler. Cisnął pakiet Lordowi Lucyferowi. –

On pracował dla Demokracji.

– I co?

– To Demokracja wynajęła Lodziarza, by ją wydostał. Ja jestem tylko podwykonawcą.

– To czemu próbował pana zabić?

– Nie wiem – przyznał Chandler. Zmarszczył brwi. – Coś tu zupełnie nie gra.

CZĘŚĆ 2

KSIĘGA INDIAŃCA

Ciemnowłosy mężczyzna unosił się o trzy stopy nad podłogą, wygodnie rozciągnięty na łożku powietrznym. Oglądał przygodowe holo, wyświetlane o jakieś cztery stopy od niego.

– Hej, Indianiec! Masz towarzystwo! – powiedział przez głośnik jeden ze strażników. Nagle holoekran wyłączył się, a drzwi celi odsunęły. Wysoki, elegancko ubrany mężczyzna z kędzierzawą, białą czupryną wszedł do środka.

– A więc to ty jesteś Jimmy Dwa Pióra – oświadczył, patrząc na więźnia.

– Jeśli nie jestem, otrzymasz rano cholernie złośliwy list od mego prawnika – odrzekł Indianiec.

– Mówiono mi, że masz poczucie humoru – uśmiechnął się mężczyzna.

Indianiec wrzucił ramionami czekając, aż tamten znowu się odezwie.

– Masz niezwykłą reputację, Jimmy. – Jako komediant?

Mężczyzna potrząsnął głową, a jego uśmiech zgasł. – Jako złodziej, podpalacz, rabuś, szantażysta i morderca.

– Rozumiem przez to, że nie pochwalasz wielostronności – wrzucił ramionami Indianiec.

– Nie – odparł mężczyzna. – Tylko ciebie.

– I odbyłeś całą podróż z Deluros VIII jedynie po to, by powiedzieć mi, że mnie nie pochwalasz?

– Czemu wyobrażasz sobie, że jestem z Deluros?

– Typków ze służby państwowej wyczuwam na milę – odpowiedział Indianiec. – A ty jesteś zbyt dobrze ubrany, by pochodzić z tej okolicy.

– Co jeszcze ci się wydaje, że o mnie wiesz?

– Zachowujesz się tak, jakbyś myślał, że twoje gówno nie śmierdzi. To znaczy, że jesteś wojskowym. – Indianiec przerwał. – Wiem, że byłem na ogromnym hajcu, kiedy mnie tu wsadzili, ale niech mnie diabli wezmą, jeśli pamiętam, że zabiłem oficera.

– Nie zabiłeś.

– Co za szkoda – powiedział Indianiec, kładąc się na plecach.

– Czy nie interesuje cię, czemu tu jestem? – zapytał przybyły.

– Sam mi wreszcie powiesz.

– Co myślisz o wydostaniu się stąd?

– Przypuszczam, że mógłbym się do tego przystosować.

– Ostatnie cztery razy nie zdołałeś.

– Seria nieporozumień – wzruszył ramionami Indianiec.

– Nazywasz dwudziestu siedmiu martwych ludzi serią nieporozumień?

– uśmiechnął się ironicznie mężczyzna.

– W rzeczywistości oddawałem społeczeństwu cenną usługę. Większość z nich skończyłaby tutaj; pomyśl o wszystkich pieniądzach, których zaoszczędziłem rządowi.

– Niczego nie żałujesz, prawda?

– No, żałuję, że zostałem złapany.

– Jimmy, jesteś inteligentnym człowiekiem – powiedział mężczyzna. –

Czemu nieustannie dajesz się złapać?

– Gdybyś nie przeczytał całej mojej dokumentacji, nie byłbyś tutaj – odrzekł Indianiec. – Wiesz czemu.

– Żujesz nasiona.

– Aha. I wtedy czuję się tak, jakbym mógł dać radę całemu pułkowi... więc czasem tego próbuję. – Uśmiechnął się krzywo. – Może następnym razem wystarczy mi pluton.

– Od dwóch lat jesteś już czysty.

– No cóż, kucharz więzienny nie serwuje mi wraz z rostbefem nasion alfanelli. Co za szkoda.

Mężczyzna popatrzył na niego i potrząsnął głową ze smutkiem.

– Masz jakiś problem? – zapytał Indianiec.

– To ty masz problem – odrzekł mężczyzna. – Jesteś jednym z najinteligentniejszych kryminalistów ostatniego ćwierćwiecza. Popelniasz morderstwa doskonale albo dokonujesz genialnego rabunku, a potem zaczynasz żuć nasiona i opowiadać każdemu, co zrobiłeś. Chciałbym wiedzieć, z jakiego powodu ktoś z twoimi zdolnościami tak przesrywa własne życie.

– Zjawileś się tu, by mi prawić kazania, czy zaproponować umowę? – zapytał znudzonym tonem Indianiec.

– Zjawiłem się tu, by ci zaproponować umowę, która może ci się nie spodobać – odrzekł mężczyzna.

– Jestem pewien, że tak będzie... Ale opowiedz mi o niej, a wtedy

powiem ci, co o tym myślę.

- Zgoda – skinął głową mężczyzna.
- A nawiasem mówiąc, jak się nazywasz?
- Możesz nazywać mnie Trzydzieści Dwa.
- Cóż, prawie trafilem.
- Nie rozumiem.

– Jesteś z Tajnych Operacji – uśmiechnął się Indianiec. – Myślałem, że z wojska.

– Często pracujemy razem – odrzekł spokojnie Trzydzieści Dwa. – Czy mogę mówić dalej?

– Nie krępuj się.

– Co byś powiedział, gdybym pokazał ci upoważnienie, by udzielić ci całkowitej amnestii, z ważnością od tej chwili?

– Powiedziałbym, że to z twojej strony cholerna wspaniałomyślność i wynośmy się stąd w diabły.

– Oczywiście są pewne warunki.

– Czy nie ma ich w każdym wypadku? – spytał kwaśnym tonem Indianiec.

– Będziesz musiał zacząć pracować dla mnie.

– Nie zaskoczyłeś mnie.

– I będziesz musiał poddać się pewnym zabiegom chirurgicznym.

– W jaki wybryk natury zamierzacie mnie zmienić? – spochmurniał Indianiec.

– Mogę cię zapewnić, że ów zabieg nie wywoła najmniejszej zmiany w twoim wyglądzie zewnętrznym.

– Taa? A co są warte twoje zapewnienia?

– Twoją wolność.

Indianiec wpatrywał się w niego chwilę, a potem westchnął.

– Okay, mów dalej.

– Trzecia planeta systemu Alfa Crepello jest ojczyzną pewnej rasy kosmitów znanej jako Lorhn, powszechniej nazywanej Błękitnymi Diabłami. Przez całe stulecia opierali się naszym wysiłkom włączenia ich do Demokracji. – Trzydzieści Dwa przerwał na chwilę, a potem kontynuował ciszej. – Na Alfie Crepello III znajduje się pewna kobieta, nazywa się Penelopa Bailey. Ma niezwykle zdolności. Próbowaliśmy przez prawie szesnaście lat doprowadzić do tego, by wróciła do Demokracji. Jak dotąd

wszystkie nasze wysiłki skończyły się niepowodzeniem.

– Z jakiego powodu jest tak szczególną osobą?

– Posiada zdolność prekognicji – odrzekł Trzydzieści Dwa. – Czy rozumiesz, co to oznacza?

– Oznacza to, bym grając w karty nigdy nie stawiał przeciw niej.

– Nie sądzę, abyś rozumiał powagę sytuacji – westchnął Trzydzieści Dwa. – Jest to kobieta, która potrafi przewidzieć wyniki różnych działań politycznych i wojskowych, a wedle naszych informacji przeciwstawia się celom Demokracji. Stanowi więc najpoważniejsze zagrożenie dla istnienia Demokracji i prymatu rasy ludzkiej. Wobec tego jej dalsze istnienie jest nie do przyjęcia.

– Ilu ludzi wysłaliście do tej pory w pogoni za nią?

– Czemu uważasz, że wysłaliśmy kogokolwiek? – zapytał Trzydzieści Dwa.

– Nie werbujecie w więzieniach, dopóki wasi ludzie nie poniosą porażki – uśmiechnął się Indianiec.

Trzydzieści Dwa przyglądał mu się przez chwilę, po czym rzekł:

– Wysłaliśmy ośmiu. Mieli wyciągnąć ją stamtąd albo zabić... Ale właśnie nadeszły nowe rozkazy.

– Co się stało waszym ośmiu agentom?

– Siedmiu nie żyje.

– A ósmy?

– Nadal tam jest.

– Ale straciliście do niego zaufanie?

– Nie. Zgodnie z tym, co o nim słyszałem, jest jednym z najlepszych.

– Więc czemu z niego rezygnujecie?

– Bo zmieniła się nasza polityka. Jak powiedziałem, wczoraj przyszedł rozkaz, by z nią skończyć. Człowiek, który tam się znajduje, miał ją dostarczyć żywą.

– On już tam jest. Czemu nie powiecie mu po prostu, że zmieniliście zdanie?

– Bo działa potajemnie na terytorium nieprzyjacielskim – odrzekł Trzydzieści Dwa. – Nie chcemy narażać jego pozycji, próbując nawiązać z nim kontakt. – Zrobił smutną minę. – Do tego on pochodzi z Wewnętrznej Granicy i nie jest zainteresowany Demokracją, nie musi też być wobec nas lojalny. Jest w zasadzie podwykonawcą, wiernym swemu pracodawcy. A

możliwe, że ów pracodawca ma jakieś powody, o których nic nie wiemy, by chcieć dostać Wyrocznię żywą.

– Więc czemu po prostu nie złamiecie jego przykrywkę, jeśli myślicie, że może spieprzyć robotę?

– Jeśli rzeczywiście zdoła się z nią skontaktować, mimo że siedmiu moich najlepszych agentów zawiodło, chcę wiedzieć, w jaki sposób tego dokona. Prócz tego – kontynuował Trzydzieści Dwa – nie istnieje coś takiego jak przykrywka, gdy działa się przeciw komuś, kto potrafi widzieć przyszłość. Nie mam najmniejszej wątpliwości, iż ta kobieta wie, że on tam jest.

– Nie rozumiem – powiedział Indianiec marszcząc brwi i przeczesując dłonią swe rozczochrane, czarne włosy. – Jeśli ona wie, że on tam jest, czemu go nie załatwiła? I czemu obawiacie się skontaktowania z nim?

– Ona potrafi widzieć, co się wydarzy w przyszłości, najprawdopodobniej nie umie jednak dostrzec, co się dzieje teraz – odrzekł Trzydzieści Dwa. – Innymi słowy, wie, że w jakiejś chwili w przyszłości ktoś planuje ją porwać, ale nie wie, gdzie ten ktoś znajduje się teraz.

– Jesteś tego pewien? – nie ukrywał wątpliwości Indianiec. – Może godzinę temu wiedziała, co on robi w tej chwili. Trzydzieści Dwa ciężko westchnął.

– Niczego nie jesteśmy pewni. Wiemy, jakie były jej możliwości, gdy miała sześć lat, a z tych danych nasi ludzie zdołali ekstrapolować, jakie mogły stać się obecnie...

– Więc prawdę mówiąc, nic nie wiecie, tak? – zapytał Indianiec.

– Nie wiemy – przyznał Trzydzieści Dwa. – Dlatego właśnie nie chcę demaskować tego człowieka. Do tej pory żadnemu z moich ludzi nie udało się dotrzeć tak blisko. Może jeśli on zdoła jej pomieszać szyki, i jeśli będzie zmuszona podzielić uwagę na was dwóch, a tamten wyda się jej bardziej niebezpieczny, to a nuż zyskasz jakąś szansę...

– Chcesz usłyszeć pewną sugestię?

– Będę wdzięczny za każdą sugestię w tej sprawie – oświadczył Trzydzieści Dwa.

– Zaproponuj jej rozejm – powiedział Indianiec. – Opierając się na tym coś mi powiedział, nie istnieje sposób zabicia tej kobiety. Możesz ją tylko rozwścieczyć.

– Więc odrzucasz moją propozycję?

– Nic takiego nie mówiłem – stwierdził Indianiec. – Ale...

– Wolałbym umrzeć z bronią w ręku, niż zamknięty w celi. – Przerwał i popatrzył ostro na swego rozmówcę. – Ale czy będę miał rękę, gdy skończycie te operacje chirurgiczne?

– Z pewnością – odrzekł Trzydzieści Dwa. – Powiedziałem ci: będziesz wyglądał dokładnie tak, jak w tej chwili.

– Wiem, co mi powiedziałeś – stwierdził Indianiec. – Ale nie wyjaśniłeś mi, co zamierzacie zrobić.

– Zrobimy z ciebie chodzący nadajnik holograficzny – zaczął Trzydzieści Dwa. – Twoje lewe oko zastąpimy protezą, wyglądającą identycznie jak prawdziwe oko. Podłączymy ją do twojego nerwu wzrokowego, abyś mógł przez nią widzieć... Tak skonstruowana proteza będzie przekazywać do mnie trójwymiarowy obraz wszystkiego, co zobaczysz. Wewnątrz twojego ucha zostanie umieszczony mikroskopijny nadajnik i odbiornik. Dzięki temu usłyszę wszystko to, co ty, a jednocześnie będę mógł mówić do ciebie w taki sposób, że nikt poza tobą tego nie usłyszy.

– A gdzie ty zamierzasz siedzieć przez cały ten czas? Trzydzieści Dwa wzruszył ramionami.

– Tego jeszcze nie zdecydowano. Jeśli mi się uda wylądować na jednej z nie zamieszkałych planet układu, zrobię to. Jeśli nie, pozostanę na najbliższej planecie Demokracji, Philemon II, oddalonej o jakieś cztery lata świetlne. Będziesz nadawał i odbierał sygnały podprzestrzenne; w promieniu dziesięciu lat świetlnych transmisje są praktycznie natychmiastowe.

– Wybrałeś mnie, ponieważ myślisz, że jestem dość dobry, by ją zabić – stwierdził Indianiec. – Więc czemu chcesz mnie monitorować? i

– Może będę mógł ci pomóc. – Jak? Tylko zakłócisz moją uwagę.

– Spędziłem z Penelopą Bailey więcej czasu, niż którykolwiek z członków Demokracji, jeśli nie liczyć jej rodziców.

– Taa? – zdumiał się Indianiec. – Ile czasu?

– Prawie sześć miesięcy.

– Szesnaście lat temu? – Indianiec prychnął pogardliwie. – Daj sobie spokój z chirurgią i pozwól, że wezmę się do roboty.

– Jest jeszcze jeden powód zabiegów – stwierdził Trzydzieści Dwa,

nie wzruszony postawą Indiańca. – O?

– Będziesz działał poza granicami Demokracji – kontynuował Trzydzieści Dwa. – Wnosząc z twego dotychczasowego zachowania, mam podstawy, by uważać, że gdy tylko tam się znajdziesz, wsiądziesz na statek i polecisz do Wewnętrznej Granicy... Albo też, jeśli pozostaniesz w układzie Alfego Crepello, skuszą cię znowu narkotyki.

– A ty myślisz, że szepcząc mi do ucha banały o obowiązku i honorze zdołasz mnie zatrzymać?

– Nie – przyznał Trzydzieści Dwa. – Ale miniaturowa bomba plazmowa, wszczepiona w podstawę czaszki, którą mogę zdetonować z odległości sięgającej dwudziestu lat świetlnych, podziała odstraszająco. – Przerwał. – A teraz czy nasza umowa nadal stoi?

Indianiec wpatrywał się w niego długą chwilę, aż wreszcie skinął głową.

– Tak, umowa stoi, ty drański skurwysynu.

– Czy mnie słyszysz?

Jimmy Dwa Pióra skrzywił się i przewrócił na bok.

– Jimmy, obudź się. Mówi Trzydzieści Dwa.

– Trzydzieści Dwa czego? – wybełkotał Indianiec.

– Obudź się, Jimmy. W tej chwili wychodzisz właśnie z narkozy.

– Jestem obudzony, do jasnej cholery! A teraz daj mi spokój.

– Usiądź, Jimmy.

– Idź precz.

– Już jestem precz. Jestem ponad pięćset tysięcy mil od ciebie.

Indianiec usiadł chwiejnie.

– O czym ty mówisz?

– Jimmy, otwórz oczy.,

– Nie chcę. Głowa mi pęka.

– To przejdzie.

– Powinno, do cholery.

– A teraz, Jimmy, otwórz oczy.

Indianiec otworzył oczy i skrzywił się, gdy światło padło na jego źrenice; zarówno tę naturalną, jak sztuczną. – Jest za jasno – poskarżył się.

– Dlatego, że masz rozszerzone źrenice. Dostosuj się za dwie minuty.

– Operacja skończona? – zapytał Indianiec.

– Tak. Jak się teraz czujesz?

– Jak po tygodniowym ochlaju. Wszystko mnie boli. Szczególnie głowa.

– Mocno popracowaliśmy nad twoją głową. Rozejrzyj się.

Indianiec zrobił, co mu polecono i przekonał się, że leży w dużym pokoju szpitalnym. Pielęgniarka, ubrana w nieskazitelną biel, siedziała w kącie obserwując go uważnie. Pieczęta go lewa ręka, spodziewał się więc ujrzeć mnóstwo rurek i drutów, łączących go z systemem intensywnej terapii; ale widać już je zabrali. Do jego klatki piersiowej i szyi przymocowano szereg małych monitorów, co wydawało mu się raczej niewygodne niż bolesne.

– Bardzo dobrze – odezwał się z aprobatą Trzydzieści Dwa. – Teraz

podnieś dłoń do góry i potrzymaj ze sześc cali przed lewym okiem.

– Którą dłoń?

– Obojętne. Indianiec podniósł dłoń.

– Soczewki akomodują się niemal natychmiast – stwierdził

Trzydzieści Dwa. – A teraz obróć głowę w lewo i wyjrzyj przez okno.

– Nie jestem marionetką – oświadczył Indianiec.

– Rób co mówię – polecił Trzydzieści Dwa. – Chcę zobaczyć, jak twój

wzrok adaptuje się do nagłego przejścia od zaciemnionego pokoju do światła słonecznego.

– I co potem?

– Nie rozumiem.

– Nie zamierzam spędzić reszty życia na skakaniu przez obręcze dla ciebie – powiedział Indianiec.

– Jimmy, musimy przetestować twoje nowe oko. Indianiec westchnął i skierował wzrok na widok za oknem.

– Znakomicie!

– Co teraz?

– Nic – odparł Trzydzieści Dwa. – Wszystko działa jak należy.

Przypuszczam, że słyszysz mnie bez trudności?

– Chciałbym, aby tak nie było.

– Zabieg jakoś nie polepszył twojego charakteru – zauważył sucho

Trzydzieści Dwa.

– Nie lubię mieć głosu w głowie – powiedział Indianiec.

– Pamiętaj, że w głowie masz nie tylko to, będzie nam się doskonale współpracować. – Indianiec milczał, a Trzydzieści Dwa kontynuował. –

Teraz mamy do przedyskutowania pewne sprawy prywatne. Powiedz pielęgniarce, żeby wyszła.

Indianiec zwrócił się do pielęgniarki:

– On chce, żebyś wyszła.

– Za chwileczkę – powiedziała sprawdzając odczyty monitorów.

Kiwnęła głową z zadowoleniem, a potem wyszła bez słowa.

– Dobrzeją wytresowaliście – skomentował Indianiec.

– Była obecna tylko na wypadek, gdyby wszczepy źle działały.

Samotne przebudzenie się w pokoju, jeśli się ma tylko połowę wzroku i nikogo, do kogo można by przemówić, może okazać się bardzo niepokojące.

– Już samo stuchanie, jak do mnie mówisz, jest niepokojące.

– Jimmy, musisz się przyzwyczaić do znoszenia tego. – Trzydzieści

Dwa przerwał. – Czy widzisz ten nocny stolik na lewo od twego łóżka?

– Tak.

– Otwórz górną szufladę i wyjmij z niej kopertę. Indianiec zrobił, co mu polecono.

– Teraz ją otwórz.

– Dobrze. Jest otwarta.

– A teraz przyjrzyjmy się uważnie całemu materiałowi – kontynuował Trzydzieści Dwa. – Hologram na samym wierzchu przedstawia Penelopę Bailey, gdy miała sześć lat.

Indianiec przyjrzał się zdjęciu małej, chudej blondynki z jasnoniebieskimi oczami. Wyglądała na zmęczoną i zmizerowaną, policzki miała prawie białe.

– Następny hologram przedstawia nasze wyobrażenie o tym, jak powinna wyglądać dziś, jeśli wykluczyć skrajną otyłość lub zanik łaknienia. Możemy tylko zgadywać, jaki będzie miała kolor włosów i uczesanie. Ale opierając się na strukturze jej szkieletu uważamy, że to jest dość dokładny obraz.

– Zmarnowaliście czas waszego artysty – zauważył Indianiec. – Jeśli jest tak ważna jak myślisz, aby dostać się do niej, będę musiał przebrnąć przez cały tłum ludzi. Na pewno rozpoznam ją od razu.

– Może tak, może nie. Nawet wśród prymitywnych ras podstawianie poddanego w miejsce władcy jest praktykowane. Jeśli natkniesz się na kobietę z brązowymi oczami albo niewłaściwym zarysem kości policzkowych, to ci może pomóc.

– To po jakiego diabła potrzebna mi kamera w oku? Albo ufasz mi, że ją zauważę, albo nie.

– Myślę, że masz szansę dotarcia do niej. Szansę, nie pewność. Nie wiem, czy wykażesz się dostateczną zręcznością oraz inteligencją, by ją zabić bez mojej pomocy... a nawet, co bardzo prawdopodobne, mając tę pomoc. Czy dość jasno się wyraziłem?

– Dzięki za zaufanie.

– Jimmy, bądźmy wobec siebie zupełnie szczerzy. Przyjąłeś to zadanie, ponieważ był to jedyny sposób, abyś kiedykolwiek wydostał się z więzienia i bez wątplenia masz szczerzy zamiar zerwać naszą umowę, jeśli

nadarzy się taka okazja. Wybrałem cię, ponieważ straciłem wielu doskonałych agentów; jesteś bardziej biegły w zakresie podstępów i morderstw niż którykolwiek z nich i można cię bez żalu spisać na straty. Czy się rozumiemy?

– Jeden z nas tak – odparł ponuro Indianiec.

– To wracajmy do interesów. Następną pozycją jest twój pakiet identyfikacyjny. Zastanawialiśmy się nad zmianą twojego retinogramu i starciem twoich odcisków palców. Ale to nie ułatwiło sprawy charakterystyki twojego głosu, a gdyby znaleziono zbyt wiele zmian chirurgicznych, już w chwili lądowania twój los byłby przesądzony. Dlatego zachowasz swą prawdziwą tożsamość Jimmy'ego Dwa Pióra, ale zmieniliśmy wszystkie istniejące bazy danych, włącznie z centralnym komputerem na Deluros VIII, by wykazać, że jesteś oficerem marynarki kosmicznej, oficjalnie przydzielonym do naszej ambasady na Alfie Crepello III.

– Chwileczkę – przerwał Indianiec. – Po obu stronach linii oznaczającej prawo jest masa ludzi, którzy znają moje nazwisko i twarz. Co z tym będzie?

– Odlecisz do miejsca przeznaczenia bezpośrednio stąd. Personel ambasady został poinformowany, że otrzymałeś ściśle poufne zadanie i zostaną wydane rozkazy, by ci nie zadawano na ten temat żadnych pytań, ani by nie omawiano między sobą sprawy twojej obecności na Alfie Crepello.

– Ale nadal mogę natknąć się na ulicy na łowcę nagród lub handlarza narkotyków.

– Myślę, Jimmy, że to mało prawdopodobne. Byłeś przez dwa lata wyłączony z obiegu, a przeciętny łowca nagród nie żyje tak długo. Niemniej – dodał – był to jeden z powodów poddania cię zabiegom chirurgicznym. Jeśli zauważysz kogokolwiek, kto mógłby cię rozpoznać, zdejmujemy go z Hadesu, jeśli będzie to konieczne. – Hadesu?

– Nieoficjalna nazwa Alfy Crepello III.

– Sądząc z niej miejsce stworzone dla mnie.

– Bardzo wątpię – stwierdził Trzydzieści Dwa. – Kontynuujmy. Następny dokument, który masz przed sobą, to mapa Hadesu. Przekonasz się, że jak na planetę tych rozmiarów, jest względnie mało zaludniona. Istnieje tam dziesięć tysięcy głównych skupisk miejskich. Największym z

nich jest miasto stołeczne Quichancha, którego nazwę z pewnością wymawiam niepoprawnie. Kolejnym jest plan miasta Quichancha, z zaznaczonym położeniem naszej ambasady.

– Czy Wyrocznia mieszka w Quichancha? – zapytał Indianiec.

– Tak przypuszczamy, ale nie mamy pewności. – Trzydzieści Dwa przerwał na chwilę. – Następne trzy pakiety zawierają wszystkie dane, jakie zgromadziliśmy na temat Przystani Marrakesz, Przystani Samarkanda i Przystani Maracaibo, trzech księżyców Hadesu skolonizowanych przez ludzi.

– Do czego mi to potrzebne, jeśli ląduję na Hadesie?

– Na wszystkich trzech księżycach mamy bezpieczne domy. Jeśli założymy, że wypełnisz misję z powodzeniem, możesz potrzebować miejsca, by się ukryć, kiedy twój powrót do ambasady okaże się niemożliwy.

Indianiec podał trzy pakiety.

– Co robisz? – zapytał Trzydzieści Dwa.

– Przestańmy się bawić jak dzieci – powiedział Indianiec.

– Nie rozumiem cię.

– Jeśli okażę się dość dobry, by zabić Wyrocznię, będę dla was zbyt niebezpieczny, abyście pozwolili mi żyć. Te bezpieczne domy będą do ostatniego pełne ludzi tylko czekających, żeby mnie ukatrupić.

– Jimmy, jeśli zechcę cię zabić, wystarczy, że uruchomię urządzenie, które umieściliśmy w twojej czaszce. – Trzydzieści Dwa westchnął. – Każę zrobić drugi komplet pakietów na temat trzech księżyców i dostarczyć ci. – Przerwał. – Został jeszcze tylko jeden przedmiot. Czy jesteś gotów?

– Tak.

– To weź go do ręki i przestuduj.

Indianiec podniósł hologram wysokiego, dość przystojnego mężczyzny z kasztanowatymi włosami i bladoniebieskimi oczami. Z wyglądu zbliżał się do czterdziestki.

– Kto to taki?

– Nazywa się Jozue Jeremiasz Chandler.

– Czy to ma dla mnie jakieś znaczenie?

– Mogłeś go znać pod imieniem Gwizdacz. Indianiec potrząsnął głową.

– Nie miałem przyjemności. – Znow przyjrzał się hologramowi. – Co

on ma wspólnego z Wyrocznią?

– On nam przeszkadza. – Trzydzieści Dwa zamilkł. – Jest wybitnym zawodowcem, może najlepszym na Wewnętrznej Granicy. Działa w niekorzystnej dla siebie sytuacji: mam przeczucie, że nadejdzie rozkaz, by go zlikwidować. Dlatego w przeciwieństwie do ciebie nie dostarczono mu tych map... ale dla człowieka o jego zdolnościach nie będzie to wielką przeszkodą. W tej chwili znajduje się na Przystani Marrakesz, ale jeśli ktokolwiek potrafi przedostać się na Hades w jednym kawałku, to właśnie on. Jeśli to się zdarzy...

– To chcesz, abym z nim współpracował? – Nie.

Indianiec zmarszczył brwi.

– Więc czemu, u diabła, oglądam jego hologram?

– Mamy nadzieję, że on odwróci od ciebie uwagę Wyroczni. Ostatecznie jest tajnym agentem, który, wedle moich informacji, już zabił na Przystani Marrakesz jednego z jej pracowników. Co oznacza, że obecność Chandlera nie uszła jej uwagi. Niemniej – kontynuował Trzydzieści Dwa – jak już wspomniałem, jego cel jest inny niż twój.

– Jeśli Wyrocznia ma tylko połowę tych możliwości, których się spodziewasz, nie istnieje sposób, by ją mógł stamtąd wydostać – stwierdził z absolutnym przekonaniem Indianiec.

– Zdaję sobie sprawę, że zamiar porwania Wyroczni wygląda niedorzecznie – przyznał Trzydzieści Dwa. – Ale, prawdę mówiąc, równie absurdalnie wygląda pomysł zabicia jej. Natomiast jeśli ona ma jakiś słaby punkt, jedno i drugie są równie prawdopodobne.

– Co chcesz mi przez to powiedzieć?

– Po prostu to, Jimmy: umawialiśmy się z nim w dobrej wierze, a ja nie chcę go poświęcić... Ale jeśli w którejkolwiek chwili uznasz, że zdoła dotrzeć do Wyroczni przed tobą, będziesz musiał go zabić.

Przebrnięcie przez Urząd Celny Hadesu, który odmawiał honorowania immunitetów dyplomatycznych, zabrało Indiańcowi całe pięć godzin. Błękitne Diabły przesłuchiwały go w kółko, o wiele za długo jak na czas, który był potrzebny do wprowadzenia jego odcisków palców oraz retinogramu prawego oka do ich komputerów, komputerów ich sprzymierzeńców oraz tych komputerów ich wrogów, do których miały dostęp. Przez cały ten czas Trzydzieści Dwa nieustannie podszeptował mu właściwe odpowiedzi.

Wreszcie, kiedy pozwolono mu odejść, Indianiec spostrzegł, że czeka na niego kierowca z ambasady.

– Porucznik Dwa Pióra? – zapytał, salutując sprężysto.

– To ja – odrzekł Indianiec, zdecydowawszy nie odwzajemniać salutu.

– Przysłano mnie tutaj, by pana zawieźć do kwatery w ambasadzie.

– Im prędzej, tym lepiej – mruknął Indianiec. Rozejrzył się. – Gdzie, u diabła, jest mój bagaż?

– Nadal sprawdzany – powiedział kierowca. – Ktoś inny z personelu odbierze go, gdy zostanie zwolniony.

– A swoją drogą, o jaki szmugiel oni mnie podejrzewają?

– Żaden. To po prostu ich sposób podkreślania swej niezależności od Demokracji. – Kierowca przerwał. – A przy okazji, zapewne powinienem się przedstawić. Nazywam się Daniel Broussard i na czas pana pobytu na Hadesie jestem do pana dyspozycji.

– Jimmy Dwa Pióra – odrzekł Indianiec.

– To ciekawe nazwisko, jeśli wolno mi się tak wyrazić.

– Cherokee.

– Cherokee? Czy to planeta?

– Niezupełnie – rzekł Indianiec. – Wyońśmy się stąd do diabła. Po drodze możesz mi opowiedzieć swój życiorys.

– Proszę za mną – powiedział Broussard.

– Chwileczkę, synu – rzekł Indianiec.

– Tak, proszę pana.

– Na imię mam Jimmy. Tak mnie wszyscy nazywają, na to imię reaguję. Kiedy mówisz „proszę pana”, moim pierwszym odruchem jest

odwrócić się i popatrzeć, kto stoi za mną. – Przerwał. – Jeśli znudzi ci się Jimmy”, możesz nazywać mnie Indiancem. Na to też reaguję.

– Tak, proszę pana – powiedział Broussard.

– Chłopiec doprawdy szybko się uczy – mruknął Indianiec pod nosem.

– Jimmy, on będzie twoim łącznikiem. Nie zaczynaj od obrażania go – odezwał się Trzydzieści Dwa.

– On tego nie usłyszał.

– Przepraszam, pana... Jimmy? – rzekł Broussard.

– Tylko mówiłem do siebie – odrzekł Indianiec. – Obecnie robię to przez cały czas. Nie zwracaj na mnie uwagi.

– Jak pan sobie życzy. – Broussard połapał się nagle. – Przepraszam, jak sobie życzysz, Jimmy.

– Okay. Prowadź.

Kiedy wyszli z małego kosmoportu, owionęło ich gorące powietrze Hadesu. Czekał już na nich samochód.

– Powinien pan siedzieć z tyłu – stwierdził Broussard na widok otwierającego przednie drzwiczki Indiańca.

– Lubię być z przodu. Lepsze pole widzenia.

– Proszę... Będę miał kłopoty, jeśli zobaczą pana jadącego z przodu.

– A kto tu jest wrogiem? – mruknął Indianiec. – Ambasada czy Błękitne Diabły?

– Wiesz, kto jest wrogiem. Nie ma sensu przyczyniać sobie dodatkowych – uświadomił mu Trzydzieści Dwa.

Indianiec wsiał do tylnej części pojazdu, Broussard zaś ruszył przez kręte ulice, które nagle rozszerzały się lub zwężały bez widocznego powodu. Domy nie przypominały żadnych budowli, jakie Indianiec w życiu widział. Nie było dwóch takich, które łączyłoby nawet odległe podobieństwo: jedno wysokie, inne przysadziste; jedno okrągłe, inne kształtu iglicy, niektóre trapezoidalne, a jeszcze inne miały tyle płaszczyzn i krawędzi, iż Jimmy wątpił, by można je było prawidłowo opisać matematycznie.

Ulica wydawała mu się równie dziwaczna jak budynki. Obok kosmoportu wiodła błyszcząca jezdnia z ceramiki; pośrodku tego, co wyglądało na dzielnicę handlową miała nawierzchnię z pełnego wybojów gruzu. Nieustannie zmieniała jakość i kąt nachylenia, od ceramiki do drogi gruntowej, żwiru, plastyku i z powrotem, a wszystko bez zrozumiałych dla

niego powodów.

– Jak, u diabła, znajdujesz właściwy kierunek w tym domu wariatów?

– Potrzeba czasu na przyzwyczajenie się – odrzekł Broussard, skręcając nagle, by uniknąć zderzenia z Błękitnym Diabłem, spacerującym bez celu środkiem ulicy. – Jestem tu prawie od dwóch lat, a przez jakieś dziesięć pierwszych miesięcy sam potrzebowałem przewodnika. Żaden z budynków nie ma numeru, żadna ulica nazwy, nawet w miejscowym języku.

– Przerwał. – W większości miast kosmitów bywają Dzielnice Ludzi, które dla nas mają jakiś sens. Ale tu, na Hadesie, jest nas tak niewiele, że ambasada znajduje się w samym środku ich dzielnicy finansowej. Na pana miejscu nie spacerowałbym samotnie, póki nie miałbym pewności, że potrafię znaleźć drogę powrotną. Gdy straci się z oczu ambasadę, można zgubić się na całe tygodnie.

– Miasto nie jest dość duże, by się w nim zgubić.

– Nie chodzi o jego wielkość, lecz strukturę – powiedział Broussard. – Wiele z tych arterii ma uderzające podobieństwo do wyobrażenia szalonego urbanisty o wstędze Mobiusa: nieustannie zwracają do samych siebie, a gdy człowiek przekonany jest, że szedł przez miłą w linii prostej, nagle odkrywa, że znajduje się dokładnie w punkcie wyjścia.

– Jak daleko stąd do ambasady? – zapytał Indianiec, gdy mijali budynek dość wysoki, by nadawał się na punkt orientacyjny.

– Nie dalej niż pół mili, lecz muszę przejechać tymi ulicami około pięciu mil, nim do niej dotrzemy. – Broussard wyszczerzył zęby. – W istocie mógłby pan dojść do niej piechotą o wiele szybciej, niż ja mogę dojechać. – Przerwał i po chwili stwierdził: – Gdy tylko pan się zaaklimatyzuje, nie będzie pan tego uważał za niepokojące.

– Nie jestem zaniepokojony.

– To zaskakujące – oświadczył Broussard. – Większość nowo przybyłych odczuwa zaniepokojenie.

– Synu, czy kiedykolwiek żuleś ziarna? – zapytał Indianiec. – Nie.

– Musisz kiedyś tego spróbować. Wtedy wszystkie ulice wyglądają, jak ta. – Oparł się wygodnie i odprężył. – To jakby powrót do domu.

– Pan ze mnie żartuje, prawda?

– Jimmy! – upomniał go Trzydzieści Dwa. – Prawda, Danielu.

W milczeniu minęli jeszcze pięćdziesiąt kątów prostych oraz kątów rozwartych i zwrotów o sto osiemdziesiąt stopni, aż wreszcie Broussard

zatrzymał się na podejździe jedynego budynku, którego architektura zdawała się mieć jakiś sens.

– Jesteśmy na miejscu – oświadczył.

– Drzwi, okna, wszystko – stwierdził Indianiec, patrząc na wielki budynek ambasady. – Zastanawiam się, jak Wyroczeni podoba się miejsce, w którym mieszka?

– Delikatnie, Jimmy. Pamiętaj: oni nie wiedzą, po co tu jesteś – rzucił Trzydzieści Dwa.

– Powinieneś wywalić stąd każdego, kto jeszcze nie zgadł – odrzekł Indianiec.

– Kogo wywalić? – zapytał zmieszany Broussard.

– Nikogo – zreflektował się Indianiec. – Wejdźmy do środka. Zaczekał, aż Broussard zniknie wewnątrz, a potem mruknął:

– Mów tak do mnie bez przerwy, a oni zmienią zdanie i pomyślą, że znalazłem się tu na odwyku.

Wszedł do obszernego, eleganckiego, wyłożonego płytkami ceramicznymi holu. Na ścianach widniały portrety trzech ostatnich Sekretarzy Demokracji z urzędującym obecnie włącznie oraz artystyczny widok rozległego, obejmującego całą planetę miasta, w którą zmieniała się Deluros VIII.

Przed trojgiem drzwi stało trzech umundurowanych wartowników ze wzrokiem nieruchomo utkwionym w przestrzeń. Broussard zaprowadził Indiańca do dużego gabinetu, gdzie za biurkiem z polerowanego chromu siedziała czarnoskóra kobieta w pozbawionym jakichkolwiek ozdób kostiumie.

– Tak? – powiedziała nie podnosząc głowy.

– Porucznik Jimmy Dwa Pióra melduje swoje objęcie służby – oświadczył.

– Spodziewaliśmy się pana, poruczniku – odrzekła. – Nie figuruje pan w naszym wykazie dyżurów, więc może pan wedle życzenia spędzić pewien czas instalując się i zaznajamiając z ambasadą i jej personelem.

– Czy jest ktoś, u kogo powinienem się zameldować? Rzuciła okiem na ekran komputera.

– Nie. Składa pan własne raporty własnym przełożonym własnymi środkami łączności. Ambasada ma zapewnić panu wyżywienie, zakwaterowanie oraz przewodnika, poza tym absolutnie dać panu spokój.

Odprowadził go ruchem głowy, Broussard zaś wyprowadził go z gabinetu, a potem skierował korytarzem do windy powietrznej.

– Przyjemniaczka, co? – zauważył zgryźliwie Indianiec.

– Nie musi być przyjemna – odrzekł Broussard, gdy łagodnie płynęli do góry w stronę trzeciej kondygnacji budynku. – Jest komandorem Ngoma i pełni funkcję szefa personelu ambasady. – Wysiedli na korytarz.

– Pana kwatery znajduje się po tej stronie – powiadomił Broussard, skręcając w lewo. Minęli czworo drzwi i zatrzymali się przed piątymi. – Zamek komputerowy ma zakodowany pana wojskowy numer identyfikacyjny. Ponieważ go nie znam, nie mogę otworzyć przed panem drzwi.

– A jak się sprząta pokój? – spytał zaciekawiony Indianiec. – W każdej szafce znajduje się mały robot domowy. Niech

pana nie zaskoczy jego widok, wygląda jak skrzyżowanie pnia drzewa z dużym wężem.

– Dziękuję za ostrzeżenie – powiedział Indianiec. Podeszedł do drzwi i zagapił się na zamek.

– 293Y780JL – odezwał się głos w jego uchu.

Dotknął odpowiednich cyfr i liter, a drzwi wsunęły się w boazerię.

– Bardzo ładnie – powiedział, ruszając przed siebie. Pokój był całkiem duży i bardzo szycownie umeblowany. Na prawo znajdowało się łóżko ze stolikiem nocnym, na lewo miejsce do siedzenia z dwoma wyściełanymi fotelami i sofą, a wprost przed nim, naprzeciw okna wychodzącego na starannie utrzymany ogród, biurko z małym komputerem.

– To są drzwi do pana szafy – poinformował Broussard – tamte zaś do łazienki. Jedne i drugie rozsuną się, gdy pan do nich podejdzie, a te od łazienki można zamknąć od środka.

– Naprawdę bardzo ładnie – powtórzył Indianiec. – Pomieszczenie, w którym spędzałem czas ostatnio – uśmiechnął się – było nieco bardziej ograniczonych rozmiarów.

– Wszelkie zmiany lub uzupełnienia pana stałych potrzeb zostaną wprowadzone do pamięci komputera – kontynuował Broussard. – Można go uruchamiać wzorcem pana głosu i numerem identyfikacyjnym.

– Okay, jestem pod wrażeniem – powiedział Indianiec. – A teraz chciałbym dostać coś do jedzenia.

– Stołówka jest w suterenie. Z przyjemnością zaprowadzę tam pana.

– Przerwał. – Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa pana bagaż przybędzie, nim skończymy jeść.

Indianiec potrząsnął głową.

– Czy w okolicy są jakieś restauracje?

– Restauracje? – powtórzył zaskoczony Broussard.

– Takie zakłady, do których ludzie nie chcący jeść w domu idą na

kolację – powiedział zgryźliwym tonem Indianiec. – Być może słyszałeś o czymś takim?

– Ja tak, ale Błękitne Diabły nie. Dla nich jedzenie jest czynnością tak intymną i osobistą, jak, no, dla nas pójście do toalety.

– Chcesz powiedzieć, że w całym mieście nie ma restauracji? – zapytał Indianiec.

– Są trzy – odparł Broussard. – Ale wszystkie znajdują się w najbrudniejszej części miasta, dzielnicy, do której Błękitne Diabły rzadko chodzą, a ich klientelą są przede wszystkim przyjezdni, nie tylko ludzie. Nie przypuszczam, aby takie doświadczenie miało sprawić panu przyjemność.

– Wybierz jedną z trzech i jedźmy. Rząd za to zapłaci.

– To może nie być mądre – powiedział z wahaniem Broussard.

– Ściśle mówiąc, nie jesteśmy na tej planecie najpopularniejszą rasą.

Właśnie w zeszłym tygodniu miał miejsce incydent pomiędzy człowiekiem i dwoma Canphorytami...

– Nie mogę zapoznać się z miastem siedząc tylko tu w ambasadzie.

– Z przyjemnością obwiozę pana po mieście i wszystko objaśnię.

– I nie mogę też tego zrobić z wnętrza pojazdu – kontynuował Indianiec. – Jeśli nie chcesz, nie musisz mi towarzyszyć. Po prostu powiedz mi, jak się dostać do najbliższej restauracji.

– Nie mogę pozwolić, by poruszał się pan samotnie i równocześnie nie mam upoważnienia, by panu to uniemożliwić – stwierdził z westchnieniem Broussard. – Wydaje mi się, że będę panu musiał towarzyszyć.

– Świetnie. Ruszajmy.

Opuścili pokój, przeszli przez korytarz, zjechali windą powietrzną do holu i wkrótce znaleźli się na zewnątrz, w niewiarygodnie gorącej atmosferze Hadesu.

– Czy można tam dojść pieszo? – spytał Indianiec. – Miałbym ochotę

na trochę ruchu.

– No, tak i nie – odpowiedział Broussard. – W prostej linii jest chyba nie dalej niż czterysta jardów. Ale żeby tam dotrzeć, musielibyśmy przejść prawie milę.

– Linia prosta musi czuć się na tej planecie niezwykle samotnie

– odrzekł Indianiec. – Prowadź.

– Pozwolę sobie zasugerować po raz ostatni, że powinienem pana zawieźć. Nie jest pan przyzwyczajony do upału i nim pan się zorientuje, wyczerpią się pana siły.

– Jest to najlepszy ze znanych mi sposobów, by się do niego przyzwyczaić.

Minęli duży budynek bez okien i, jak się zdawało, drzwi, następnie skręcili za róg i prawie przeszli przez okno warsztatu rzemieślniczego. Wystawiono tam siedemnaście trójkątów z różnych rodzajów drewna i metali, Indianiec zaś spytał Broussarda o ich znaczenie.

– Nie są to symbole religijne. Zdaje mi się, że to raczej emblematy, coś jakby wywieszenie flagi czy noszenie oznaczeń stopnia wojskowego. O ile mogliśmy się zorientować, to każdy materiał i kolor oznacza inną grupę etniczną, choć doprawdy nie wiem, czy słowo grupa jest równoważnikiem klanu, zawodu czy jednostki wojskowej. Ale na Hadesie to najpospolitszy symbol.

Broussard spojrział wzdłuż ulicy, na której znajdowało się ze czterdzieści Błękitnych Diabłów. Niektóre z nich szły do jakiegoś celu, inne oglądały wystawy, kilka po prostu stało bez ruchu z nie dających się określić powodów.

– Zobacz pan, że około połowa z nich ma trójkąty. Niektóre noszą je jako wisiory, inne przyczepiają je do odzieży, a jeszcze inne po prostu przywiązują do ręki lub nogi.

Indianiec przyjrzał się najbliższemu Błękitnemu Diabłu, wzruszył ramionami i poszedł dalej. Zaleciał go mdlący odór, a gdy zajrzał do wnętrza mijanego budynku, zobaczył liczne trupy małych, sześcionożnych zwierząt zawieszane na czymś, co pełniło rolę haków na mięso.

– Rzeźnia – wyjaśnił Broussard. – Błękitne Diabły lubią mięso bardzo skruszałe.

– Głupie miejsce na rzeźnię. Ta okolica wygląda mi na dzielnicę handlu detalicznego.

– Niezupelnie – sprostował Broussard. – Oni nie tworzą skupisk jednego rodzaju biznesu, tak jak to czynią ludzie. Prawdę mówiąc, jeśli miasto zaplanowano wedle jakiegoś porządku, to jeszcze nie zdołałem go odkryć.

– Czy są tu jakieś firmy handlowe lub sklepy w okolicy, kierowane przez ludzi?

– Nie – stwierdził Broussard. – Prawo nie zabrania nam prowadzenia na Hadesie biznesu, ale jak powiedziałem, nie jesteśmy tu bardzo popularni i z wyjątkiem ośrodka medycznego żadne przedsiębiorstwo należące do ludzi nie zdołało uzyskać licencji. Restauracje posiadają: jeden Canphoryta, jeden Lodinita i jeden Mollut. – Pokazał palcem kulistą konstrukcję, odległą o jakieś sto jardów. – To właśnie jest ośrodek medyczny.

– Za mały na szpital – zauważył Indianiec.

– W ambasadzie mamy własny ośrodek zdrowia, to oczywiste, ale ten jest dla personelu spoza ambasady. W tej chwili na Hadesie nie ma nawet tysiąca nas, ludzi, ośrodek w zupełności wystarcza, by sobie radzić ze wszystkimi przypadkami.

– Sądząc z tego, co mówisz, musiałeś tam bywać.

– Nie jako pacjent. Ale pewna młoda dama, z którą się spotykam, jest tam lekarką.

– Mam nadzieję, że moja obecność nie zakłóca waszego romansu.

– Wykonuję moją pracę. Gdybym nie towarzyszył panu, eskortowałbym kogoś innego.

– Dobrze. Nienawidzę czuć się winnym.

Szli dalej wijącymi się ulicami, Broussard zaś wskazywał od czasu do czasu punkty orientacyjne lub miejsca mogące Indiańca zainteresować, aż wreszcie dotarli do restauracji.

Był to nieduży budynek z jeszcze mniejszą salą jadalną. Stało tam piętnaście stolików. Dziewięć pustych, przy pozostałych sześciu siedziały różne istoty, żadnego człowieka.

– Jak panu powiedziałem – przypomniał Broussard, gdy usadowili się przy stole koło drzwi – bardzo niewielu ludzi opuszcza hotele, by jeść.

– Nie ma sprawy – stwierdził Indianiec. – Chciałem obejrzeć miasto.

Popatrzyli na małe, holograficzne menu, unoszące się w powietrzu i polecili, by przekształciło się w jedną z ziemskich wersji językowych.

– Nie zamawiałbym mięsa – radził Broussard. – Nazywane jest wołowiną, ale Hades nie ma umów handlowych z Demokracją i tak naprawdę jest to miejscowe zwierzę rzeźne. Ludzie mają pewne trudności z jego przyswajaniem.

– Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że wszyscy staliście się wegetarianami.

– Nie. Ambasada importuje całe potrzebne mięso z Przystani Samarkanda. Ale właścicielami tych restauracji nie są ludzie i nie zależy im na nas jako klientach. Dlatego uważałbym ich dania mięsne za podejrzane.

– A więc doceniam twoją troskę, ale jadłem zwierzęta na dwóch tuzinach planet i jak dotąd nic nie zakłóciło rytmu mojego trawienia.

Przez chwilę patrzył jeszcze na menu, a potem zażądał jakiegoś dania. Natychmiast po przyjęciu zamówienia menu zniknęło.

– Myślę, że popełnia pan błąd – powiedział Broussard z zaniepokojoną miną.

Indianiec wzruszył ramionami.

– Nie dowiem się tego, póki nie spróbuję.

– Jimmy, zachowujesz się jak głupiec – pouczył go Trzydzieści Dwa.

Indianiec zignorował rozlegający się w głowie głos i zaczął prowadzić z Broussardem rozmowę towarzyską o sprawach bez znaczenia, głównie na temat sportu. Trwało to dopóki nie przyniesiono posiłku.

– Wydaje się okropne – orzekł Indianiec, przyglądając się niebieskozielonemu kawałkowi mięsa na swym talerzu.

– Jeśli pan sobie życzy, możemy zamówić coś innego.

– Kto nie ryzykuje, ten nie zyskuje – mruknął Indianiec. Odgryzł mały kawałeczek i zaczął żuć go z namysłem. – Smakuje mniej więcej tak, jak wygląda.

Broussard zajął się własnym talerzem, dużą porcją sałatki, a Indianiec w ciągu następnych paru minut odgryzał i żuł małe kęsy mięsa. Wreszcie ogłosił, że jego eksperyment z obcą kuchnią został zakończony i że podczas swego pobytu na Hadesie będzie jadał w ambasadzie.

– Jeśli jest pan nadal głodny, mogę podzielić się z panem moją sałatką – zaproponował Broussard.

– Nie, dziękuję. To paskudztwo odebrało mi apetyt. – Indianiec wzruszył ramionami. – A właściwie tego powinienem oczekiwać.

Przypuszczam, że gdybym przychodził tu co wieczór przez miesiąc, stałbym się szczupły i zdrowy.

Zaczekał, aż Broussard skończy jeść; w małym komputerze, który wygenerował ich menu, zostawił odcisk swego kciuka i numer identyfikacyjny, odczekał minutę aż ambasada zaakceptuje rachunek i wreszcie obaj opuścili restaurację.

Gdy tylko znaleźli się na zewnątrz, zaczął narzekać na zjedzoną potrawę i robił to przez cały czas, póki nie znaleźli się o trzydzieści jardów od ośrodka medycznego. Wtedy nagle chwycił się za żołądek, zgiął w pół jakby go chwyciły boleści i zaczął jęczeć.

Broussard zdecydował, że porucznik jest zbyt chory, by czekać na wóz z ambasady i pomógł mu dowlec się do ośrodka. Kiedy Broussard popędził po lekarza, Indianiec siedział na schodkach przed budynkiem i straszliwie jęczał, słuchając kazania Trzydzieści Dwa na temat głupoty tego, kto jada obcą żywność. Jimmy'emu udało się ukryć uśmiezek triumfu. A potem zamknął oczy i zwałił się na ziemię.

Czuł, jak kładą go na nosze i ciągną do sali nagłych wypadków, a potem usłyszał, jak odchodzą w poszukiwaniu lekarza. Uchyliwszy nieco powieki prawego oka, rozejrzał się i dostrzegł stojącego przy nim, bardzo zaniepokojonego Broussarda. Indianiec usiadł, a gdy Broussard chciał coś powiedzieć, gestem nakazał mu milczenie. Młody człowiek patrzył ciekawie, jak porucznik naśladuje ruchem ręki pisanie, wreszcie kiwnął głową zrozumiałwszy i wręczył mu komputer kieszonkowy.

Indianiec obejrzał uruchamianą głosem maszynkę, potrząsnął głową i znów wykonał ten sam ruch. Broussard wyciągnął z kieszeni pióro, na pobliskim stole znalazł trochę papieru, a potem wręczył jedno i drugie Indiancowi.

Nie mówani słowa – napisał Jimmy. – I zamknij drzwi na klucz.

Broussard przeczytał, zmarszczył brwi po czym zrobił, co mu kazano.

Teraz znajdź trochę waty i trochę plastra i zalep mi dokładnie lewe oko.

Broussard przeszukał parę szuflad, znalazł co trzeba i zalepił Indiancowi oko.

Bez względu na okoliczności masz milczeć, póki nie pozwolę ci mówić. Zrozumiałeś?

Broussard przeczytał wiadomość i skinął głową, nie przestając marszczyć brwi. Potem wziął od Indianca papier i napisał:

Co się dzieje? Co się stało z pana okiem?

Mam wykonać zadanie o kluczowym znaczeniu – odpowiedział Indianiec. – Nie wolno mi podawać szczegółów ale dotyczy ono Wyroczni.

Lekarz zaczął walić w zamknięte drzwi.

Powiedz mu, żeby zaczekał – napisał Indianiec. – Wymyśl jakąkolwiek skuteczną historyjkę.

Broussard skinął głową, ruszył do drzwi, przekręcił klucz i wyszedł do holu. W chwilę później wrócił.

W porządku – napisał. – A teraz może powiedziałby mi pan, co się dzieje.

Indianiec wziął od niego pióro.

Kiedy zapoznawałem się i przygotowywałem do tego zadania, w jakiś sposób umknęło mi półtorej doby. Pewnej nocy poszedłem do łóżka i ocknąłem się w moim pokoju hotelowym w 36 godzin później. Dzięki okruciom informacji, które udało mi się zebrać i ułożyć, doszedłem do wniosku, że przy mnie majstrowano,

W jaki sposób? – chciał wiedzieć Broussard.

Podejrzewam, że wszczepiono mi do głowy kamerę oraz radio-nadajnik.

Czemu nie zameldował pan tego wówczas swym przełożonym?

Bo nie wiem, który z nich jest w służbie Wyroczni. Gdybym to powiedział niewłaściwemu, zostałbym natychmiast zlikwidowany. Zdecydowałem nie robić nic, póki nie dotrę na Hades.

Broussard długo mu się przyglądał.

A jeśli pan się myli?

Jeśli się mylę, miałeś dziesięciominutowy kłopot, a ja zrobiłem z siebie błazna, lecz nie stało się nic złego. Nie wytoczono też żadnego fałszywego oskarżenia, ale jeśli mam rację, to w naszym wydziale operacji tajnych jest zdrajca.

Czemu mieliby wmontować panu kamerę i radiostację? – dopytywał się Broussard.

Indianiec wzruszył ramionami.

Z mnóstwa powodów Wyrocznia może sprawdzać swój system bezpieczeństwa, może mieć nadzieję, że przeze mnie uzyska dostęp do tajnych informacji.

Więc co teraz zrobimy? – zapytał Broussard.

Teraz postaramy się o kogoś, komu ty możesz ufać... być może o twoją przyjaciółkę. I usuniemy wszystko, co zostało wszczepione wczynie, gdy ten, kto znajduje się na drugim końcu, nadal będzie uważał, że kuruję się z powodu bólu brzucha.

Broussard zamyślił się.

To nie z nią rozmawiałem przed chwilą, chociaż wiem, że ma teraz dyżur. – Przerwał. – Ale będę musiał jej powiedzieć, o co chodzi.

Czy można jej ufać?

Broussard kiwnął głową.

– Okay, przyprowadź ją, będzie musiała pracować szybko. Płukanie żołądka pełnego zepsutej żywności nie może trwać zbyt długo.

Broussard uśmiechnął się i odebrał pióro.

Powiem jej, by zaznaczyła, iż podała panu środek nasenny. To powinno nam pozwolić zyskać dobrych osiem do dziesięciu godzin.

Miody człowiek odwrócił się, by odejść, ale Indianiec chwycił go za rękę.

Ostatnia sprawa – napisał. – Mam przypuszczenia co do kamery i radia, ale tam w środku może się znajdować coś więcej. Powiedz jej, by usunęła wszystko, co znajdzie.

Broussard znów kiwnął głową i opuścił izbę przyjęć nagłych wypadków. Wrócił po jakichś dziesięciu minutach, prowadząc za sobą ładną kobietę z zatroskaną miną. Natychmiast wyjęła z kieszeni pióro i napisała.

Jestem dr Jill Huxley. Daniel wyjaśnił mi pana sytuację i zaręczył, że jest pan tym, za kogo się podaje.

WIĘC WEŹMY SIĘ DO ROBOTY – odpisał Indianiec.

– Bardzo głupio pan postąpił, panie Dwa Pióra – powiedziała na głos.

– Daniel ostrzegł pana przed konsumowaniem obcych potraw.

Udało mu się jęknąć.

– To nie zagraża życiu – mówiła, równocześnie coś pisząc na kartce.

– A ja mam kilku pacjentów, którzy natychmiast potrzebują mojej opieki. Dam panu teraz środek nasenny, a gdy tylko się uwolnię, opróżnię pana żołądek.

Wydarta kartkę z notesu i podała Jimmy'emu.

Muszę pana przenieść na salę operacyjną – pisała. – A ponieważ trzeba to zrobić wabsolutnej tajemnicy, o asystowanie poproszę Daniela.

Broussard przeczytał wiadomość nad jej ramieniem i nagle zrobił minę, jakby mu było niedobrze.

Jak długo to potrwa? – zapytał Indianiec.

Jeśli dopuszczono się na panu jakichś manipulacji, przeskanowanie pana głowy i stworzenie przez komputer holograficznej analogii zabierze mi około godziny. Sama operacja potrwa od jednej do czterech godzin, zależnie od tego, jak głęboko urządzenia zostały umieszczone. Jeśli jest

pan gotów proszę kiwnąć głową, a ja poślę po sanitariuszy, by pana przewieźli.

Indianiec skinął głową, a potem położył się na plecach. W chwilę później przybyło dwóch barczystych młodych ludzi. Przewieźli go na salę operacyjną i odeszli. Broussard pozostał przy nim, a Jill Huxley przybyła prawie w dziesięć minut później.

Skąd to opóźnienie? – zapytał Indianiec.

Podniosła do góry parę specjalnych soczewek kontaktowych, a potem włożyła je do kieszeni.

Jeśli ma pan tam kamerę, nie przestanie ona działać tylko z tego powodu, że straci pan przytomność. Zdaję sobie sprawę, że z początku będzie pan miał oczy zamknięte, ale jeśli będę musiała usunąć kamerę, ta odnotuje wszystko, co się będzie działo, gdy tylko otworzę zawierające ją oko. Kiedy stwierdzę, że kamera naprawdę istnieje, założę sobie te soczewki, zaciemnię salę i będę operować wyłącznie przy podczerwieni.

Trafne rozumowanie – napisał Indianiec. – *Nigdy by mi to nie przyszło do głowy.*

Nie ma potrzeby, by pana usypiać, póki nie stwierdzimy, że wskazana jest operacja – kontynuowała lekarka. – *Samo skanowanie jest całkowicie bezbolesne.*

Skinął głową i w chwilę później Jill zawiozła go pod duże urządzenie, które wyglądało jak skrzyżowanie dziurkarki z nadmiernej wielkości aparatem fotograficznym.

Ma zasadnicze znaczenie, by pozostał pan nieruchomo przez następne dwadzieścia sekund – napisała lekarka.

Nie odpowiedział, a po prostu oddał jej notes i popatrzył do góry na maszynę. Zaczęła cicho furczeć i gdzieś głęboko w jej obiektywie zabłyśło słabe, czerwone światełko. Jimmy nie poczuł bólu ani niewygody i wreszcie furczenie ucichło, światło zgasło, a Broussard wytoczył go spod maszyny.

Jill Huxley przyzwała porucznika gestem, by dołączył do niej przy baterii komputerów, stojącej pod przeciwległą ścianą. Wszystkie ekrany kolejno ożywały, ukazując odczyty kompletnie dla niego niezrozumiałe. Wreszcie na jednym z nich ukazał się trójwymiarowy obraz jego głowy z trzema migającymi, żółtymi punktami: jednym w lewym oku, jednym

głęboko w prawym uchu i jednym u podstawy czaszki.

Czy ma pan jakiegokolwiek pojęcie, co ten może oznaczać?– zapytała, wskazując trzeci punkt.

Wzruszył ramionami.

Bez względu na to, co to jest, nie powinno się tam znajdować. Proszę to wydobyć.

Przez następne pół godziny nie zwracała uwagi na swego pacjenta, tworząc na różnych urządzeniach przekroje jego głowy, sprawdzając kilkakrotnie najlepsze drogi dotarcia do implantów.

Wreszcie wzięła notatnik i zaczęła znów pisać.

Bez problemu usunę dwa urządzenia, lecz to w pana oku może stworzyć problem. Jest w tak skomplikowany sposób podwiązane do nerwu ocznego, że usunięcie go może spowodować nieodwracalne uszkodzenie.

Proszę usunąć i dać mi protezę – odpisał.

Potrząsnęła głową.

Gdy nerwy oczne zostają uszkodzone, wszczepienie działającej protezy wymaga specjalisty. – Przerwała i spojrzała na niego, a potem napisała:

Musi pan podjąć decyzję, panie Dwa Pióra. Mogę zostawić kamerę na miejscu albo też obudzi się pan widząc tylko na jedno oko. Nie ma trzeciego wyjścia.

Indianiec opuścił głowę i zamyślił się głęboko. Nie obchodziło go, czy Trzydzieści Dwa będzie mógł widzieć czy nie, to co on będzie robił; najbardziej zależało mu na pozbyciu się urządzenia wybuchowego i wyeliminowaniu obcego głosu z wnętrza głowy. Ale sprzedał tym dwojgu zmyśloną historyjkę i jeśli zamierza zachować wzrok, musi im dać jakąś trzymającą się kupy odpowiedź. Wreszcie zaczął pisać:

Powinna ją pani zostawić. Nie ma sposobu, abym na Hadesie wymienił oko, a ta misja może mnie postawić w niebezpiecznych sytuacjach, w których trójwymiarowe widzenie będzie miało zasadnicze znaczenie. Ten, kto dokonał wszczepu, widział już twarz Daniela i wie, jak wygląda moja kwatery. Jeśli postaram się, by spędzać wambasadzie jak najmniej czasu, zapewne nie ujawnię nic, czego zdrajca by już nie wiedział.

Ale nadal będzie pan przekazywał Wyroczni wszystko, co pan widzi – napisała Jill. – Czy to pana nie wyłącza całkowicie?

Będę nosił przepaskę na oku – odpisał, uśmiechając się zadowolony z pomysłu. – Zdejmę ją tylko wtedy, gdy będę zmuszony postugiwać się obojgiem oczu.

Dobrze – odpowiedziała. – Może to na jedno wyjdzie. Niepokoila mnie myśl o operowaniu w podczerwieni. Przygotuję narkozę.

Jeszcze jedno – napisał, wrywając jej notes. – Przyszło mi na myśl, że urządzenie u podstawy mojej czaszki mogło zostać umieszczone jako system kontrolowania lub unicestwienia mnie, jeśli zanadto zbliżę się do Wyroczni. Czy ma pani coś, czym można by to zanalizować?

Wątpię.

Wobec tego dla pewności proszę to usunąć tak szybko, jak tylko się da.

Czy mam także usunąć radio?

Nie – napisał. – Gdy tylko zostanie usunięte, stanie się nieszkodliwe i może powiedzieć mi coś o charakterze, a nawet tożsamości nieprzyjaciela. Proszę je dla mnie zachować.

Skinęła głową.

Proszę zdjąć mundur, a potem położyć się na plecach na stole. Zrobię teraz panu zastrzyk, narkoza podziała niemal natychmiast.

Ostatnia sprawa. To obce mięso naprawdę przygotowuje mnie o mdłości. Czy może pani zrobić mi płukanie żołądka, gdy będę nieprzytomny?

– Tak – napisała. – To jest naprawdę coś okropnego. Dziwie się, że nie czuje się pan jeszcze gorzej.

Zdjął mundur, cisnął go Broussardowi, który stał z miną człowieka zarówno zaniepokojonego, jak i niepotrzebnego, a potem położył się na stole.

Nagle usiadł i gestem zażądał notesu.

Gdy usunie pani nadajnik radiowy, proszę nie mówić. Jest bardzo prawdopodobne, że nadal będzie działać.

Doskonałe zdają sobie z tego sprawę – odpisała.

A potem głośno się odezwała:

No, nie ma sensu budzenie go z narkozy, póki jeszcze działa. Bierzmy się do roboty, a jeśli on obudzi się z najgorszym bólem żołądka, jakiego kiedykolwiek doświadczył, może dłużej się będzie zastanawiał, zanim wybierze jakieś danie, gdy następnym razem odwiedzi restaurację kosmitów.

– Racja, pani doktor – odrzekł Broussard, zmieniając głos.

A potem Jill schyliła się, wstrzyknęła coś do lewej ręki Indiańca, on zaś zaczął w myśli odliczać wstecznie od stu.

Nim doliczył do dziewięćdziesięciu ośmiu, stracił przytomność.

Jakiś głos zakłócił spowijającą go ciemność.

– Jak pan się czuje?

Indianiec jęknął i próbował się odwrócić, ale gdy jego prawe ucho dotknęło poduszki, drgnął z bólu.

– Proszę się obudzić, poruczniku Dwa Pióra.

– Idź sobie.

– Już po operacji, panie poruczniku – powiedział Broussard. – Teraz czas wstawać.

– Która godzina?

– Nad ranem.

– Dobrze. Daj mi minutę na zebranie myśli. – Leżał nieruchomo, próbując przypomnieć sobie wydarzenia poprzedniego wieczoru, póki wszystkie się nie uporządkowały. – Jak poszło?

– Mniej więcej zgodnie z przewidywaniami – odpowiedział Broussard.

– Usunęła radiostację i materiał wybuchowy, pozostawiając kamerę na miejscu. – Przerwał. – Zaraz potem obudziła pana i krótko przebadła, a potem kazała mi przenieść pana tutaj jeszcze na parę godzin.

Indianiec nagle usiadł, a potem jęknął i złapał się za głowę.

– Żadnych nagłych ruchów przez następny dzień – ostrzegł Broussard, siadając na krześle w nogach łóżka.

– Jezu! Czuję się tak, jakby ktoś siedział mi w głowie i walił młotem, próbując się wydostać.

– Jill powiedziała, że po obudzeniu będzie pan miał całkiem niezły ból głowy.

– Czy to coś u podstawy czaszki to bomba? – zapytał Indianiec. – Tak.

– Gdzie ona jest?

– Rozpuściliśmy ją w kwasie.

– Czy można rozpuścić bombę w kwasie?

– Można, jeśli jest organiczna, jak bomba plazmowa – odrzekł Broussard. – Cały trik polegał na tym, by ją wyjąć nie detonując. – Uśmiechnął się. – To dlatego boli pana głowa.

– A co z radiem?

– Jest w sąsiednim pokoju – powiedział Broussard. – Nie sądziłem, że będzie pan chciał je mieć przy sobie, nim nie porozmawiamy. Jeśli pan chce, mogę je zniszczyć.

– Jeszcze nie – rzekł Indianiec. Po chwili zapytał: – Czy podano mi jakieś lekarstwa?

– Jill napompowała pana antybiotykami i glukozą, a przez kilka dni będzie pan otrzymywał środki przeciwbólowe.

– Wzrok mi się zmienił – stwierdził, marszcząc brwi, Indianiec.

– Pozwoliłem sobie założyć panu przepaskę na oko – odpowiedział Broussard. – Może pan ją w każdej chwili zdjąć. Wydało mi się najlepszym rozwiązaniem nie pozwolić osobie na drugim końcu kamery zorientować się, że nadal jest pan w pokoju szpitalnym.

– Dobrze pomyślane – pochwalił Indianiec.

– Co pan powie na śniadanie?

– Taa, za parę minut będę w stanie coś zjeść – odrzekł Indianiec. – Nie licząc kilku kąsków tego paskudnego mięsa, nie miałem nic w ustach od wczorajszego popołudnia, kiedy przybyłem do ambasady.

– Skoro już mówimy o ambasadzie, za kilka minut muszę się tam zameldować, inaczej zaczną wysyłać grupy poszukiwawcze. – Broussard przerwał. – Wywołałem ich natychmiast po tym, jak wywieźliśmy pana z sali operacyjnej i opowiedziałem jakieś banialuki o tym, że bałamuci pan jakąś nowo poznaną dziewczynę. Ale niedługo zaczną się denerwować.

– Kiedy będę mógł stanąć na nogi?

– Gdy tylko pan zechce.

– Okay – powiedział Indianiec. – Daj mi jeszcze godzinę, a potem odprowadź mnie do ambasady.

– Nie sądzę, by w obecnym stanie mógł pan iść tak daleko – oświadczył Broussard. – Może lepiej będzie, jeśli wezmę wóz i wrócę tu po pana.

Indianiec skinął głową i w tym momencie błyskawica bólu przeszła mu czaszkę.

– Jasna cholera! – zaklął. – Ile jeszcze czasu będzie to trwało? – Co?

– Za każdym razem, gdy poruszam głową, mam takie wrażenie, jakby mnie ktoś rąbał tępym narzędziem.

– Doprawdy nie umiem tego przewidzieć. Wiem tyle, co powiedziała Jill: że przez dzień lub dwa będzie pan odczuwał pewną niewygodę.

– To, co dla lekarza jest niewygoda, dla jego pacjentów jest piekielną męką. Daj mi środek przeciwbólowy.

Broussard sięgnął do kieszeni i wyciągnął mały inhalator.

– Proszę odetchnąć tym jeden raz co cztery godziny. Indianiec wyrwał mu przyrządek, wsunął w nozdrza i dwukrotnie wciągnął powietrze.

– Nie mam czasu na powolną rekonwalescencję.

– Czy mogę coś dla pana zrobić, zanim pójdę po samochód?

– Dwie rzeczy. Po pierwsze: gdzie jest moje ubranie? Broussard podszedł do szafy i kazał się otworzyć drzwiom.

– O tutaj. A drugie?

– Przynieś mi radio... i ani mru mru w czasie, gdy będziesz je niósł. A potem postaraj się o wóz i odbierz mnie za godzinę.

Broussard wyszedł z pokoju i wrócił w chwilę później z niewiarygodnie miniaturowym urządzeniem, ułożonym na miękkiej gąbce. Wręczył go Indiancowi i opuścił pokój.

Indianiec odczekał, póki drzwi się nie zasuną, a potem włożył przyrządek do lewego ucha.

– Dzień dobry, skurwysynu – powiedział.

– Jak się dziś czuje twój żołądek, Jimmy? – zapytał Trzydzieści Dwa. Jego głos brzmiał metalicznie i zdawał się dolatywać z daleka.

– Nigdy nie czułem się lepiej.

– Ufam, że ta lekcja czegoś cię nauczyła.

– Nie uwierzysz, ile się nauczyłem – odpowiedział Indianiec. Nastąpiło długie milczenie.

– Czy nie chcesz o coś zapytać? – powiedział w końcu Indianiec.

– O co? – odpowiedział Trzydzieści Dwa.

– Czemu nic nie widzisz?

– Przypuszczam, że masz zamknięte oczy.

– W każdym razie jedno z nich.

– Twoje rozdrażnienie to dziecinada – orzekł Trzydzieści Dwa. – Mam ci pomagać, a nie mogę nic zrobić nie widząc tego, co ty.

– Prawdę mówiąc, to ja mam pomagać tobie – stwierdził Indianiec. – I myślę, że pierwszą rzeczą, w której ci dopomogę, będzie renegecja mojego kontraktu.

– O co ci chodzi, Jimmy?

– Zaraz zmienimy zasady podstawowe – oświadczył Indianiec. – Jak

bardzo zależy ci na Wyroczeni?

– Bardzo. Wiesz o tym.

– Ile gotów jesteś zapłacić?

– Jimmy, już zawarliśmy umowę – stwierdził Trzydzieści Dwa. – Twoja wolność w zamian za Wyroczenie.

– Moja wolność była tylko zaliczką – powiedział Indianiec, ostrożnie kładąc się na poduszce i znów krzywiąc się z bólu. – A teraz zaczniemy mówić o pieniądzach.

– Zapomnij o tym, Jimmy. Nie pozwolę ani tobie, ani nikomu innemu wyzyskiwać Demokracji.

– Kto tu kogo wyzyskuje? – zapytał Indianiec. – Chcę uczciwej dniówki za uczciwą pracę.

– Przez całe życie ani dnia nie pracowałeś uczciwie – odrzekł Trzydzieści Dwa. – Mamy umowę i będziesz się jej trzymał.

– Nie, obawiam się, że nie.

– Pozwól, że ci przypomnę, iż mam możliwość zerwania naszej umowy nader gwałtownie, jeśli zechcę.

– Proszę bardzo, spróbuj.

– Czemu mówisz w taki sposób? – zapytał Trzydzieści Dwa. – Co cię naszło, Jimmy?

– Nic mnie nie naszło – odparł Indianiec. – Ale mnóstwo ze mnie wyszło. Chcesz zobaczyć?

Wyjął radiostację, a potem zwrócił się twarzą do ściany, aby Trzydzieści Dwa nie mógł ustalić miejsca jego pobytu na podstawie widoku z okna, po czym wolną ręką odsunął przepaskę z oka i popatrzył na małą przedmiot.

– Znajomo wygląda? – zapytał.

Odpowiedzi nie było, więc zrozumiał, że jeśli nawet Trzydzieści Dwa mówi, nie może go usłyszeć, póki nie włoży z powrotem radiostacji do ucha. Znowu zakrył oko, a potem uważnie umieścił radio na dawnym miejscu. Trzydzieści Dwa właśnie kończył długą serię nieprzyzwoitych przekleństw.

– Pokazałbym ci też bombę, ale już została zniszczona. – Indianiec znów wyszczerzył zęby. – Czy jesteś gotów do rozmowy o cenie?

– To jest wymuszenie, a ja nie robię interesów z szantażystami.

– Nie, ty tylko zakładasz im urządzenia podglądu, podsłuchu i

likwidacji.

– Albo zajmiesz się Wyrocznią na naszych pierwotnych warunkach, Jimmy, albo już jesteś trupem.

– Zupełnie mnie to nie przeraża.

– Jimmy, nie żartuję. Może potrafisz ukrywać się przez godzinę, przez dobę, a może nawet tydzień. Ale obiecuję, że nigdy nie wydostaniesz się z tej planety.

– Być może nie będę chciał.

– O czym ty mówisz?

– Przyczyna, dla której będziemy negocjować cenę, jest taka, bez względu na to, jak głośno protestujesz – stwierdził Indianiec – że nie jesteś jedynym uczestnikiem tej gry.

– A kto jeszcze?

– Obliczyłem sobie, że jest przynajmniej dwóch innych graczy – odpowiedział Indianiec. – Po pierwsze: facet, który przylatuje, by ją stąd wyciągnąć.

– Nawet nie wiesz, kto to taki.

– Już mi powiedziałeś, jakiego nazwiska używa, a jeśli on zdoła się tu przedostać, nie będzie trudno go zauważyć. – Przerwał. – Gdy tylko się dowie, że Demokracja pragnie jego śmierci, to kombinuję sobie, że chętnie mi zapłaci za zdradzenie mu tożsamości człowieka, który go oszukał.

– A drugi uczestnik?

– Myślałem, że to oczywiste – odrzekł Indianiec. – Wyrocznia.

– Zdradziłbyś własną rasę? Nie mogę w to uwierzyć!

– Nie mam nic przeciwko Wyroczni – odpowiedział Indianiec. – Nigdy nie zrobiła mi nic złego... a to znacznie więcej, niż mógłbym powiedzieć o pewnych przedstawicielach mojej własnej rasy.

– To więcej niż wymuszenie! – warknął wściekle Trzydzieści Dwa. – To zdrada!

– Nie – zaprzeczył Indianiec. – To interes. – Przerwał. – A teraz mogę go zawrzeć z tobą albo z kimś innym. To jedyna decyzja, którą musisz podjąć. Daję ci na to pięć minut. Jeśli w tym czasie dojdziemy do porozumienia, wracam do ambasady i zaczynam pracować dla ciebie. Jeśli nie, gwarantuję, że mnie nie znajdziesz, zanim nie dotrę do Gwizdacza i Wyroczni.

Trzydzieści Dwa nie odpowiedział, a Indianiec zaczął w myśli wsteczne odliczanie sekund.

– Cztery minuty – obwieścił. Nadal nie było odpowiedzi.

– Trzy minuty.

– Ile chcesz? – zapytał z wysiłkiem Trzydzieści Dwa.

– Jestem człowiekiem rozsądnym – powiedział Indianiec. – Bez przerwy powtarzasz mi, że Wyrocznia jest zapewne największym potencjalnym niebezpieczeństwem, które kiedykolwiek stanęło przed Demokracją. Nie sądzę, by dziesięć milionów kredytów było wygórowaną kwotą.

– Dziesięć milionów? Zwariowałeś?

– Dajże spokój – odparł swobodnym tonem Indianiec. – Wydajecie miliardy kredytów na prowadzenie wojen przeciw rasom, które wam nie zagrażają. Uważam, że powinniście pochwycić oburącz szansę pozbycia się Wyroczni za jedyne dziesięć milionów.

Zapadła głęboka cisza.

– Płatnych po wykonaniu zadania? Indianiec roześmiał się głośno.

– Utraciłem wiarę w Demokrację. Żądam połowy z góry, a drugiej połowy tam, gdzie będę mógł ją odebrać po wykonaniu roboty.

– Podaj mi bank i numer konta, a ja każę przekazać tam jutro rano pięć milionów kredytów.

– Nawet gdy żuję nasiona nie jestem aż tak głupi – stwierdził Indianiec. – Pieniądze przejdą przez tylu pośredników, że stracisz ich trop, nim będą w połowie drogi do celu. A ja nie przystąpię do roboty, zanim nie znajdą się tam, gdzie chcę.

Podał Trzydzieści Dwa pierwszy etap drogi przestania pieniędzy. – Jakie mam zabezpieczenie, że wykonasz zadanie, gdy tylko pieniądze dotrą do celu?

– Żadnego – odparł Indianiec. – Umowa stoi?

– Muszę to przemyśleć – odpowiedział Trzydzieści Dwa.

– To myśl szybko. Pozostała ci niecała minuta.

– Czy wprowadzisz ponownie radiostację, abym mógł śledzić twoje postępy?

– Nie ma mowy. Pracuję samotnie. Znów pauza.

– Zgoda. Umowa stoi.

Ale nie przybiliśmy tego dłońmi na zgodę, pomyślał z uśmiechem

Indianiec, wrzucając radiostację do rozdrabniacza.

Indianiec leżał na wznak na łóżku, gapiąc się na różne dwu – i trójwymiarowe grafiki na beżowych ścianach i pragnąc, by ambasada wynajęła odważniejszego dekoratora wnętrz. Gdy pulsowanie w jego prawym uchu i u podstawy czaszki wreszcie zaczęło ustępować, postanowił wziąć się do roboty.

– Włącz się – rozkazał komputerowi. Komputer na biurku zabuczał i ożył.

– Czy wiesz, kim jestem?

– Jesteś porucznikiem, nazywasz się James Dwa Pióra.

– Czy wiesz, jakie mam zadanie na Hadesie?

– Nie, nie wiem.

– Czy w tej chwili ktokolwiek monitoruje mój pokój? – Nie.

– Czy ktokolwiek monitoruje moją rozmowę z tobą? – kontynuował.

– Nie.

– Czy mam upoważnienie, by to sobie zapewnić na stałe?

– Nie rozumiem, poruczniku Dwa Pióra – odparł komputer. – Musi pan precyzyjniej formułować swoje pytania.

– Czy jest sposób, abym mógł uniemożliwić komukolwiek monitorowanie tego pokoju?

– Nie.

– Czy możesz mnie ostrzec, jeśli i kiedy pokój będzie monitorowany?

– Tak.:

– Polecam ci to uczynić.

– Polecenie przyjęte.

– Dobrze. – Indianiec przerwał, próbując należycie sformułować swe żądanie. – Nie chcę, aby ktokolwiek dowiedział się, jakich informacji mam zamiar od ciebie zażądać. Czy istnieje sposób, aby ta i wszystkie przyszłe rozmowy między tobą i mną pozostały poufne, aby nikt inny nie miał do nich dostępu?

– Tak.

– Jak mam to spowodować?

– Musisz polecić mi, abym zabezpieczył twoją pracę Zakazem Priorytetowym.

– Proszę zabezpieczyć wszystko co robię, Zakazem Priorytetowym.

– Polecenie przyjęte.

– W porządku – orzekł Indianiec. – A teraz bierzmy się do roboty. –

Przerwał, gdyż paroksyzm bólu przeszył mu ucho środkowe, a gdy przeszedł, porucznik mówił dalej: – Mam dwie misje do wypełnienia na Hadesie. Jedna, to zamordowanie kobiety, znanej jako Wyrocznia. Druga, to uniemożliwienie człowiekowi znajdującemu się gdzieś w systemie Alfry Crepello dotarcie do niej przede mną. Jeśli skontaktuję się z nim, istnieje możliwość, że będę musiał go zabić. Czy twoje oprogramowanie może mi w tym pomóc?

– Tak – powiedział komputer. – Dopomożenie ci w wypełnieniu misji nie wywoła we mnie żadnych konfliktów etycznych.

– Dobrze. Czy w twym banku pamięci znajduje się jakakolwiek informacja o najemniku względnie łowcy nagród, używającym imienia zawodowego Gwizdacz?

– Nie.

– Przybywa z Wewnętrznej Granicy. Czy możesz połączyć się z komputerem, który miałby jakieś informacje na jego temat?

– Być może. Zapadła cisza.

– No? – ponaglił Indianiec.

– Nie wydałeś polecenia, poruczniku Dwa Pióra.

– Spróbuj połączyć się z komputerem mogącym dostarczyć ci danych o Gwizdaczu, a jeśli ci się uda, przekaż te informacje mnie.

– Wykonuję...

Nastąpiły trzy minuty ciszy, podczas których Indianiec leżał absolutnie nieruchomo w nadziei, że ból w jego głowie się zmniejszy. Właśnie zaczął odrobinę ustępować, gdy komputer przemówił ponownie:

– Człowiek znany jako Gwizdacz nazywa się w rzeczywistości Jozue Jeremiasz Chandler. Ma trzydzieści osiem lat. Wysokość – sześć stóp dwa cale, waga – 178 funtów, włosy kasztanowate, oczy niebieskie. Brak blizn i innych znaków szczególnych. Zamieszkuje na planecie Boyson III, znanej miejscowo jako Planeta Francuza. Jest łowcą nagród, ma na swym koncie dwadzieścia siedem odnotowanych zabójstw i dostarczył jedenastu żywych uciekinierów. Przypuszcza się, że dokonał nawet więcej zabójstw, ale ich liczby nie daje się ustalić.

– Robi wrażenie – stwierdził Indianiec. – Czy możesz mi dostarczyć

jego fotografię lub hologram?

– Tak.

Indianiec czekał kilka sekund, a potem się skrzywił.

– Proszę to zrobić.

Natychmiast na małym ekranie zabłysnął hologram Chandlera, zdjęty z jego paszportu.

– Jestem zbyt daleko, by go widzieć – powiedział Indianiec. –

Powiększ.

Nagle holograficzny portret Chandlera o boku około czterech stóp pojawił się tuż nad biurkiem. Indianiec przyjrzał się bladoniebieskim oczom, wystającym kościom policzkowym, surowym ustom, próbując bezskutecznie poznać człowieka na podstawie jego obrazu.

– Czy już wylądował na Hadesie?:

– Nie.

– Nie, nie wylądował?

– Nie, nie wiem.

– Czy wszystkie istoty ludzkie muszą meldować się w ambasadzie?

– Tak – odpowiedział komputer. – Ale jak rozumiem mieszkańcy Wewnętrznej Granicy nie uznają władzy Demokracji. Wobec tego możliwe jest, że wylądował nie zawiadamiając ambasady o swej obecności.

– Czy możesz to sprawdzić w Bezpieczeństwie Kosmoportu?

– Nie. Odmówiono mi dostępu do komputera kosmoportu.

– Rozumiem – powiedział Indianiec. Przerwał, próbując uporządkować myśli. – Jego zadanie polega na porwaniu kobiety znanej jako Wyrocznia. Jakie, wedle twojej opinii, podejmie działania?

– Przybędzie na Hades, uzyska do niej dostęp i siłą zabierze ją z planety.

Indianiec znów skrzywił się.

– Omówmy to krok po kroku. Jeśli chciałby przybyć na Hades tak, by jego obecność pozostała nieznaną, co by zrobił?

– Nie zgłosiłby swej obecności w ambasadzie.

– Wtedy tylko ty byś nie wiedział, że on tu jest. Jak mógłby ominąć Błękitne Diabły?

– Ma do wyboru dwie możliwości – odparł komputer. – Albo oszuka system Bezpieczeństwa Kosmoportu i nie zauważy jak się prześliznie, albo też będzie musiał ukryć swą tożsamość.

– Ilu istotom ludzkim udało się ominąć Bezpieczeństwo Kosmoportu?

– Nie mam dostatecznych danych, by odpowiedzieć na to pytanie.

– O ilu wiesz?

– O żadnym.

– Wobec tego przyjmijmy, że jest to niewykonalne, a on będzie miał fałszywą tożsamość – powiedział Indianiec. – Jaki rodzaj przebrania zapewnia maksimum niewykrywalności?

– Nie mam dostatecznych danych, by odpowiedzieć na to pytanie.

– Chcesz powiedzieć, że nikt i nigdy tego nie dokonał? – Jeśli komuś się powiodło, z samej istoty rzeczy nie mogę o tym

wiedzieć – stwierdził komputer.

Indianiec zastanawiał się chwilę, po czym podjął rozmowę:

– Przyjmij hipotezę, że tego dokonał. Dokąd udałby się następnie?

– Nie mam dostatecznych danych, by odpowiedzieć na to pytanie.

– Jesteś cholernym wrzodem na dupie! – warknął Indianiec. – Dobra, sformułuj to inaczej. Jeśli człowiek nie mieszka w ambasadzie, gdzie najprawdopodobniej się zatrzyma?

– Są cztery hotele przyjmujące ludzi – odpowiedział komputer. –

Żadna z ich nazw nie może być wymówiona ani zapisana w jakimkolwiek języku ziemskim. Mają nazwy kodowe: Niebieski Dom, Czerwony Dom, Biały Dom oraz Zielony Dom. Tak nazywają je członkowie personelu ambasady.

– Rozumiem, że nie przyjmują wyłącznie ludzi?

– Stwierdzenie prawdziwe.

– Teraz przyjmij hipotezę, że on zatrzymuje się w jednym z hoteli.

Przypuśćmy, że w Białym Domu. Następnie spróbuje ustalić, gdzie znaleźć Wyrocznię. Jak się do tego weźmie?

– Jego pierwszym krokiem będzie posłużenie się spisem abonentów wideofonów. Następnie zapyta w ambasadzie. Następnie...

– Stop! – rozkazał Indianiec. Komputer natychmiast zamilkł.

– Posłuchaj – powiedział poirytowany Indianiec. – Dla tej hipotezy musisz uwzględnić pewne fakty. Po pierwsze, Gwizdacz znajduje się tu nielegalnie, a jeśli wykryją jego obecność, zostanie uwięziony lub deportowany, a może nawet stracony. Po drugie, może być już świadom faktu, że Demokracja nie życzy sobie powodzenia jego misji i skazała go na śmierć. Po trzecie, Wyrocznia znajduje się pod ochroną Błękitnych

Diabłów, one zaś z pewnością staną się podejrzliwe, jeśli ktokolwiek zacznie na jej temat zadawać pytania. A teraz, biorąc pod uwagę jego potrzebę całkowitej tajności, w jaki – według ciebie – sposób zabierze się do ustalenia miejsca jej pobytu?

– Nie mam dostatecznych danych, by odpowiedzieć na to pytanie.

– Czemu? – wybuchnął sfrustrowany Indianiec. Usiadł i aż jęknął z powodu nagłego, ostrego bólu w głowie.

– Chociaż mam zdolność osłonięcia pewnych plików przed ich zbadaniem, nie zostałem zaprogramowany do inicjowania tajnych operacji.

– Do cholery, ja cię tylko prosiłem o hipotezy!

– Nie jestem zdolny do stworzenia tej hipotezy.

Indianiec znów położył się na łóżku na wznak, oparł głowę na poduszce i przymknął oczy, czekając aż ból przejdzie.

– Oszaleję przy tobie! – mruknął wreszcie. Maszyna nie odpowiedziała.

– Okay – rzekł Indianiec, gdy ból wreszcie minął. – Na chwilę pomińmy Gwizdacza i skoncentrujmy się na Wyroczni. Jakie masz o niej informacje?

– Wiadomym jest, że Wyrocznia istnieje. Nastąpiła długa przerwa.

– I to wszystko? – zapytał z niedowierzaniem Indianiec. Poczul, że całe jego ciało sztywnieje z frustracji, a ból powraca.

– To jedyna sprawdzona informacja, jaką mam. Cała reszta w bazie danych to domysły lub hipotezy.

– Wszystko jedno, podaj je.

– Istnieje przekonanie, że Wyrocznią jest Penelopa Bailey, lat dwadzieścia dwa. Uważa się, że Wyrocznia przebywa w towarzystwie kosmity, znanego jako Nibyżółw. Uważa się, że Wyrocznia jest renegatem politycznym i wrogiem Demokracji. Uważa się, że Wyrocznia wyposażona jest w zdolność prekognicji, pod warunkiem, iż jest to naprawdę Penelopa Bailey. Wówczas Wyrocznia rzeczywiście ma zdolność prekognicji. Uważa się, że Wyrocznia zamieszkuje na Alfie Crepello III od dwunastu do czternastu lat. Nie sądzi się, by Wyrocznia była członkiem rządu Alfę Crepello III, ale uważa się, że posiada znaczny wpływ na jego decyzje.

Indianiec odczekał chwilę, aby upewnić się, że komputer zakończył informowanie go, a potem znowu się odezwał:

– Czy Wyrocznia zamieszkuje w Quichancha?

– Nie mam dostatecznych danych, by odpowiedzieć na to pytanie. Indianiec zamilkł na chwilę, zastanawiając się nad swym następnym pytaniem.

– Czy Wyrocznia kiedykolwiek udziela audiencji istotom ludzkim?

– Nie.

– Czy Wyrocznia kiedykolwiek udziela audiencji kosmitom innym, niż Błękitne Diabły?

– Nie mam dostatecznych danych, by odpowiedzieć na to pytanie.

– To oznacza, że nie wiesz o żadnych takich audiencjach?

– Stwierdzenie prawdziwe.

– Czy w ciągu ostatnich dwunastu lat Wyrocznia kiedykolwiek opuściła Hades?

– Nie mam dostatecznych danych, by odpowiedzieć na to pytanie.

– W porządku – powiedział Indianiec. – Załóżmy, że przybyła tu dwanaście czy trzynaście lat temu i od tej pory nie spotykała się z żadnym członkiem jakiegokolwiek rasy prócz Błękitnych Diabłów. Czy masz jakiegokolwiek informacje, aby było przeciwnie?

– Nie, nie mam.

– Czy na Hadesie poza Quichancha znajdują się inne kosmoporty?

– Nie.

Indianiec przeanalizował wszystkie otrzymane informacje i nagle uśmiechnął się.

– Wobec tego wiem, w jaki sposób ją odnajdę. Zastanawiam się, czy Gwizdacz jest dość bystry, by to samo wymyślić.

Maszyna nie odpowiedziała.

– Czy odmówiono ci wszelkiego dostępu do komputera kosmoportu, czy tylko do jego funkcji bezpieczeństwa?

– Odmówiono mi dostępu do wszystkiego, co jest związane z Bezpieczeństwem Kosmoportu.

– A co na temat nadawania i odbioru przesyłek?

– Nie rozumiem pytania.

– Czy masz dostęp do wykazu ładunków w dziale towarowym kosmoportu?

– Tak, po warunkiem, że wykazy nie wymieniają towarów, mających związek z bezpieczeństwem planety.

– To aż nazbyt proste – stwierdził Indianiec. – Tej ambasadzie

potrzeba więcej zabójców, a mniej biurokratów. – Znow uśmiechnął się. – Uzyskaj dostęp do wykazów wszelkich towarów otrzymanych w przeciągu ostatnich dwóch tygodni. – Wykonuję... dostęp uzyskany.

– Dobrze. Teraz przejrzyj je i sporządź listę żywności dla ludzi, którą importowano z księżyców Hadesu.

– Wykonuję... sporządzona.

– Wyeliminuj wszystko to, co zostało zamówione przez ambasadę oraz cztery hotele przyjmujące ludzi.

– Wykonuję... wyeliminowane.

– Teraz wyeliminuj wszystko to, co zostało zamówione przez trzy restauracje w Quichancha.

– Wykonuję... wyeliminowane.

– Ile pozycji pozostało?

– Cztery.

– Czy wszystkie cztery należały do tego samego ładunku?

– Nie. Znajdowały się w dwóch ładunkach, dostarczonych w odstępie dziesięciu dni.

– Dla kogo były przeznaczone?

– Dla Vrief Domo.

– Kto lub co jest Vrief Domo?

– Krajowiec z Alfya Crepello III.

– Błękitny Diabeł?

– Stwierdzenie prawdziwe.

– Wiedziałem, że ona nie może odżywiać się bez przerwy tym cholernym tutejszym mięsem! – wykrzyknął triumfalnie Indianiec. – Czy możesz mi pokazać, jak wygląda Vrief Domo?

– Tak. Cisza.

– No to zrób to, do cholery! – wrzasnął Indianiec.

Na miejsce hologramu Chandlera zjawił się przedstawiający Vriefa Domo.

– Gównu! – mruknął Indianiec. – Oni wszyscy wydają mi się jednakowi. – Przerwał. – Jakie dane masz na jego temat?

– Vrief Domo jest urzędnikiem rządu Alfya Crepello III.

– Rządu planetarnego, nie zarządu Quichancha? – przerwał mu Indianiec.

– Stwierdzenie prawdziwe. – Jaką pełni funkcję?

– Nie wiem.

– Gdzie urzęduje?

– W Domu Prawa.

– Domu Prawa? – powtórzył marszcząc brwi Indianiec. – Co to takiego?

– Dom Prawa jest kompleksem budynków, z którego rządzi się Alfą Crepello III.

Indianiec rozważył informację, a potem potrząsnął głową.

– Roi się tam pewnie od ochroniarzy. – Po chwili dodał: – Musisz coś jeszcze wiedzieć na jego temat. Podaj mi wszystko, co masz.

– Co dziesięć dni Vrief Domo odbiera w kosmoporcie Quichancha ładunek żywności dla ludzi. Jest to jedyna informacja na jego temat, jaką mam.

– Gdzie zawozi tę żywność?

– Wykonuję... – Dość długa cisza. – Przeznaczenie nieznane.

– Czy wiesz, gdzie on mieszka? – Nie.

– Czy możesz ustalić, gdzie? – Wykonuję... tak.

– Czy mieszka w Quichancha? – Tak.

– Jaki jest jego adres?

– W Quichancha nie ma adresów w rozumieniu ludzi.

– Czy możesz pokazać jego miejsce zamieszkania na planie miasta?

– Tak.

Indianiec czekał cierpliwie.

– To zrób to, do jasnej cholery!

Hologram Vriefa Domo został zastąpiony trójwymiarowym planem miasta, na którym mary, błyskający punkt oznaczał mieszkanie Błękitnego Diabła.

– Potrzebuję wydruku tego hologramu. – Wykonuję... wykonane.

– I potrzebuję także wydruku hologramu Vriefa Domo. Do przyjęcia jest odbitka dwuwymiarowa. – Wykonuję... wykonane.

– Gdzie one są?

– Moja drukarka znajduje się w dużej szufladzie twojego biurka po prawej jego stronie. Znajdziesz tam wydruki.

– Jak daleko od ambasady może znajdować się mieszkanie Vriefa Domo?

– W przybliżeniu 1173 metry.

– W przybliżeniu? – Dokładnie, 1173,239 metra.

– W linii prostej czy licząc wzdłuż ulic?

– W linii prostej.

– Jak daleko to będzie wzdłuż ulic?

– Najkrótsza trasa wynosi w przybliżeniu 4,2 kilometra.

– Bardzo dobrze. Zapewnij, aby nikt nie miał dostępu do tego, o czym właśnie rozmawialiśmy.

– Już umieściłeś wszelkie interakcje ze mną pod Zakazem Priorytetowym.

– Tylko ci przypominałem.

– Nie jestem zdolny do zapominania.

– Świetnie. Wyłącz się.

Komputer zamarł, Indianiec zaś wstał i podszedł do biurka. Otworzył prawą szufladę i wyciągnął dwa wydruki. Starannie złożył mapę i wsunął do kieszeni munduru, następnie podniósł do góry portret Vriefa Domo, jego pierwszego uchwytne powiązania z Wyrocznią.

– Mam cię, skurwysynu! – powiedział.

Gdyby jego głowa nie zaczęła właśnie boleśnie pulsować, nawet mogłoby mu być żal Błękitnego Diabła.

Indianiec odczekał dwa dni.

Przez ten czas ból zanikł, a porucznik poczynił dyskretne kroki, by upewnić się, czy pięć milionów kredytów jest w drodze. Oczywiście Trzydzieści Dwa tropił je, ale Indianiec był pewien, że okaże się to coraz trudniejsze z każdą kolejną transakcją, aż wreszcie całkiem niemożliwe.

Polecił komputerowi porównać garstkę przybywających ludzi ze znajdującą się w ambasadzie listą przewidywanych gości i nie był zaskoczony, gdy się całkowicie zgodziły. Jeśli Gwizdacz był choćby w połowie tak dobry jak sądzono, dla odnalezienia go trzeba byłoby czegoś więcej, niż komputera ambasady.

Wreszcie, gdy poczuł się całkiem dobrze, wezwał do siebie Broussarda.

– Jak się pan dziś czuje? – spytał młody człowiek wchodząc do pokoju.

– Znacznie lepiej.

– Miło mi to słyszeć.

– Doprawdy? – powiedział z uśmiechem Indianiec. – Na twoim miejscu słysząc to wpadłbym w rozpacz. Zamierzam wykorzystać część czasu, który poświęcasz lekarce.

– To moje zadanie.

– No, pora, abym zaczął pracować nad moim. Przysuń krzesło.

Broussard poszedł w kąt pokoju, wziął krzesło i przystawił je do łóżka.

– Teraz usiądź wygodnie – polecił Indianiec. Broussard posłuchał, uśmiechając się kwaśno.

– Cóż, samo siadanie okazało się łatwe.

– Kto, u diabła, meblował ten lokal? Nikomu nie przyszło do głowy, że coś tak nieciekawego będzie także niewygodne?

– Wielokrotnie sam się nad tym zastanawiałem – przyznał Broussard.

Indiańca to rozśmieszyło, ale po chwili miał już poważną minę.

– Wystarczy tych pogaduszek towarzyskich. Mamy ważniejsze rzeczy do przedyskutowania.

– Wyrocznię? – podsunął Broussard.

– Tak.

– Nim zaczniemy mówić dalej, może przejdziemy do bezpiecznego pokoju?

– Zbędne – stwierdził Indianiec. – Kazałem komputerowi zawiadomić mnie w tej samej chwili, gdy ktokolwiek będzie próbował nas monitorować. – Rzucił Broussardowi mapę. – Obejrzyj to sobie i przekonaj się, czy coś z tego rozumiesz.

Broussard przez pewien czas uważnie studiował mapę, a potem podniósł głowę.

– Rozumiem, że chce pan dotrzeć do zaznaczonego miejsca?

– Zgadza się.

– Pieszko czy pojazdem?

– Jeszcze nie jestem pewien – odpowiedział Indianiec.

– We dnie czy w nocy?

– To nieistotne.

– Owszem, istotne.

– O? Dlaczego?

– Bo w tej chwili temperatura wynosi pięćdziesiąt siedem stopni Celsjusza i nie ma takiego sposobu, aby dotarł pan tam pieszo i wrócił nie uległszy odwodnieniu i zapewne udarowi cieplnemu – stwierdził Broussard. – Może pan czuć się lepiej, ale upłynęły ledwie dwa dni od chwili, gdy przebył pan poważną operację chirurgiczną.

– A jaka będzie temperatura dzisiejszej nocy? – zapytał Indianiec.

– Może ze czterdzieści cztery stopnie Celsjusza, co i tak jest okropne – odrzekł Broussard.

Indianiec skrzywił się.

– Wobec tego przypuszczam, że pojedziemy. – Przerwał. – Cholera, to fatalnie. Twój pojazd bardzo łatwo zidentyfikować.

– Tę dzielnicę zamieszkują prawie wyłącznie Błękitne Diabły – stwierdził Broussard. – Człowiek idący tam pieszo będzie jeszcze bardziej widoczny.

– Czy macie w tamtej okolicy bezpieczny dom?

– Nie przypuszczam. Możemy zapytać komputer. Indianiec potrząsnął głową.

– Daj sobie spokój – powiedział. – Już pytałem. Komputer nie zna żadnego. Myślałem, że może nie otrzymał dostępu do wszystkich danych.

Broussard zrobił zdziwioną minę.

– Ważny program komputerowy, który można stworzyć, może też zostać złamany – wyjaśnił Dwa Pióra.

– Nie ten.

– Podziwiam twoją ufność – odrzekł sucho Indianiec. – Ale znam z pół tuzina ludzi, którzy mogą włamać się do tego komputera w ciągu dwóch godzin.

– Wątpię w to – odrzekł zdecydowanym tonem Broussard. – Jestem pewien, że wątpisz – odrzekł Indianiec, na którym to

nie zrobiło żadnego wrażenia. – Nie po to tu jestem, aby się o coś takiego wyklócać. Chcę tylko wiedzieć, czy jest w pobliżu jakiś bezpieczny dom.

– Wedle mojej najlepszej wiedzy, w Quichancha nie. Zdaje mi się, że na całej planecie mamy cztery, wszystkie w innych miastach. – Broussard poruszył się niespokojnie. – Czy wolno mi spytać, czemu chce pan to wiedzieć?

– Jest w najwyższym stopniu prawdopodobne, że będę musiał pewnemu Błękitnemu Diabłu zrobić bardzo nieprzyjemne rzeczy – wyjaśnił Indianiec. – Wolałbym, by nie działo się to AV budynku pełnym innych Błękitnych Diabłów. Chętnie najpierw zabrałbym go w bezpieczne miejsce.

– Czy wchodzi w grę możliwość morderstwa?

– Jeśli nie powie mi tego, co chcę wiedzieć, to na pewno – oświadczył Indianiec. Przerwał i zamyśli się. – Zresztą nastąpi to w każdym przypadku. Nie chcę, aby zameldował, co wiem, ani by zidentyfikował mnie Wyroczni i nie chcę, by się tu kręcił, gdy pokaże się Gwizdacz.

– Gwizdacz? Kto to taki?

– To tajna informacja. Broussard zachmurzył się.

– Obawiam się, że może pan przysporzyć ambasadzie pewnych problemów. Jeśli zabije pan jakiegoś Błękitnego Diabła, a przyjmuję, że ten właśnie jest w jakiś sposób powiązany z Wyrocznią, tamci dojdą do wniosku, że ambasada poleciła to zrobić, a przynajmniej usankcjonowała wszystko.

– Ambasady po to istnieją, by borykać się z problemami – odpowiedział Indianiec bez cienia niepokoju. – Poradzą sobie.

– Nie wiem – odrzekł z powątpiewaniem Broussard. – Przekonanie Błękitnych Diabłów, że przynajmniej nie wiedzieliśmy z góry o zabójstwie, byłoby skrajnie trudne. Ponadto ja prowadzę pojazd ambasady, a jak pan

sam poprzednio podkreślił, w dzielnicy mieszkalnej takie auto będzie się rzucać w oczy.

– To postaraj się o nie oznakowany wóz.

– Musiałbym złożyć zapotrzebowanie na fundusze, a nawet jeśli zostanie ono zaaprobowane, istnieje wszelkie prawdopodobieństwo, że powiązanie pojazdu z ambasadą może być wykryte.

– Nie chciałbym wyglądać na kogoś niewrażliwego – oświadczył Indianiec – ale doprawdy nic mnie nie obchodzi, ile kłopotów przysporzę ambasadzie. Moje zadanie jest ważniejsze.

– Pan nie rozumie – sprzeciwił się Broussard. – Nawet, gdybym się z panem zgodził, tym bardziej nie należy wplątywać w to ambasad. To po prostu zaalarmowałoby Wyrocznię.

– Samo zabicie Błękitnego Diabła już to spowoduje – zauważył Indianiec. Nagle w jego umyśle zaczęły zarysowywać się plany. – Chyba że...

Zamilkł na chwilę, Broussard zaś czekał cierpliwie, co porucznik powie.

– Myślę, że mam sposób, by ochronić nam tyłki – obwieścił na koniec.

– Pański i mój? – upewnił się zdziwiony Broussard.

– Nie. Mój i ambasady. Czy możesz zdobyć trochę nasion?

– Nasion?

– Nasion alfanelli.

– Są nielegalne na wszystkich planetach Demokracji.

– Pozwól, iż podkreślę, że nie jesteśmy na terenie Demokracji.

– Na Hadesie też są nielegalne.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie – zauważył Indianiec. – Możesz zdobyć trochę nasion?

– Możliwe – odrzekł niechętnie Broussard.

– W samej ambasadzie? Broussard pokręcił głową.

– Nie. Ale w Czerwonym Domu jest taka kobieta...

– Żuje czy sprzedaje?

– Żuje.

– Dobrze – stwierdził Indianiec. – Skonfiskuj jej pół tuzina nasion.

– W jakim celu? – spytał Broussard.

– Nawet jeśli wykryją powiązanie zabójstwa z ambasadą, to gdy zabiję Błękitnego Diabła nie domyśla się, że poluję na Wyrocznię.

– A co z tym wszystkim mają wspólnego nasiona? – nie ustępował Broussard.

– Jeśli załatwię większość mieszkańców budynku i zostawię tam parę na pół przeżutych nasion, ambasada może stwierdzić, że jestem chronicznym narkomanem, w trakcie odlotu. Może wyznaczyć za mnie nagrodę, ogłaszając jakąś fałszywą tożsamość i takiż hologram. To całkowicie ich oczyści z podejrzeń, równocześnie zapewniając mi swobodę ruchów i zarazem pomoże ukryć prawdziwy powód mojego pobytu tutaj, przynajmniej do czasu. – Zamilkł na chwilę. – Będę musiał zrobić to w nocy i pójść tam na piechotę. Przecież nie można pozwolić, by ujrzano, jak pojazd ambasady zawozi szaleńca na miejsce zbrodni. – Indianiec zmarszczył brwi. – Ale i tak potrzebna mi będzie twoja pomoc. Nie potrafię czytać ani mówić w ich języku, a muszę najpierw trafić do mieszkania mojego Błękitnego Diabła, zanim zabiję wszystkich pozostałych. Nie chcę, by uciekł, usłyszawszy jakiegokolwiek hałasy w reszcie budynku.

Broussard długo zastanawiał się nad tym, co usłyszał, wreszcie potrząsnął głową.

– Nie ma możliwości – powiedział. – Ambasada nigdy nie zgodzi się na współdziałanie w takim przedsięwzięciu. Proponuje pan, by wymordować tuziny niewinnych istot jedynie po to, aby zdezorientować Wyrocznię.

Indianiec wzruszył ramionami.

– Przecież to tylko obcy.

– Ambasador zwróciłby panu uwagę, że na tej planecie my jesteśmy obcymi.

– Oszczędź mi banałów – powiedział Indianiec. – Demokracja toczy wojnę z Wyrocznią, a na wojnie czasami dostaje się i cywilom.

– Nic mi nie wiadomo o Wyroczni – przyznał Broussard – ale wiem, że Demokracja nie jest w stanie wojny z Hadesem, a proponowana przez pana akcja może ją wywołać. – Przerwał. – Wiem, w jaki sposób działa biurokracja. Odeślą całą sprawę do decyzji góry, na Deluros VIII, a jeśli nawet ich transmisja nie zostanie podsłuchana, pański Błękitny Diabeł prawdopodobnie umrze ze starości lub choroby, zanim tamci podejmą jakąkolwiek decyzję.

– No to koniec – stwierdził Indianiec. – Bez współdziałania ambasady

nie mogę tego przeprowadzić. Mogę zdobyć nasiona, mogę znaleźć Błękitnego Diabła, na którego poluję, mogę pozabijać dość innych Błękitnych Diabłów, by zdezorientować Wyrocznię. Ale jeśli ambasada nie potwierdzi mojej legendy, obie strony zaczną polować na mój skalp, a ja nie będę się miał gdzie ukryć. – Westchnął głęboko. – Wydaje się, że przejdziemy do Planu B.

– Zabicia tylko tego jednego Błękitnego Diabła? – zainteresował się Broussard.

– Taa – potwierdził Indianiec. Zachmurzył się. – Choć nienawidzę takich rozwiązań. Jeśli umrze tylko on, nie ma sposobu wprowadzenia Wyroczni w błąd. – Przerwał, analizując sytuację. – A jeśli on nie będzie mówił, to ja wyeliminuję jedyne ogniwo łączące mnie z Wyrocznią. – Potrząsnął głową z niezadowolaniem. – Gdybyż tylko oni wszyscy nie byli tak do siebie podobni.

– Czy wolałby pan go śledzić? – zapytał Broussard.

– Tak. – Indianiec spojrzał na Broussarda. – Co masz na myśli?

– Może być na to sposób.

– Taa? – zapytał Indianiec. – Gdybyś potrafił jakiś wymyślić, uczyniłbyś moje życie dużo łatwiejszym.

– Nie sądzę – odrzekł poważnie Broussard.

Gdy Indianiec wysiadł z nie oświetlonego pojazdu o pół mili od swego miejsca przeznaczenia, Przystań Marrakesz, Przystań Samarkanda i Przystań Maracaibo stały wysoko na nocnym niebie. – Bliżej nie mogę już podjechać bez zwracania uwagi – rzekł Broussard. – Zaczekam tu na pana.

Indianiec kiwnął z roztargnieniem głową, próbując zorientować się w terenie. Nagle poszerzające się, to zwężające, a zawsze wijące się ulice, oglądane gołym okiem wydawały się zupełnie inne, niż na planie miasta. Od razu poczuł się lekko zagubiony.

W kieszeni munduru miał małą latarkę na baterie litowe, więc pierwszym jego odruchem było wyciągnąć mapę i skontrolować, gdzie się znajduje. Ale człowiek z mapą w ręku wyglądałby tu podejrzanie, światło zaś mogło tylko obwieścić jego obecność wszem wobec.

Postanowił zejść pod ziemię i dostać się na miejsce kanałami ściekowymi. Ale nie miał planu i niezbyt mu się uśmiechało szukanie drogi po omacku i bez punktów orientacyjnych. Wobec tego, trzymając się tak blisko dziwacznych budynków jak zdołał, ruszył powoli i cicho w niewiarygodnie upalną noc. Wilgotność była minimalna, ale wskutek gorąca, wysiłku fizycznego i napięcia, skórę i ubranie już miał mokre od potu, nim przebył sto jardów.

Szybko zbliżał się do bardzo ostrego zakrętu, gdy nagle usłyszał gdzieś przed sobą obce głosy. Odwrócił się, szukając wzrokiem samochodu, ale ten już zniknął w ciemnościach.

Głosy stały się wyraźniejsze i głośniejsze. Ocenił, że dochodzą z odległości jakichś trzydziestu jardów od rogu. Zdecydował dać nura do bramy najbliższego budynku i odczekać, póki go nie miną, ale wówczas odkrył, że nie ma żadnej bramy. Cofnął się parę kroków, znalazł niewielką niszę między budynkami i skoczył do niej. Potem przykucnął i czekał.

Zza rogu ukazało się pięć Błękitnych Diabłów. Jeden z nich mówił wyjątkowo wysokim głosem, ale Indiańcowi wydawali się wszyscy jednakowi. Cztery nosiły trójkąty, które widział pierwszego dnia pobytu w Quichancha, cała zaś piątka miała torsy owinięte czymś, co wyglądało jak stęły z metalicznego włókna.

Gdy znalazły się naprzeciw jego kryjówki, dwa z nich zaczęły zachowywać się tak, jakby się sprzeczały i nagle cała piątka zatrzymała się. Głosy stały się piskliwe, postawy agresywne, a wszystkie, stojąc w miejscu, dziko gestykulowały.

Po kilku minutach Indianiec poczuł kurcze w mięśniach łydek i ud. Było mu straszliwie niewygodnie, nogi bolały go, pot spływał po ciele, lecz nie ośmielił się poruszyć, dopóki kosmici tam byli. Źle by się stało, gdyby go zauważono, jak spaceruje po tej części miasta, ale byłoby znacznie gorzej, gdyby zauważono, że się skrada.

Wreszcie nie mógł już wytrzymać bólu, więc ostrożnie wychylił się do przodu, przyjął pozycję biegacza w blokach startowych i kolejno wyprostował nogi. A po chwili zmienił pozycję na kłęczącą.

Błękitne Diabły nadal się wyklócały, ale w chwilę później jeden z nich zrobił gest, którego znaczenia Indianiec nie rozumiał, i dwa dumnie odeszły w ciemność. Pozostałe trzy rozmawiały ze sobą jeszcze przez minutę, a potem ruszyły w stronę, w którą szły poprzednio.

Indianiec odczekał prawie trzy minuty, co wystarczyło dla upewnienia się, że żaden z nich nie wraca, a potem ostrożnie wyprostował się, wysunął głowę z kryjówki, rozejrzał się i szybko poszedł na róg.

Zgodnie z tym, co pokazywał plan, ulica zakręcała o 160 stopni i równocześnie zwężała się tak, że miała mniej niż dziesięć stóp szerokości. Kiedy zwężała się dalej, Indianiec szedł przed siebie i odczuwał coraz silniejszą klaustrofobię. Przebywszy dalsze pięćdziesiąt jardów musiał już posuwać się bokiem, wspierając się plecami o ścianę, aby precyzyjnie się między budynkami, stojącymi po przeciwnych stronach ulicy.

A potem nagle znów się poszerzyła, jeden krok wystarczył i z uliczki tak wąskiej, że zdawała się korytarzem, wyszedł na arterię tak szeroką, że przez chwilę zdawało mu się, iż źle skręcił i znalazł się na placu miejskim.

Nie było tu żadnego sztucznego oświetlenia, ale trzy księżycy nad głową i tak wystarczyły, dając tak jasne światło, że można by przy nim czytać. Indianiec zdał sobie sprawę, że ma do przejścia prawie trzysta jardów do następnego przewężenia ulicy. Trzysta jardów pustej przestrzeni bez zaparkowanych pojazdów, słupów latarni ulicznych, ławek, rozdrabniaczy śmieci; nie było niczego, za czym można by się ukryć, on zaś będzie tu jedyną żywą, poruszającą się istotą.

Stwierdził, że nie ma szans, aby nie zauważony przebył owe trzy setki

jardów, więc zatrzymał się w poszukiwaniu jakiejś mniej eksponowanej trasy. Najpierw przyszło mu na myśl, aby przeskoczyć po dachach domów, ale budynki były zupełnie niepodobne zarówno pod względem wysokości, jak i struktury. Kanały ściekowe też nie wchodziły w grę: nawet gdyby miał plan, nie dostrzegł jak dotąd żadnego wjazdu, nie wiedział także, gdzie ich szukać.

Wreszcie zdecydował, że nie ma wyboru. Musi pokonać ten dystans tak szybko i cicho jak zdoła. Ruszył trzymając się jak najbliżej budynków po lewej stronie. Gdy przebył nieco ponad połowę odległości, ujrzał Błękitnego Diabła, patrzącego na niego z okna na trzecim czy czwartym piętrze.

Opanowawszy chęć pobiegnięcia, podniósł głowę, zsalutował i poszedł dalej. Spodziewał się krzyków oburzenia, syren alarmowych, zbliżających się kroków lub czegokolwiek. Ale nie zdarzyło się nic i po dziewięćdziesięciu sekundach skręcił za kolejny róg i znalazł się na ulicy, która dla odmiany nie wydawała się ani zbyt szeroka, ani zbyt wąska.

Ujrawszy dwa Błękitne Diabły, schował się do głębokiego cienia i tam czekał bez ruchu, aż go miną, ale one weszły do niedużego budynku obok, Indianiec zaś ruszył dalej. Po chwili dostrzegł jeszcze jedną parę Błękitnych Diabłów i znów musiał skryć się w ciemnościach.

Z jakiegoś powodu ten odcinek ulicy był o wiele ruchliwszy od poprzednich, ale na szczęście mógł się skryć w cieniu budynków. Jeszcze pięć razy musiał dawać nura w ciemność, nim przebył ostatnie dwieście jardów do miejsca przeznaczenia. W końcu jednak dotarł do budynku, którego poszukiwał.

I nie mógł znaleźć w nim drzwi.

Zakławszy szeptem zaczął obchodzić wkoło budowlę, szukając jakiegoś sposobu dostania się do środka. Wreszcie dostrzegł odmiennie zabarwiony segment ściany i na próbę naparł na niego.

Ani drgnęła.

Nacisnął mocniej, bez rezultatu. Wreszcie cofnął się o parę stóp i pomachał ręką w nadziei, że jakiś ukryty skaner zareaguje na ruch. Nadal nic.

Raz jeszcze obszedł budynek i powrócił do odmiennie zabarwionego segmentu, przekonany, że jest to wejście. Zatrzymał się o kilka stóp od niego, próbując ustalić, jak uruchamia się mechanizm zamykający, który

nie reagował na siłę ani na ruch. Zaryzykował włączenie na sekundę latarki kieszonkowej. Stwierdził, że nie ma przycisków, brzęczyków, dzwonek ani zamków komputerowych.

Następnie rozejrzał się po ziemi w nadziei znalezienia jakiegoś mechanizmu, ale również nie dostrzegł niczego.

Vrief Domo mieszkał na trzeciej kondygnacji. Indianiec podniósł głowę, zastanawiając się, czy zdoła się wspiąć po fasadzie budynku i uznał, że nie potrafi.

Następne pięć minut spędził na rozmyślaniu, jak dostać się do wnętrza, ale nie umiał znaleźć odpowiedzi. W końcu oparł się o ścianę obok odmiennie zabarwionej części, czując zupełne wyczerpanie umysłowe... i prawie zwałił się na plecy, gdy czterostopowej szerokości odcinek ściany wsunął się do części budynku innego koloru.

Szybko rozejrzał się wokół, zanim ściana zasunęła się z powrotem i wskoczył do środka, w całkowitą ciemność, gdzie znalazł wąskie schody. Zapalił latarkę tylko na tyle, by zanotować w pamięci wysokość schodków, a potem powoli, ostrożnie zaczął iść w górę. Po przejściu czterestu schodków znalazł się na podeście, znów na moment błysnął światłem latarki i przekonał się, że klatka schodowa kończy się na drugiej kondygnacji.

Zdecydowawszy, że nienawidzi budowli kosmitów jeszcze bardziej, niż samego Trzydzieści Dwa, stanął nieruchomo, próbując dociec, co się dzieje. O ile mógł się zorientować, do budynku prowadziły tylko jedne drzwi, te właśnie, które mimowolnie uruchomił. Jeśli tak, to z parteru prowadzi w górę tylko jedna klatka schodowa. Wobec tego każdy mieszkaniec wyższych kondygnacji musi znaleźć się w tym miejscu, zanim podąży dalej. Co zatem robić?

Znów zapalił latarkę i uważniej zbadał podest. Było tam czworo drzwi, bardziej podobnych do zwykłych drzwi niż wejście na dole. Na trzech widniały różne znaki; czwarte były całkowicie gładkie.

Zrozumiawszy, że na tej kondygnacji może znajdować się tylko jeden apartament i trzy klatki schodowe do góry, skierował się do drzwi bez znaków. Gdy się do nich zbliżył, uniósł się w górę, ukazując kolejną, wąską klatkę schodową. Postanowił nie gasić światła. Nawet gdyby tu mijali kogoś w ciemności, to i tak nie dałoby się ukryć faktu, że jest człowiekiem.

Gdy dotarł do następnego podestu, po drodze raczej z irytacją niż zaskoczeniem stwierdził, że przebył trzydzieści jeden stopni, znalazł się przed pięciorgiem drzwi, cztery były ze znakami i piąte gładkie.

Teraz znów wyciągnął plan miasta, odwrócił na drugą stronę i popatrzył na narysowane tam przez Broussarda symbole.

Łezka oznaczała miejsce zamieszkania wspólnoty czy grupy rodzinnej młodych Błękitnych Diabłów, dość dorosłych, by opuścić dom rodzinny, lecz nadal związanych jakimś zwyczajem społecznym, przekraczającym zrozumienie ludzi-psychologów. To eliminowało drzwi z lewej strony; Vrief Domo był dorosłym Błękitnym Diabłem, zajmującym odpowiedzialne stanowisko rządowe.

Oświetlił kolejne drzwi. Było na nich siedem symboli, których nie rozumiał, i jeden opisany przez Broussarda. Wyglądał jak złamany sztylet albo bardzo skręcona laska. Broussard nie wyjaśnił jego znaczenia, lecz powiedział, że z przyczyn zbyt tajemniczych, by się nad nimi rozwodzić, nie znajdzie go na drzwiach Vriefa Domo.

To pozostawiało dwoje drzwi z prawej. Na każdym był symbol, przypominający księżyc w pierwszej kwadrze, co wedle Broussarda oznaczało urzędnika państwowego.

Indianiec ledwie oparł się chęci rzucenia przekleństwa. Dwóch urzędników państwowych! Jak, u diabła, miał dowiedzieć się, którego z nich poszukuje? Przecież oni wyglądali jednakowo, mieli jednakowe głosy, ubierali się jednakowo, a jeśli wybierze niewłaściwego, do chwili odkrycia swego błędu straci tyle czasu, że Gwizdacz wyprzedzi go i nigdy nie da się dogonić.

Myśl, Czerwonoskóry – powiedział sam do siebie. – Myśl!

Przestudiował obie serie symboli, próbując znaleźć coś, cokolwiek, odpowiadającego innym symbolom, które według Broussarda mogły się znajdować na drzwiach Vriefa Domo. Nie było żadnych.

Spróbujmy od innego końca, zdecydował.

Miał listę jedenastu symboli, które z pewnością nie mogły znajdować się na drzwiach poszukiwanego Błękitnego Diabła. Na drugich drzwiach na prawo nie było żadnego z nich.

Przesunął promień światła na drzwi z prawej, uważnie badając każdy symbol, aż nagle znalazł: przechylony trapezoid z dwoma kątami prostymi, oznaczający wojskowego. Oba Błękitne Diabły były zatrudnione przez rząd,

ale Vrief Domo był urzędnikiem skrupulatnie cywilnej.

Teraz Indianiec skupił uwagę na drugich drzwiach na prawo, drzwiach Vriefa Domo. Spodziewał się, że co najmniej godzinę zajmie mu rozszyfrowanie komputerowego zamka, ale zamiast niego znalazł dużą dziurkę od klucza, tak wielką, że mógł wsadzić cały palec do środka. Odsunięcie rygla zajęło mu mniej niż trzydzieści sekund i już był w apartamencie Błękitnego Diabła. Spięty, nasłuchiwał, czy jego zwierzyna się nie obudzi.

Prawie minutę stał bez ruchu. Przez jedyne okno wpływało do środka światło księżycowe, a prawe oko Indianca stopniowo przyzwyczajało się do półcienia. Początkowo nie zdjął przepaski z lewego oka, gdyż nie chciał, aby Trzydzieści Dwa miał jakiegokolwiek pojęcie o tym, co on teraz robi. Ale potrzebował widzenia trójwymiarowego, więc włożył przepaskę do kieszeni.

Zrobił krok do wnętrza pokoju, potem następny, cały czas szukając Błękitnego Diabła. Starannie obejrzał meble, zarówno te funkcjonalne, jak i te, których przeznaczenie było dla niego niezrozumiałe, ale nie znalazł tego, co chciał.

Pokój miał troje drzwi, nie licząc tych, którymi Indianiec wszedł. Z prawej strony zaleciał go smród gnijącego mięsa, wiedział więc, że musi tam być kuchnia. Szybko wszedł do niej, chciał posłużyć się latarką, gdy tylko stwierdził, że pomieszczenie jest puste, ale doszedł do wniosku, że będzie mu zbyt trudno ponownie zaadaptować się do ciemności, kiedy stamtąd wyjdzie.

Kuchnia była mała, pełna gadżetów, jakich nigdy w życiu nie widział i urządzona w sposób, który według niego nie miał najmniejszego sensu. Na kontuarze, umieszczonym nie wyżej niż osiemnaście cali nad podłogą, leżał wielki kawał mięsa. Fotele stały odwrócone przodem do ściany, sterta przypraw leżała gdzieś w kącie. Dostrzegł też coś wyglądającego jak zlew z siedmioma kurkami, ale nie było tu nic choćby odległe przypominającego kuchenkę czy chłodziarkę. Do ściany pod dziwacznym kątem przymocowano jakąś tabelę. Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, ale nie chciało mu się nawet domyślać, czy to kalendarz, przepis kuchenny, czy coś zupełnie innego.

Wreszcie wrócił do pierwszego pomieszczenia, próbując zorientować się, które z dwojga pozostałych drzwi prowadzi do sypialni Vriefa Domo.

Stał niezdedyceowany prawie przez minutę. A potem usłyszał bulgotanie wody płynącej w rurze na lewo od niego i natychmiast skierował się do lewych drzwi.

Znalazł się w obszernym pomieszczeniu i tym razem nie miał innego wyboru, jak posłużyć się latarką, gdyż nie było tam okien, a pokój zbudowano pod takim kątem, że nawet przez szparę żaden promień światła księżycowego nie mógł przeniknąć. Teraz, widząc już wyraźnie, wyciągnął z kieszeni przepaskę i umieścił ją na lewym oku, uniemożliwiając Trzydzieści Dwa monitorowanie swych czynności.

Ściany zbudowano z przepięknego drewna o słojach w różnych odcieniach brązu i złota, a każdy panel wykonany był z maestrią. Podłogę przykrywał ręcznie tkany dywan; najpierw Indianiec pomyślał, że włókna są metalowe, ale zaraz przekonał się, że jest to cienko uprzedzony jedwab. W powietrzu unosił się silny zapach chemikaliów. W łazience stały cztery duże, ręcznie malowane ceramiczne misy, każda z odpływem na dnie i złożonymi rurami, nikielowymi w ścianach. Nie potrafił określić, która z mis jest zlewem, która ubikacją, która zaś służyła jako natrysk. Nie miał też najmniejszego pojęcia, do czego miałyby służyć czwarta, ale fakt, że była to łazienka Błękitnego Diabła nie ulegał wątpliwości. Na ścianach umocowano sześć sztuk dziwacznej armatury z połyskliwego metalu, który okazał się ręcznie polerowanym stopem, nieco podobnym z wyglądu do cyny.

Chłopy, bierzecie swe ablucje bardzo serio, to muszę wam przyznać, pomyślał kwaśno.

Pod jedną ze ścian stały rzędem małe, porcelanowe pudełka. Ukląkł, wziął latarkę w zęby i zaczął je po kolei otwierać.

To, czego szukał, znalazł w trzecim z kolei: duży trójkąt, taki, jakie nosiły Błękitne Diabły na ulicach.

Sięgnął do drugiej kieszeni i wyciągnął małą fiolkę, dostarczoną mu przez Broussarda, otworzył i rozłożywszy czystą ściereczkę zwilżył ją, a potem starannie natarł nią powierzchnię trójkąta. Odczekał chwilę aż płyn wyschnie, następnie włożył trójkąt na miejsce w pudełku, podszedł do drzwi i zgasił latarkę.

Czekał prawie dwie pełne minuty, nim jego oczy przystosowały się do przenikającego tu światła księżycowego, a potem, czując ogromną ulgę, że nie będzie musiał wchodzić do sypialni Błękitnego Diabła, ostrożnie

przeszedł przez główny pokój apartamentu i cicho otworzył drzwi, zasuwając je za sobą. Sięgnął do ogromnej dziurki od klucza i ustawił rygiel z powrotem na miejscu.

Bez trudności odnalazł drogę powrotną na parter i w chwilę później znalazł się na ulicy, przeskakując od cienia do cienia, tuląc się do ścian.

Broussard czekał na niego, wsiadł więc do pojazdu z ogromnym uczuciem ulgi.

– Udało się? – zapytał Broussard.

– Taa – odparł Indianiec. – Wolalbym, abys miał rację w tej sprawie.

– Mam – odparł z przekonaniem Broussard. – W tym roztworze znajdują się mikroskopijne cząsteczki rzadkiego izotopu uranu; niektóre z nich musiały przylgnąć do trójkąta. Promieniowanie nie zaszkodzi mu w żaden trwały sposób, ale za pomocą przyrządów, które mamy w ambasadzie, będziemy w stanie tropić go wszędzie. – Przerwał. – Poczekamy, aż odbierze w kosmoporcie następną przesyłkę żywności dla ludzi, a potem pojedziemy za nim prosto do Wyroczni.

– To mi się podoba – stwierdził Indianiec. – A teraz wynośmy się stąd do wszystkich diabłów.

– Tak jest – odrzekł Broussard, ruszając pełnym gazem wzdłuż wariacko wijącej się ulicy.

– Spokojnie – upomniał go Indianiec. – Nie po to ryzykowałem tam życie, by je stracić w cholernym wypadku drogowym.

– Przepraszam, wydaje mi się, że jestem odrobinę podniecony. – Broussard przerwał. – I myślę, że w tej chwili ma pan w krwiobiegu czystą adrenalinę.

– To był zaledwie pierwszy krok. Następny może być trudniejszy.

– Tropienie Błękitnego Diabła? Bez problemów.

– Problem pojawi się, gdy skończymy go tropić – powiedział Indianiec i nagle jego triumfalne uniesienie przygasło, gdy zaczął się zastanawiać, co właściwie robi, gdy odnajdzie Wyrocznię. Salonowe sztuczki magiczne, jak ta, którą zademonstrował dzisiejszej nocy, z pewnością jej nie zmylą. Zdał więc sobie sprawę, że najwyższy czas poważnie zastanowić się nad tym, co właściwie pozwoli mu zbliżyć się do niej na tyle, by mógł wykonać zadanie.

W końcu, gdy się odprężył, pojawił się załazek planu.

Indianiec przez cztery dni tkwił pod strefą towarową kosmoportu.

Wreszcie piątego ranka pokazał się Vrief Domo. – Jest tu – zawiadomił Broussard, wskazując błyskający wskaźnik na siatce tablicy sterowniczej. – Najwyższy cholerny czas – stwierdził Indianiec, pochylając się z tylnego siedzenia pojazdu, by widzieć mrugające światelko. – Zaczynałem myśleć, że Wyrocznia ogłosiła strajk głodowy.

– Zbliża się do portu towarowego.

– Ile czasu zabierze nam stwierdzenie, co odebrał?

– Jesteśmy podłączeni do komputera ambasady, ten zaś monitoruje wykazy ładunkowe kosmoportu. Myślę, że otrzymamy potwierdzenie, zanim tamten przejdzie przez bramę.

– Bądź jednak gotów do szybkiego ruchu – ostrzegł Indianiec.

Broussard skinął milcząco głową i skupił uwagę na tablicy.

– Okay – zawiadomił, gdy upłynęły dalsze dwie minuty. – Podjął przesyłkę i jest w drodze do wyjścia.

– Jedź za nim.

– Komputer ambasady jeszcze nie sprawdził, czy to żywność. Może mieć przy sobie prawie wszystko.

– Tak czy tak jedź za nim – polecił Indianiec. – Jeśli opuści teren kosmoportu, nie ma potrzeby, abyśmy tu tkwili. A jeśli ma żywność dla Wyroczni, nie chcę go zgubić. Niech nas wyprzedzi o kilometr.

– Nie ośmieliłbym się – odrzekł Broussard. – Biorąc pod uwagę, jak wiją się te ulice, to może mu dać dziesięciominutowe wyprzedzenie.

– Co z tego?

– Jeśli Wyrocznia nie znajduje się w Quichancha, a on opuści miasto na dziesięć minut przed nami, znajdzie się tak daleko w przodzie, że stracimy jego sygnał.

– Zgoda – zgodził się Indianiec. – Ale trzymaj się dość daleko w tyle, by nie mógł nas zauważyć. Jeśli pomyśli, że go śledzimy, może nas wodzić po całej tej przekłętej planecie albo nawet wciągnąć prosto w pułapkę.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy – odrzekł Broussard, wprowadzając wóz w gęsty strumień pojazdów pod kosmoportem i nie spuszczać oka z ekranu. Błysnęło drugie światelko. – Komputer właśnie

to potworzył – oznajmił z podnieceniem Broussard. – To jest transport żywności dla człowieka.

Indianiec nie odezwał się, Broussard zaś skupił całą uwagę na ekranie, by mieć pewność, że nie straci tropu pojazdu Vriefa Domo.

Błękitny Diabeł nie spieszył się szczególnie. Przejechał przez dzielnicę mieszkalną, a potem skręcił na południe.

– Ma się z nią zaraz spotkać – orzekł Indianiec, gdy miasto w zaskakująco nagły sposób skończyło się i znaleźli się na rozległej płaszczyźnie czerwonej pustyni, której planeta zawdzięczała swą nazwę.

– On może jechać gdziekolwiek – odpowiedział Broussard, wpatrując się w wąską drogę, która wydawała się zupełnie nie na miejscu wśród czerwonego piasku.

– Nie. Ma się z nią spotkać – powtórzył.

– Skąd pan wie?

– Wiemy, że ona nie mieszka w mieście i wiemy, że on wiezie dla niej żywność. – Indianiec przerwał. – Mam nadzieję, że masz więcej paliwa, niż on. Nie zniósłbym myśli o zgubieniu go tu, w terenie. A jeszcze bardziej nie zniósłbym myśli o upieczeniu się na śmierć w tym cholernym wozie. Na zewnątrz musi być sześćdziesiąt stopni Celsjusza.

– Nie ma problemu – odrzekł Broussard. – Ten pojazd posiada pomocniczy zespół napędowy na baterie słoneczne. Jedynym miejscem, w którym nie możemy wpaść w kłopoty, jest pustynia.

– On niedługo znajdzie się na pustyni.

– O? – powiedział z powątpiewaniem Broussard.

– Gdyby kierował się do następnego miasta, praktyczniej byłoby przesłać żywność środkami transportu publicznego. To musi być gdzieś blisko... I nie na pustyni, bo każda budowla wzniesiona tutaj rzucałaby się w oczy z daleka. – Wskazał grupę skał o kilka kilometrów na południowy wschód. – Domyślam się, że on jedzie tam.

– To, co pan mówi, wygląda rozsądnie – przyznał Broussard. – Ale...

– Ale uważasz, że to zbyt szczęśliwy traf?

– Szczerze mówiąc, tak.

– Im coś jest prostsze, tym mniej zawodne. Odnosi się to zarówno do maszyn, jak i kryjówek – uśmiechnął się Indianiec.

– To pan jest tu specjalistą – wzruszył ramionami Broussard. Indianiec znów pochylił się do przodu, sprawdzając na ekraniku mrugające

światelko, a potem łagodnie położył rękę na Broussarda.

– Zatrzymaj się.

– Przecież go zgubimy. Wyprzedza nas już o osiem albo dziewięć mil.

– Wierz mi, on zatrzyma się przy tych skałach przed nami – stwierdził Indianiec. – Ale zaczynamy podnosić chmurę pyłu, a ja nie chcę, by on to zobaczył.

– Tak jest – powiedział Broussard, niechętnie zwalniając, a potem zatrzymując pojazd.

– Zjedź z drogi.

– Nie ośmieliłbym się. Utoniemy w piasku. – Jest aż tak miękki?

– I tak głęboki.

– Dziwię się, w jaki w ogóle sposób udało im się uchronić samą drogę przed zasypaniem? – spytał zaciekawiony Indianiec.

– Nie mam nawet najbledszego pojęcia. – Broussard wyciągnął dwa małe cygara i poczęstował jednym Indianca. – Zapali pan?

– Obrzydliwe przyzwyczajenie.

– Więc wolałby pan, abym nie palił? – zapytał Broussard.

– To twoja sprawa. Zdaje mi się, że każdy ma prawo przynajmniej do jednej słabości.

Broussard długo spoglądał na cygaretki, a potem westchnął i włożył je z powrotem do kieszeni munduru. – Jak długo zamierza pan tu pozostawać?

– O ile nas teraz wyprzedza? Broussard sprawdził na ekranie.

– Około dwunastu kilometrów.

– Myślę, że możemy już znowu ruszać – stwierdził Indianiec, gdy rozwiała się ostatnia chmura kurzu. – Ale zatrzymaj się, jeśli będziemy podnosić zbyt wiele pyłu. Nawet jeśli zginie nam z ekranu, dogonimy go przy leżących przed nami skałach.

Pojazd ruszył, a gdy znaleźli się o sześć kilometrów od grupy skał, Broussard zawiadomił, że pojazd Vriefa Domo zatrzymał się.

– Tak, jak pan powiedział, jest gdzieś na tym polu skalnym.

– Muszą tam być ukryte budynki – orzekł Indianiec. – Czy ten twój ekran jest dość dobry, by nam powiedzieć, do którego wchodzi?

– Oczywiście – odrzekł Broussard. – Mogę najdokładniej określić jego miejsce, gdziekolwiek pan zechce.

Indianiec zastanowił się, a potem potrząsnął głową.

– To nie wystarczy. Jeśli to jest jej kwatery, budynków może być z pół tuzina, a Domo może mieć sprawy do załatwienia w trzech albo czterech z nich. Muszę wiedzieć, gdzie zostawi żywność. – Przerwał. – Czy ta droga biegnie wśród skał, czy wokół nich?

– Dookoła.

– Czy możesz mi powiedzieć, czy wśród skał jest więcej, niż jeden budynek?

– Szczerze mówiąc, nie wiedziałem, że tu są jakiekolwiek budynki.

– Fatalnie – westchnął Indianiec. – Zdaje mi się, że będziemy się tu musieli bardzo wysilić.

– Bardzo wysilić?

– Dowieź mnie tak blisko skał, jak możesz i wypuść. Muszę przekonać się, czy jest tam więcej niż jeden budynek, a jeśli tak, wykombinować, w którym z nich znajduje się Wyrocznia.

– To nie będzie wymagało aż takiego wysiłku jak pan sądzi – powiedział Broussard. – Ekran można odczepić od deski sterowniczej. Może go pan zabrać ze sobą.

– Mam to nosić po nierównym terenie, w tym piekielnym upale, a najlepiej chroniona osoba na tej planecie ma mnie nie zauważyć? I ty myślisz, że to nie będzie wymagało wysiłku? – powiedział kwaśnym tonem Indianiec.

– Ja tylko miałem na myśli, że...

– Nie ma sprawy, nie ma sprawy – odrzekł Indianiec. – Tylko dowieź mnie do skraju skał.

– Mają ze trzy kilometry od krańca do krańca – zauważył Broussard, gdy zbliżyli się do skupiska skał. – A potem znów zaczyna się pustynia. Czy mam zaczekać na pana tutaj, czy po przeciwnej stronie?

– Tutaj. Nie sądzę, by już nas zauważono. Po co ryzykować?

– Prawdę mówiąc – odrzekł z namysłem Broussard – nie sądzę, by miało to rzeczywiście znaczenie, gdzie na pana zaczekam. Jeśli Wyrocznia ma dar prekognicji, jak większość personelu ambasady zdaje się wierzyć, to już wie, że jest pan tutaj, by ją zlikwidować.

– Nie, nie wie – stwierdził z pewnością siebie Indianiec. – Ale...

– Nie może przewidzieć tego, co się w ogóle nie zdarzy, a ja nie mam zamiaru dzisiaj przed nią stanąć. – Popatrzył na Broussarda.

– Nie wyglądasz na przekonanego.

– Czy spotkasz się pan z nią dzisiaj, jutro lub w następnym tygodniu, rezultat powowy będzie taki sam: w jakiejś określonej przyszłości chce pan jej wyrządzić krzywdę. Czemu więc nie miałyby pozbyć się pana teraz, nim pan jej zagrozi?

– Jej władza musi mieć jakąś granicę – odrzekł Indianiec. – Sam fakt, że dotąd żyję, dowodzi, że jeszcze jej nie przekroczyliśmy.

– Ona może po prostu czekać, aż zbliży się pan do niej pieszo – nie ustępował Broussard.

– Być może – zgodził się Indianiec. – Ale nie jestem tego zdania – zastrzegł. – Gdyby planowanie, że sieją zabije wystarczyło, by wywołać reakcję, mogła mnie zabić lub spowodować, by mnie zabito wiele razy od chwili, gdy wyładowałem. Mam przecucie, że ona nie potrafi przewidzieć niczego poza bezpośrednim, fizycznym zagrożeniem dla siebie albo tak ufa swym możliwościom, że nie obawia się, póki niebezpieczeństwo jest odległe. W każdym wypadku – dokończył z krzywym uśmiechem – muszę dokładnie określić, gdzie ona się znajduje, nim stanę się dla niej groźny.

– W jaki sposób można podejść do kogoś, kto potrafi widzieć przyszłość?

– Gdy nadejdzie na to czas, pierwszy się dowiesz – uśmiechnął się Indianiec.

– Zdaje się, że jest pan strasznie pewny siebie – zauważył Broussard. – To jest mój zawód, a ja jestem w nim cholernie dobry. – Indianiec wyjrzał przez okno. – Teraz zacznij zwalniać, a potem zatrzymaj się za tą wielką skałą z prawej strony.

Broussard wykonał polecenie.

– Dobrze – powiedział Indianiec odczepiając ekran i wysiadając na słoneczny żar z niezadowoloną miną. Zrobił na próbę parę kroków poza drogą, a potem odwrócił się do Broussarda. – Ziemia jest tu o wiele twardsza. Zjedź z drogi i zatrzymaj się przy skałę. Jeśli ktokolwiek nadjedzie, ominie cię i nie pomyśli nawet, że tu jesteś.

Broussard kiwnął głową i ostrożnie zjechał z drogi. Indianiec zaczął wspinać się na skałę. Nie zauważył nic niezwykłego, ale spojrzał na ekran i stwierdził, że miejsce pobytu Vriefa Domo nie zmieniło się w jakiś szczególny sposób w ciągu ostatnich kilku minut. Z czego wynikało, że coś musi się kryć wśród skał i groźnie wyglądających głazów.

Przeszedł prawie pół mili, trzymając się z dala od drogi i kryjąc między tysiącami kamieni, póki wreszcie nie zobaczył pierwszego budynku. Podobny był do purpurowej szklanej piramidy o boku jakichś dwudziestu stóp. Gdy zauważył, że pozbawiony jest zarówno okien, jak i widocznego wejścia, bardziej go to zirykowało niż zaskoczyło. Znowu spojrzął na ekran i stwierdził, że nadal znajduje się o pół mili od Vriefa Domo.

Ciągle zbliżał się powoli i ostrożnie, aż wreszcie dotarł do celu. Nie musiał sprawdzać na ekranie ani szukać pojazdu Vriefa Domo, by to wiedzieć. Usadowiony w małym zagłębieniu pod potężną skałą stał budynek. Lepiej byłoby go określić mianem pałacu, a może fortecy, jeśli nie liczyć, że oba te słowa wydawały się nieodpowiednie. Rozciągał się na powierzchni równej jednemu kwartałowi ulic w Quichancha.

Konstrukcja była nieregularna i wieloboczna. Ściany wznosiły się do kolosalnej wysokości, a potem odchyłały z powrotem w dół bez żadnej widocznej przyczyny. Dach był galimatiasem kolorowego kwarcu i błyszczącego metalu, który zdawał się połyskiwać wszystkimi kolorami widma słonecznego. Wewnętrzna droga z nawierzchnią z jakiegoś niewiarygodnie twardego plastiku, który nie wykazywał żadnych objawów topienia się od gorąca, prowadziła do potężnych trójkątnych wrót, które, jak przypuszczał Indianiec, były wejściem do garażu dla licznych pojazdów. Tu i tam rozrzucono artefakty wyglądające na fontanny, ale w żadnej z nich nie było wody; nie miał więc pojęcia, jakie mogły spełniać funkcje.

Budynek wspaniale zakamuflowano: nie można było dostrzec go z góry pomiędzy skałami i zagłębieniem, a ogromny szereg gładów ustawiono tak, że osłaniał rezydencję przed spojrzzeniami przejeżdżających drogą. Tylko w jednym miejscu kierowca mógł skrócić z drogi i prześlizgnąć się pomiędzy dwoma gładami na plastikową nawierzchnię.

Po terenie wóczyło się wzdłuż skomplikowanych tras pół tuzina Błękitnych Diabłów. Nie było widać, by posiadały jakiegokolwiek uzbrojenie, więc Indianiec nie potrafił określić, czy są to strażnicy, mieszkańcy potężnego budynku, czy też po prostu istoty wykonujące zadania tak obce człowiekowi, że nie można było ich nawet w przybliżeniu pojąć.

Ekran zaczął szaleć, więc z obawy, że może on nie tylko błyskać, lecz zacząć piszczeć, Indianiec szybko go wyłączył. Ciągle miał przepaskę na oku; bardzo chciało mu się ją zdjąć, by dokładniej obejrzeć budowlę i jej

otoczenie, ale obawiał się, że Trzydzieści Dwa zarejestruje obraz i wezwie jakiegoś eksperta dla identyfikacji formacji skalnych w tym właśnie miejscu. A nie po to zadał sobie tyle trudu, by odnaleźć kryjówkę Wyroczeni, żeby wszystkie informacje po prostu nadać do Trzydzieści Dwa i całego jego departamentu.

Przykucnął w cieniu dużego nawisu skalnego i następne dziesięć minut spędził na studiowaniu topografii tego miejsca i zdejmowaniu hologramów maleńką kamerą, którą w tym celu zabrał. Gdy wreszcie poczuł, że zaczyna się odwadniać od gorąca, ostrożnie wycofał się, ciągle unikając drogi, aż wreszcie dotarł do miejsca, w którym Broussard ukrył swój pojazd.

– Boże, jakież tam upały! – wydyszał, opierając się o tapicerkę i rozkoszując klimatyzowanym powietrzem wozu.

– Ludzie nie zostali stworzeni do życia w takim upale – zgodził się Broussard. – Czasami zdaje mi się, że przy takiej pogodzie nawet Błękitne Diabły czują się nieswojo. – Przerwał. – Znalazł ją pan?

– Tak myślę.

– Tak pan myśli? – powtórzył Broussard.

– Nie widziałem jej – odparł Indianiec – ale byłbym cholernie zaskoczony, gdyby jej tam nie było.

– Znalazł pan wejście?

– Pracuję nad tym. – I co teraz?

Indianiec rozparł się wygodnie, założył ręce za głowę i zamknął oczy.

– Teraz wracamy do Quichancha i czekamy.

– Na co czekamy? – zainteresował się Broussard.

– Na całą masę rzeczy – odparł pogodnie Indianiec. – Na przelanie pewnych pieniędzy. Na Gwizdacza. Na następny błąd Wyroczeni.

– Następny błąd?

– Tak. Powinna była zabić mnie dzisiejszego popołudnia. Pojawiłem się nie uzbrojony i pieszo, a w tym upale nie umiałbym przebiec pięćdziesięciu jardów. – Przerwał. – Jej zdolności mają swe granice. Wyroczenia nie umie patrzeć w przyszłość tak daleko, by wiedzieć, że następnym razem wrócę, by ją zabić.

– Nadal nie rozumiem, jak planuje pan to zrobić – powiedział Broussard, ruszając z miejsca i kierując pojazd z powrotem do Quichancha.

Indianiec uśmiechnął się z niezmałym spokojem.

– Ona też nie rozumie.

– Ale ma pan plan?

– Bezwzględnie.

– Czy zechce pan podzielić się nim ze mną?

– Poznasz go, gdy nadejdzie właściwy czas – odpowiedział Indianiec.

– Jeśli ja go poznam, czy nie będzie wiedziała o nim także

Wyrocznia?

– Bardzo prawdopodobne.

– Więc będzie w stanie go udaremnić. – Poznanie go nie pomoże jej ani trochę.

– Nie rozumiem – stwierdził Broussard.

– Ona też nie zrozumie – powiedział Indianiec, uśmiechając się ponownie. – Prawie mi jej żal.

CZĘŚĆ 3

KSIĘGA KRÓLOWEJ NEFRYTU

Po tym, jak usiłowano go zabić, Chandler przez następne trzy dni prawie nie opuszczał pensjonatu, wychodząc tylko co wieczór na kolację u Człowilka. Rozważył, czy nie spotkać się z kimś z byłej klienteli Chirurga lub udać, że poszukuje zleceń, ale zdecydował nie robić tego. Ostatecznie zarówno Wyrocznia, jak i Demokracja próbowały go zabić; nie wyglądało na to, by istniała jakakolwiek przyczyna trzymania się legendy.

Czwartej nocy, gdy wchodził do restauracji w towarzystwie Giną, który wrócił do służby, choć zranione ramię miał nadal grubo zabandażowane, Człowilk natychmiast podszedł do niego.

– Proszę za mną – powiedział i zaprowadził ich do małego, okrągłego pokoju na tyłach restauracji. Przy sześciokątnym stole siedział tam Lord Lucyfer.

– Dobry wieczór, panie Chandler – powiedział Lord Lucyfer.

– Dobry wieczór – odparł Chandler, rozglądając się po pokoju w czasie, gdy Gin sadowił się przy stole. Wreszcie wyjął z kieszeni mały przyrządek i przylepił go do ściany.

– Co to takiego? – zapytał Człowilk.

– Urządzenie przeciwposłuchowe – odrzekł Chandler. – Zakłóci wszelkie sygnały, które mogłyby wychodzić z tego pokoju.

– Panie Chandler, jest pan człowiekiem bardzo ostrożnym – zauważył Lord Lucyfer.

– Dzięki temu nadal żyję.

– Gwizdaczu, czy mogę ci coś podać? – zapytał Człowilk. – Właśnie otrzymałem dostawę koniaku z systemu Łabędzia.

– Później.

– Może kolację?

– Zawiadomimy cię.

Człowilk wzruszył ramionami i wrócił do sali restauracyjnej, Chandler zaś usiadł przy stole.

– A więc? – zapytał Chandler, zwracając się do Lorda Lucyfera.

– Znalazienie sposobu przeszmuglowania pana na Hades okazuje się trudniejsze, niż myślałem – oświadczył Lord Lucyfer. – Od śmierci Bomy Błękitne Diabły wprowadziły na lotach promowych dodatkowe środki

bezpieczeństwa. Jest to wykonalne, oczywiście, ale będzie wymagało o wiele więcej czasu i planowania, niż przewidywałem. – Przerwał i uśmiechnął się. – Wyrocznia niezbyt się pali do ujrzenia pana we własnej osobie, panie Chandler.

– Jeśli jest tym wszystkim, co się o niej sądzi, nie wyobrażam sobie, by taka perspektywa mąciła jej sen – odrzekł Chandler. – To zapewne jest pomysł Błękitnych Diabłów. – Przerwał, bo uderzyła go nagła myśl.

– O co chodzi, panie Chandler? – zapytał Lord Lucyfer, przyglądając mu się uważnie.

– Proszę wziąć pod uwagę to, co właśnie powiedziałem – odpowiedział Chandler. – Nie ma powodu, aby kobieta umiejąca przewidywać przyszłość martwiła się tym, że zamierzam ją zabić. Wobec tego to musi być pomysł Błękitnych Diabłów. – Popatrzył na Lorda Lucyfera. – Co z tego dla nas wynika?

– Że oni nie chcą, by pan do niej dotarł.

– Oczywiście, że nie chcą – potwierdził niecierpliwie Chandler. – Ale dlaczego? Znają zakres jej władzy, przecież to dzięki jej umiejętnościom zachowały swą niezależność od Demokracji, więc czemu to miałyby ich niepokoić?

– Rozumiem! – powiedział Lord Lucyfer, nagle się uśmiechając.

– No, a ja nie rozumiem ni cholery – wtrącił się Gin. – Czy ktoś zechce mi wyjaśnić, co wy dwaj sobie myślicie?

– Wynajęto mnie, aby ją wyciągnąć stamtąd, a zabić tylko w ostateczności – zwrócił się Chandler do kierowcy. – Jeszcze nie wymyśliłem, jak ją zabić, oni zaś nie mają powodu, by sądzić, że Wyrocznia może zostać zabita. Co z tego wynika?

– Nie wiem – powiedział zmieszany. – A co powinno wyniknąć?

– Że boją się, aby ona nie opuściła ich dobrowolnie w towarzystwie pana Chandlera – stwierdził Lord Lucyfer.

– Działalem przy założeniu, że ona znajduje się na Hadesie z własnego wyboru – dodał Chandler. – A jeśli to założenie było fałszywe?

– Opowiadałeś mi o niej – sprzeciwił się Gin. – Jak mogliby trzymać wbrew woli kogoś z jej przymiotami?

– Zamknij ją w naelektryzowanej celi, otocz celę polem siłowym, postaw dwóch wartowników i całe jasnowidzenie przyszłości nic jej nie pomoże – powiedział Chandler. – Jeśli we wszystkich możliwych

wariantach przyszłości pozostaje uwięziona w celi wbrew swej woli, to tam zostanie.

– Nic się nie zgadza – zaprotestował Gin. – Jeśli ona potrafi widzieć przyszłość, to dlaczego miałyby się pozwolić zamknąć?

– Kto wie? Gdy przybyła na Hades, miała zaledwie osiem lat. Może jej zdolności nie były wówczas jeszcze dość rozwinięte. Przybyła wraz z kosmitą zwanym Nibyżółwiem. Może ją zdradził? Może po prostu nie rozumiała, co zamierzają z nią zrobić? – Przerwał. – A może wszyscy byli dla niej przyjaciółmi od serca do chwili, gdy postanowiła odjechać? Wtedy zrozumieli, że bez niej zostaną włączeni do Demokracji?

– A może się mylisz – powiedział nie przekonany Gin.

– Być może – zgodził się Chandler. – Ale przyjmijmy założenie, że mam rację. – Znowu przerwał. – To także tłumaczyłoby, czemu Demokracja chce mojej śmierci. Jeśli Diabły myślą, że istnieje szansa, iż ona ze mną wyjedzie, będą miały na głowie cały kłopot ponownego jej odnalezienia, a o ile wiem tę panią nie jest łatwo znaleźć. – Przerwał. – Spójrz na to z ich punktu widzenia. Błękitne Diabły nie stanowią większego zagrożenia militarnego i nie zawarły żadnych sojuszy z wrogami Demokracji. Jeśli wysłannicy Demokracji nie będą w stanie jej zabić, Hades jest zapewne najbezpieczniejszym miejscem, gdzie można ją trzymać. A jeśli odjedzie i uda się na Bliźniaki Canphor, na Lodin XI czy jakąś inną planetę, która może rozpocząć wojnę z Demokracją?

– Nadal uważam, że się mylisz – stwierdził nieustępliwie Gin.

– Udowodnij to.

– Łatwo – odparł kierowca. – Jeśli ona chce, abyś ją wyratował, to dlaczego wysłała Błękitnego Diabła, by cię zabił?

– Nie zrobiła tego. To był jego pomysł... albo jego rządu.

– To skąd wiedział, kim jesteś i gdzie cię znaleźć?

– Bardzo słuszna uwaga – powiedział Lord Lucyfer, po czym zwrócił się do Chandlera. – Ma pan na to odpowiedź?

– Gdy znamy tak niewiele faktów, nie ma odpowiedzi, a są tylko przypuszczenia – odrzekł Chandler. – Ale przypuśćmy, że ona była w stanie przewidzieć, iż Boma mnie nie zabije, że zauważę szkło w potrawie... A dalej przypuśćmy, że wiedziała, iż to doprowadzi mnie właśnie do tego wniosku, jaki przed chwilą wyciągnąłem. – Przerwał. – Czy nie byłby to najlepszy sposób zawiadomienia mnie, że pragnie się stamtąd

wydostać?

– To cała masa przypuszczeń – odezwał się z powątpiewaniem Gin. –

Ja z pewnością na takiej podstawie nie ryzykowałbym życia.

– Ja także nie zamierzam zaryzykować z tego powodu – odpowiedział

Chandler. – W każdym razie jeszcze nie. – Zamilkł na chwilę, zbierając myśli. – Ale nadal mam przeczucie, że się nie mylę. Myślę, że należy rozpocząć działania innego rodzaju.

– Co pan ma na myśli, panie Chandler? – zapytał Lord Lucyfer.

– A więc chyba się zgadzamy, że nie mogę udać się na Hades natychmiast, w każdym razie nie w chwili, gdy oni przeszukują wszystkie promy.

– Więc co planuje pan zrobić?

– Odpowiedź jest oczywista – odrzekł Chandler. – Jeśli ja nie mogę pojechać tam po nią, jedyną możliwością jest spowodowanie, aby ona przyjechała do mnie.

– Ona tu nigdy nie przybędzie – oświadczył Lord Lucyfer. – Jeśli zechce z panem odjechać, Błękitne Diabły absolutnie na to nie pozwolą. A jeśli myli się pan i ona pragnie pańskiej śmierci, ma na Przystani Marrakesz dość agentów, by wykonali dla niej tę robotę.

– Nie mam zamiaru pozostawać na Przystani Marrakesz – stwierdził Chandler. – Błękitne Diabły wiedzą, kim jestem, a Demokracja też próbuje mnie zabić.

– W takim razie nadal nie rozumiem, co pan zamierza – powiedział marszcząc brwi Lord Lucyfer.

– Są jeszcze dwa inne księżyce. Na którym jest najwięcej Błękitnych Diabłów?

– Przystań Maracaibo – podsunął Gin. – Przystań Samarkanda to głównie rolnictwo i przemysł przetwórczy.

– Wobec tego Gwizdacz zostanie schwytany przez słynnego oportunistę, Lorda Lucyfera, który będzie trzymał go uwięzionego pod Dzielnicą Platynową, póki ktoś nie zapłaci okupu, och, nie ceńmy się zbyt nisko, dziesięciu milionów kredytów. – Chandler uśmiechnął się. – Oczywiście nikt tego nie zapłaci. Demokracja chce, abym jej nie wchodził w drogę, Błękitne Diabły chcą, abym im nie wchodził w drogę, a Lodziarz nie sięgnie do własnej kieszeni, aby mnie uratować. – Przerwał. – Jutro zaś człowiek z nową i całkowicie nie do sprawdzenia tożsamością pojawi

się na Przystani Maracaibo. Skryje się w całkowitym mroku, unikając światła na tamtym terenie dokładnie odwrotnie, niż starał się to robić Gwizdacz na Przystani Marrakesz. A nim minie miesiąc, zrobi takie spustoszenie wśród agentów Wyroczni, że same Błękitne Diabły zaczną nalegać, by dopomogła ona w znalezieniu i pojmaniu go.

– Doprawdy myśli pan, że oni wyślą ją na Przystań Maracaibo, aby pana odnalazła? – zapytał Lord Lucyfer.

– Nie będą chcieli żyć w wiecznym strachu – odrzekł Handler – a z pewnością nie wypowiedzą wojny księżycom i nie dadzą Demokracji jakiegokolwiek powodu do wkroczenia dla obrony zamieszkujących tam ludzi. Wcześniej czy później dojdą do wniosku, że najlepszą dla nich decyzją będzie wysłanie Wyroczni na Przystań Maracaibo, by ich ratowała.

– A jeśli zdecydują, że jest zbyt cenna, by ryzykować jej utratę? – upierał się Lord Lucyfer.

– Wówczas – odrzekł kwaśno Chandler – będę miał jeszcze cztery miesiące na wymyślenie czegoś innego.

– Panie Chandler, nie chciałbym, aby to zabrzmiało obraźliwie, ale to bardzo kiepska odpowiedź.

– Była żartobliwa – przyznał Chandler. – Tak naprawdę, jeśli nie będę mógł jej wyciągnąć na Przystań Maracaibo, to i tak moje szanse załatwienia tej sprawy zostaną zwiększone.

– Znów nie kapuję – stwierdził Gin.

– Obawiam się, że i ja nie podążam za pańskim rozumowaniem – dodał Lord Lucyfer.

– Jeśli ona jest całkowicie oddana Błękitnym Diabłom, ruszy w pogoń za mną już w chwili, gdy zacznę wywierać na nich nacisk. Prawdopodobnie uważa się za nietykalną, więc z jej punktu widzenia niczym nie będzie ryzykować; potraktuje to jako dopilnowanie działania systemu bezpieczeństwa. Jeśli zaś Wyrocznia naprawdę chce opuścić Hades, a pomimo tego Błękitne Diabły pozwolą jej tam przybyć, to będzie oznaczało, że uważają, iż w pełni ją kontrolują, ja natomiast przeceniłem jej możliwości. – Przerwał. – Jeżeli jednak Błękitne Diabły obawiają się – wypuścić Wyrocznię na Przystań Maracaibo, to jej moce są w całej pełni tak przerażające, jak mi dano do zrozumienia, Diabły zaś nie zaryzykują, by zostawić jej swobodę działania. Jeśli tak sprawy się mają, to wystarczy, że wykombinuję, jak otworzyć jej drzwi, a ona zrobi całą resztę.

– Wedle tego, co pan mówi, wszystkim wygląda o wiele prościej, niż, jak sądzę, okaże się w rzeczywistości – uśmiechnął się Lord Lucyfer.

– Cóż, gdyby to było łatwe, ktoś już zdołałby dotrzeć do niej – przyznał Chandler. Przerwał. – Nie wiem jak inni, ale myślę, że ja jestem gotów na przyjęcie owego koniaku.

– To mi się podoba – zgodził się Gin.

– No to pójdź i powiedz Człowiłkowi, by nam go podał – zwrócił się Chandler do kierowcy.

– Oczywiście, Gwizdaczu – odparł Gin. Wstał od stołu i opuścił pokój.

– Proszę dowiedzieć się o nim wszystkiego, co tylko pan zdoła – powiedział do Lorda Lucyfera przyciszonym głosem Chandler.

– O Ginie? – upewnił się Lord Lucyfer. – On się tu kręci od lat.

– Pomimo to proszę to zrobić.

– Czy ma pan jakiegokolwiek powody, by przypuszczać, że może być na służbie u Wyroczni?

– Jeśli ktokolwiek z ludzi dla niej pracuje, mnie o tym nic nie wiadomo.

– Ani mnie – przyznał Lord Lucyfer. Zmarszczył brwi. – Więc czemu pan go podejrzewa?

– Nie tylko Wyrocznia chce mnie zabić, pamięta pan?

– Ale morderca z Demokracji o mały włos nie zabił Giną – zaprotestował Lord Lucyfer.

– On zaś spędził w szpitalu dwa dni z powodu oparzenia ramienia – podkreślił Chandler. – A powinien być stamtąd zwolniony już następnego ranka. Wiedzieli, że jest moim kierowcą; mogli do niego dotrzeć w czasie, gdy go łątano. Jeśli tak było, chcę wiedzieć, komu składa meldunki.

– Zajmę się tym – obiecał Lord Lucyfer. – Ale nadal uważam, że pana niepokój jest nieuzasadniony. Proszę na niego spojrzeć, ten człowiek oddaje panu niemal boską cześć.

– Jeśli dobrze pamiętam lekcje teologii, Judasz też oddawał boską cześć Jezusowi – odpowiedział kwaśnym tonem Chandler.

– Wezmę to pod uwagę – stwierdził Lord Lucyfer. – Nawiasem mówiąc, przyszło mi do głowy, że może pan skorzystać z mojego kontaktu na Przystani Maracaibo.

– Bez wątpienia ma pan jakiś niezły – dopowiedział Chandler.

– Najlepszy z najlepszych – odrzekł Lord Lucyfer. – Ale wraca Gin z naszym koniakiem, może więc później to przedyskutujemy.

– Dobrze – zgodził się Chandler.

– Dobry towar – orzekł Gin, wchodząc do pokoju z butelką i trzema kieliszkami na tacy. – Spróbowałem tam kropelkę, tylko po to, by upewnić się, że jest taki, jak go reklamowano. – Napełnił kieliszki i rozstawił je.

– Panie Chandler, chciałbym zaproponować toast.

– Proszę bardzo.

– Za Wyrocznie – powiedział Lord Lucyfer. – Z pewnością dzięki niej nasze życie stało się bardziej interesujące.

– Popieram – powiedział Chandler, podnosząc kieliszek do ust. – Miejmy tylko nadzieję, że nie stało się też krótsze.

Istniały znaczne różnice pomiędzy Przystanią Maracaibo i Przystanią Marrakesz, choć były terraformowane przez ten sam zespół i miały prawie identyczną atmosferę, grawitację i klimat. Budynki na Przystani Maracaibo wydawały się mniej egzotyczne, bardziej prostokątne, mniej uroczyście, w dzielnicach mieszkalnych stały bliżej siebie. Miasto, które podobnie jak jego odpowiednik na Przystani Marrakesz nosiło nazwę księżycy, zaplanowano starannie. Jego ulice tworzyły prostokątną siatkę, centrum handlowe miało wyraźnie zakreślone granice, a mnóstwo pojazdów publicznych, zasilanych z sieci nadprzewodnikowej, ślizgało się o parę cali nad jezdniami, łącząc centrum miasta z obszarami zewnętrznymi.

Chandler siedział w jednym z nich, studiując mapę miasta, w którą zaopatrzył się przechodząc przez kontrolę celną. Od czasu do czasu podnosił głowę, by upewnić się, że nikt mu się nie przygląda, ale nie brał poważnie pod uwagę, że może być śledzony. Przed odlotem z Przystani Marrakesz ufarbował swe rude włosy na ciemny brąz, założył brązowe soczewki kontaktowe, cały zaś swój arsenał zostawił na Przystani Marrakesz. Jego nowy rysopis pasował bezbłędnie do paszportu, dostarczonego mu przez Lorda Lucyfera, a przechodząc przez Bezpieczeństwo Kosmoportu nie wywołał żadnego alarmu. Był po prostu podróżnikiem, któremu się nie poszczęściło, więc ma nadzieję znaleźć pracę na najdalszym z trzech księżyców Hadesu.

Nazywał się obecnie Preston Grange, a Lordowi Lucyferowi udało się nawet zapewnić mu życiorys, zawierający cztery aresztowania i parę skazań za drobne przestępstwa.

Miał się zgłosić na ulicę Kleopatry, adres ten dał mu Lord Lucyfer. Odnalazł miejsce na mapie, zobaczył, że aby do niego dotrzeć, musi się przesiąść, podszedł więc do drzwi. Sensor odebrał ciepło jego ciała, przekazał sygnał do mózgu pojazdu i ten zatrzymał się na najbliższym rogu.

Chandler wysiadł, poszukał na następnym skrzyżowaniu odpowiedniego znaku i stanął przed nim. W chwilę później jechał następnym wagonem. Niebawem znalazł się na ulicy Kleopatry. Sprawdził numer i ruszył w stronę podanego adresu.

W tej części dzielnica wyglądała ubogo. Wzdłuż ulicy mieściły się

bary, kluby nocne i meliny narkotykowe; w drzwiach tkwili jaskrawo ubrani mężczyźni i kobiety, niektórzy przyzywali przechodniów gestami, inni szeptali coś między sobą, a jeszcze inni po prostu gapili się na ulicę z wyrazem kompletnego znudzenia.

Wreszcie dotarł do numeru 719, małego, skromnego budynku, wepchniętego pomiędzy całonocną restaurację i lichego klubu nocnego, obiecującego rzeczy, które mogłyby zaszokować każdą bez wyjątku rasę galaktyczną.

Otworzył drzwi i znalazł się w niedużym, ośmiokątym przedpokoju, bez żadnych innych drzwi. Na jednej ze ścian, o jakieś pięć stóp nad podłogą, zawieszono mały aparacik. Nagrany, trochę mechaniczny głos polecił mu spojrzeć do środka. Kiedy zajrzał, spostrzegł hologram olśniewająco pięknej blondynki, wykonującej zmysłowy taniec. Po trzydziestu sekundach hologram znikł, a głos poinformował Chandlera, że jego retinogram został zdjęty, zanalizowany i zaaprobowany.

– Proszę podejść – polecił głos.

Chandler zbliżył się do ściany, która odsunęła się na bok, pozwalając mu przejść, a potem wróciła na miejsce.

Ruszył wąskim korytarzem i wreszcie znalazł się w luksusowo wyposażonym salonie, pełnym wytwornych mebli, erotycznych malowideł i hologramów, była tam nawet rzeźba z brązu przedstawiająca tę samą kobietę, która ukazała się na małym holu, jakie oglądał w przedpokoju.

Pokój pełen był kobiet w różnym stopniu roznegliżowanych, dwie z nich nawet zupełnie nagie. Chandler dostrzegł też czterech mężczyzn: potężnego, muskularnego wykidajkę i trzech dobrze ubranych klientów.

Uwodzicielsko odziana kobieta odłączyła się od grupy podobnie ubranych młodych dziewcząt i podeszła do Chandlera.

– Witamy w Łonie, najlepszym burdelu na trzech księżycach – powiedziała. – Czym mogę służyć?

– Szukam Królowej Nefrytu – odrzekł Chandler.

– Czy ona pana oczekuje?

– Tak sądzę.

– I nazywa się pan...?

– Powiedz tylko, że przysłała mnie Lord Lucyfer.

– Może zechce pan usiąść wygodnie – zaproponowała kobieta. – Za chwilę wrócę.

Wyszła z pokoju, Chandler zaś leniwie przyglądał się niektórym z dzieł sztuki erotycznej, zawieszonym na ścianach. Kobieta pojawiła się wkrótce.

– Proszę za mną – powiedziała.

Windą powietrzną wjechali dwa poziomy wyżej, a potem długim wąskim korytarzem dotarli do ostatnich drzwi.

– Ona jest tutaj.

– Dziękuję.

– Może zobaczymy się później?

– Wątpię.

Wzruszyła ramionami i odeszła, a Chandler odwrócił się twarzą do drzwi. Usłyszał warkot kamery holowizyjnej i poczuł przez moment, to zawsze było trochę nieprzyjemne wrażenie, skanowanie swej siatkówki. Wreszcie drzwi otworzyły się i Chandler wszedł do wielkiego, ośmiokątnego pokoju, pełnego dzieł sztuki i egzotycznych artefaktów z ponad tuzina planet. Dywan falował własnym życiem, a o parę cali na lewo od niego unosił się dwuosobowy fotel, zaprojektowany dla istot zupełnie niepodobnych do człowieka. Najmocniejszym akcentem w pokoju było ogromne okno, przez które Chandler dostrzegł pejzaż o wiele bardziej obcy i dziki, niż dżungle Planety Francuza. Chandler poszukał wzrokiem holoprojektora rzucającego tak niewiarygodnie realistyczne obrazy, ale go nie dostrzegł.

Za wielkim biurkiem, w pozycji pozwalającej równocześnie obserwować drzwi i okno, siedziała kobieta, niezbyt już młoda, ale też jeszcze nie całkiem w średnim wieku. Ważyła o kilka funtów więcej, niż powinna, ale była pełna gracji. Do złocistej sukni, wykończonych delikatnymi piórkami jakiegoś egzotycznego ptaka, założyła jadeitowy naszyjnik i dwa pierścionki z dobranymi do niego kamieniami. Oczy miała wielkie, zielone i szeroko rozstawione; nos mały i prosty, wargi wąskie, pomalowane na opalizujący oranż. Kasztanowate włosy, z pasemkami w różnych odcieniach złota i czerwieni, były starannie uczesane w hełm spiętrzony wysoko nad czołem.

– Czym mogę panu służyć, panie...? – zapytała głosem, który był nieco niższy i nieco głębszy, niż Chandler oczekiwał.

– Grange – odpowiedział. – Preston Grange.

– Co za idiota! – warknęła pogardliwie.

– Przepraszam?

– W ciągu czterech ostatnich lat przysłał na Przysłań Maracaibo trzech Prestonów Grange'ów. Co on sobie wyobraża? Jak długo może mu to uchościć bezkarnie?

– Mam za swoje, że zaufałem komukolwiek, i nie sprawdziłem wszystkiego sam – stwierdził Chandler. – Jutro zmienię nazwisko.

– Pytam przez czystą ciekawość: jak pan się nazywa?

– Chandler.

– Czy niektórzy nazywają pana Gwizdaczem?

– Od czasu do czasu.

Kiwnęła głową, jakby do własnych myśli.

– Przypuszczałam, że to będzie pan. Pańska sława wyprzedza pana.

– Również, jak się zdaje, mój pseudonim – dodał z kwaśną miną.

– Otrzyma pan nową tożsamość jeszcze przed wyjściem z mego biura. – Przerwała, a potem wskazała stojący przed biurkiem fotel. – Proszę spocząć. – Kiedy usiadł, zapytała: – Czy mogę podać panu coś do picia?

– Nie, dziękuję.

– Może coś, co uczyni pana szczęśliwszym albo wyostrzy zmysły?

Pokręcił głową.

– Jak pan sobie życzy – powiedziała, biorąc z sekretarzyka dwie małe, okrągłe pigułki. Połknęła je, przez chwilę stała zupełnie nieruchomo, jakby czekając, aż zaczną wywierać jakiś skutek, a potem usiadła naprzeciw niego.

– Proszę napisać nazwisko, jakim chce pan się posługiwać, aby nie było żadnej omyłki co do jego pisowni. Zresztą będę też potrzebowała pańskiego podpisu do dokumentów.

– Czy ma pani kartkę papieru? – zapytał, wyjmując pióro z kieszeni marynarki.

Otworzyła górną szufladę biurka i wręczyła Chandlerowi arkusz ze swym monogramem.

– W porządku – rzekł Chandler, bazgrząc na papierze. Wzięła od niego arkusz i przyjrzała się uważnie.

– Julio Juan Javier?

Chandler uśmiechnął się chytrze.

– Widząc to okropne współbrzmienie nikt nie zważy, iż jest to prawdziwe imię nadane przez zaślepioną matkę o złym guście. Nikt nie

użyłby takiego imienia i nazwiska jako przykrywki.

– Dobrze. Jutro rano będziesz Javierem – przerwała na chwilę. – Zacznę tak cię nazywać, żeby nie przyzwyczaić się do twojego prawdziwego nazwiska, jeszcze by mi się wymknęło w niestosownej chwili.

– A jak mam się zwracać do ciebie? – zapytał Chandler.

– Moje imię zawodowe brzmi Królowa Nefrytu. Możesz mi mówić Nefryt.

– Czy wolno mi przypuścić, Nefryt, że jesteś właścicielką tego lokalu?

– Właścicielką wszystkich budynków i przedsiębiorstw na przestrzeni dwóch kwartałów we wszystkich kierunkach.

– Jestem pod wrażeniem – stwierdził Chandler.

– Powinieneś.

– Jakie masz powiązania z Lordem Lucyferem?

– Ponieważ on cię tu przysłał, nie ma sensu, by to ukrywać – odparła.

– Przypuszczam, że możesz przyjąć, iż jest on moim odpowiednikiem na Przystani Marrakesz. Każde z nas zbudowało swe imperium żerując na głupcach, naiwniakach i chciwcach. – Przerwała. – Jego posiadłości nie sięgają Przystani Maracaibo, moje nie sięgają Przystani Marrakesz. Ale – dodała – każde z nas chciałoby uzyskać przyczółek na samym Hadesie, więc w naszym najlepszym interesie leży dopomożenie ci na wszelkie dostępne nam sposoby.

– Dobrze – odrzekł Chandler. – Przyjmę każdą pomoc, jaką mogę uzyskać.

– Z tego, co słyszałam, bardzo ci będzie potrzebna – stwierdziła Nefryt. – Czy ktoś jeszcze wie, że jesteś tutaj?

– Tylko mój kierowca, Gin. Został na Przystani Marrakesz, pod uważną obserwacją Lorda Lucyfera.

– Czy masz jakieś powody, by go o coś podejrzewać? – zapytała.

– Nie.

– Więc czemu...?

– Po prostu z natury jestem nieufny. Kiwnęła aprobująco głową.

– Dzięki temu pożyjesz znacznie dłużej – przerwała. – Pewien jesteś, że poza Lordem Lucyferem on jeden wie, że jesteś tutaj?

– Nie licząc ciebie.

– Jak długo zamierzasz tu pozostać?

– Jeszcze nie zdecydowałem – odrzekł Chandler. – Może miesiąc,

choć mam nadzieję, że znacznie krócej.

– No, jeśli chcesz, abym ci pomagała podczas twego pobytu na Przystani Maracaibo, może lepiej będzie, jeśli powiesz mi, co tu masz zamiar robić.

– Może lepiej będzie dla ciebie, jeśli się nie dowiesz – zaproponował.

– Gdy tylko ci powiem, prawnie stajesz się współwinna.

– Panie Javier – odparła Królowa Nefrytu – jestem właścicielką połowy urzędników tego księżycyca, a wynajmuję drugą połowę. Jeśli chcesz mojej pomocy, musisz powiedzieć mi, co zamierzasz. Inaczej nie ubijemy interesu.

Chandler zamilkł na chwilę, a potem odpowiedział:

– Zgoda. Przybyłem na Przystań Maracaibo, by zabijać Błękitne Diabły.

– Jeśli nienawidzisz Błękitnych Diabłów, jest ich masa na Przystani Marrakesz.

– Wcale nie interesuje mnie zabijanie tamtych Błękitnych Diabłów.

– To już wywnioskowałam – stwierdziła. – Czemu chcesz zabijać Błękitne Diabły właśnie tutaj?

– Mam nadzieję wywołać reakcję.

– Nie rozumiem – powiedziała Nefryt. – Jakiego rodzaju reakcję? Nienawiść? Strach? Panikę?

– Wszystkie na raz.

– To żadna odpowiedź. Czemu tak ważne jest, aby Błękitne Diabły na Przystani Maracaibo odczuły strach albo panikę?

– Bo jeśli tak się stanie, mam nadzieję, że spróbują przeszkodzić mi w działaniu.

Przyglądała mu się przez chwilę.

– Myślisz, że wezwą Wyrocznień, by przybyła na Przystań Maracaibo i upolowała cię, tak?

– Tak jest.

– To może nie być najbliższościwy pomysł twego życia – oświadczyła Nefryt. – Uważa się, że jej nic nie może zagrozić. Jak zamierzasz ją zabić?

– Jest znacznie cenniejsza żywa, niż martwa – powiedział Chandler. – Każdy rząd czy organizacja wojskowa w Galaktyce zrobi wszystko, by ją dostać. Bo przecież jeśli ma się u boku kogoś takiego, kto mówi, co należy zrobić, to nie można przegrać wyborów lub wojny. – Przerwał. –

Demokracja szukała jej przez szesnaście lat. Zapłacono mi, by ją wydostać, a zabić tylko wówczas, gdyby absolutnie nie było sposobu wydobywania jej z Hadesu.

– I myślisz, że jeśli pozabijasz dostateczną liczbę Błękitnych Diabłów, ona zjawi się na Przystani Maracaibo?

– Jest taka możliwość.

Mina Królowej Nefrytu wyrażała wątpliwości.

– Czemu miałyby to zrobić?

– Bo tylko ona będzie zdolna mnie powstrzymać, a Błękitne Diabły wreszcie zmęczą fakt, że są dziesiątkowane.

– Ale co ją obchodzą Błękitne Diabły? Czemu miałyby opuścić Hades, gdzie nawet Flota nie ośmiela się jej zaatakować?

– Mam powody, by wierzyć, że ona chce opuścić Hades, że w rzeczywistości może tam być więziona wbrew swej woli.

– O?

Wy tłumaczył jej wszystko, tak jak to dwa dni wcześniej wyjaśniał Lordowi Lucyferowi.

– Wolałbyś, żeby nie przybyła na Przystań Maracaibo?

– Tak, jeśli właściwie oceniam sytuację.

– Ile czasu chcesz jej dać? – zapytała Nefryt. – Jak wielu Błękitnych Diabłów będziesz musiał zabić, aby dojść do wniosku, że ona nie przyleci tutaj?

– Nie wiem – przyznał Chandler. – Uzależniam wszystko od tego, jak dużo zamieszania tu narobię i do jakiego stopnia uda mi się zniszczyć środki łączności między nią i Przystanią Maracaibo.

– Ale nadal nie wiem, czemu musiałeś przybyć tutaj, by tego dokonać.

– Zbyt wielu ludzi na Przystani Marrakesz mnie znało – wyjaśnił. – Wcześniej czy później Błękitne Diabły wykryłyby, kto stoi za tymi zabójstwami i same by na mnie zapolowały. O wiele sensowniejsze jest rozpoczęcie działań na innej planecie z nową tożsamością. Dla nich odwołanie się do Wyroczni będzie środkiem ostatecznym, gdy nie uda im się wykryć, kto odpowiada za morderstwa i zniszczenia.

Nefryt podeszła do barku, nałała sobie koniaku przywiezionego z układu Łabędzia i odwróciła się twarzą do Chandlera. – A więc, Julio Juanie Javierze, masz zadanie, do którego zostałeś stworzony. – Napiała się trochę. – A jaka ma być moja rola?

– Jestem tu outsiderem – powiedział Chandler – i zamierzam nim pozostać. W ciągu tygodnia mogę nauczyć się poruszać po mieście, dowiedzieć się, gdzie zbierają się Błękitne Diabły, a także przygotować odpowiednią liczbę kryjówek... Ale zobaczy mnie przy tym wielu Ludzi i Błękitnych Diabłów, niektórzy z nich mogą mnie zapamiętać, a jedyny sposób, by kampania terroru była skuteczna, to całkowicie zataić moją tożsamość. Prawdę mówiąc, chciałbym, żeby Błękitne Diabły doszły do wniosku, iż sprawcą jest jeden z nich. Dlatego potrzebuję przewodnika, kogoś, kto może mi powiedzieć, dokąd pójść, a jeszcze lepiej gdyby dostarczył mi jakiegoś prywatnego środka transportu. Potrzebuję też miejsca, do którego mógłbym wracać na odpoczynek. Jedna z sypialni w Łonie nadawałaby się dla moich celów, bo w ten sposób, jeśli ktokolwiek by mnie wytropił, ty będziesz mogła zaręczyć, że spędziłem tu całą noc. – Przerwał. – I potrzebuję cię jeszcze z jednego powodu. – Tak?

– Będę musiał zabić znaczną liczbę kosmitów. To sprawa czysto zawodowa i są mi tak samo obojętni, jak ja im. Ale byłoby mniej marnotrawstwa, a więcej pożytku, gdybyś mogła mi wskazać te Błękitne Diabły, które mają bezpośredni kontakt z Wyrocznią czy tymi siłami, które ona kontroluje. Ponieważ niszcząc linie łączności, chcę zmusić Błękitne Diabły, by przywoziły tu Wyrocznię, która stawiałaby mi czoło, toteż powinienem zabijać te Błękitne Diabły, które mogą mieć jakieś powiązanie z nią, a przynajmniej z rządem Hadesu.

– Rozumiem – powiedziała Nefryt, kiwając w zamyśleniu głową.

– Będę też potrzebował broni. Czy możesz mi ją dostarczyć?

– Bez problemów. Chandler przerwał na chwilę.

– Jest jeszcze jedno, co powinnaś wiedzieć – dodał wreszcie.

– Co takiego?

– Ktoś z Demokracji nie chce, abym wykonał mój kontrakt. Nie wiem, czy zależy im na tym, abym jej nie wy dostał, czy też, abym jej nie zabijał... Ale próbowali mnie wyeliminować na Przystani Marrakesz.

– Czy zatrudniła cię Demokracja?

– Tak przypuszczam.

– Tak przypuszczasz?

– Jestem tylko podwykonawcą – odrzekł. – Nigdy nie miałem do czynienia bezpośrednio z osobą, która za to płaci.

Nefryt zmarszczyła brwi.

– Jedno mnie zastanawia – powiedziała, wracając do swego fotela i jeszcze raz w nim zasiadając. – Jeśli Demokracja jest twoim pracodawcą, czemu cię po prostu nie odwoła?

– Nie mam całkowitej pewności, czy Demokracja jest moim pracodawcą... A w każdym razie nie pracuję bezpośrednio dla niej.

– Spróbuję podejść do tego inaczej – kontynuowała Nefryt. – Jeśli oni nie chcą, abyś spełnił swoją misję, czemu nadal ją wykonujesz?

– Bo jestem biznesmenem, a nie patriotą – odrzekł Chandler. – Zapłacono mi połowę pieniędzy z góry, a drugiej połowy nie otrzymam, jeśli nie zrealizuję kontraktu.

– Jesteś nierozsądnym człowiekiem – orzekła. – Nie ma sumy wartej tego, by zmierzyć się z Wyrocznią.

– Wobec tego pomagając mi jesteś równie nierozsądną kobietą – stwierdził Chandler.

– Istnieje różnica – powiedziała. – Tam jest do wzięcia cała planeta. Mój zysk jest współmierny do ryzyka. Twój nie.

– Pół planety – poprawił ją.

– Oczywiście masz na myśli Lorda Lucyfera? Chandler skinął głową.

– On się nie liczy – powiedziała Nefryt z wyrazem twarzy równie zimnym i twardym, jak Chandlera. – Czy doprawdy myślałeś, że jesteś jedynym zabójcą w tym pokoju?

Nefryt wprowadziła Chandlera do obszernego, luksusowego pokoju, przylegającego do jej własnego. Było tam ozdobne łóżko powietrzne, ręcznie rzeźbione meble sprowadzone z układu Domar i taki sam ekran holograficzny jak w jej biurze. – Dam znać, że mieszka tu mój ulubiony przyjaciel i wszyscy zostawią cię w spokoju.

– A czy nie zechcą się przekonać, kim jest twój ulubiony przyjaciel? – zainteresował się Chandler.

– A co w tym złego? – odrzekła. – Im więcej osób wie, że jesteś tutaj, tym lepiej. Każemy nawet przynosić tu wszystkie posiłki. Cały dowcip polega na tym, by nikt nie widział, jak wychodzisz. – Przerwała. – To jest tylko z pozoru szafa – wskazała jedno z czterech identycznych lustrzanych drzwi, zajmujących jedną ze ścian. – Ustawię ją tak, by reagowała na twój retinogram. Otworzy się i pozostanie tak przez, powiedzmy, dwadzieścia sekund za każdym razem, gdy się do niej zbliżysz. Za nią znajduje się winda powietrzna, którą zjedziesz do mojego garażu. Tędy będziesz wchodził i wychodził z budynku i nikt nie spostrzeże, że cię nie ma.

– Widziałem na korytarzu cały szereg drzwi – powiedział Chandler. – Ile transakcji załatwia się na tym piętrze?

– Prawie żadnych, chyba że mamy wyjątkowy tłok. Niektóre dziewczyny śpią tam, gdy są zbyt zmęczone lub zbyt zajęte, by wracać do domu. Powinieneś poznać kilka z nich i postarać się z nimi zaprzyjaźnić; im więcej osób będzie mogło zaręczyć, że spędzasz cały czas tu na górze, tym lepiej.

– Masz rację – odrzekł. – Jutro zaś muszę zrobić wycieczkę krajoznawczą po mieście.

– Tuż przed wschodem słońca kończę dyżur – powiedziała. – Wtedy wyjedziemy. – Przerwała. – Lepiej, jeśli za pierwszym razem ja cię obwiozę, żebyś zorientował się w mieście. – Królowa Nefrytu podeszła do drzwi. – Zobaczymy się za kilka godzin.

Nie odpowiedział, więc wyszła z pokoju.

Chandler wziął suchy prysznic, ogolił się, a potem położył się do łóżka. Zasnął prawie natychmiast, ale jakiś wewnętrzny zegar zbudził go mniej więcej na dwadzieścia minut przed powrotem Królowej Nefrytu, więc gdy

się pojawiła, był już gotów.

– Wyglądasz na zadowoloną z siebie – zauważył, gdy weszła do pokoju, ubrana dużo praktyczniej niż przedtem i wręczyła mu broń, o którą prosił. – Rozumiem z tego, że burdel miał tej nocy dobre obroty.

– Prawdę mówiąc, średnie – odpowiedziała. – Ale ja zrobiłam dobry interes tej nocy. – Rzuciła na łóżko dwa małe pakieciki.

– Co to takiego?

– Jeden zawiera twoje nowe dokumenty tożsamości i paszport. – Dziękuję – powiedział, studiując je fachowym okiem. – Szybko to załatwiłaś.

– Płacisz.

– A co jest w drugim?

– Zajrzyj.

Wziął go do ręki, otworzył i wyciągnął arkusz papieru, na którym narysowano trzy niezrozumiałe, obce symbole.

– Co to jest? – zapytał.

– Jeden z klientów Łona pracuje w Departamencie Obrony Planetarnej – wyjaśniła.

– Nie wiedziałem, że macie coś takiego.

– Gdy mieszkasz na księżycu, a wroga populacja zasiedla planetę, wokół której się orbituje, i jest ich sto razy więcej niż nas to, do cholery ciężkiej, trzeba mieć coś takiego – powiedziała. – Och, nie zdołalibyśmy wygrać wojny z Błękitnymi Diabłami. A gdyby nas zaatakowali, nie przetrwalibyśmy nawet dziesięciu minut. Ale monitorujemy wszystkie ich transmisje, a jeśli tylko będziemy mieli powody przypuszczać, że planują atak, wezwiemy Marynarkę Wojenną. – Przerwała. – W każdym razie ten klient specjalizuje się w tłumaczeniu i rozszyfrowywaniu transmisji Błękitnych Diabłów. To zaś – zakończyła, robiąc gest w stronę papieru – jest kod, którym Błękitne Diabły określają Wyrocznię w ich języku.

– Jak udało ci się go namówić, aby to zapisał?

– Najpierw z lekka go upiłam – odrzekła z uśmiechem Królowa Nefrytu. – A potem odwołałam się do jego zarozumiałstwa. Gdy obudzi się rano, nie będzie nawet pamiętał, że to zapisał.

– Dobrze – powiedział Chandler. – Teraz już wiem, jak na Hadesie pisać imię Wyroczni. I co z tego?

– Zdaje mi się, że jeśli, używając twych własnych słów, chcesz

wywołać reakcję, możesz spowodować ją znacznie szybciej, jeśli na każdej z twych ofiar zostawisz ten symbol.

Chandler zastanowił się nad jej pomysłem.

– Niezłe – przyznał.

– Cholernie dobre – poprawiła go Nefryt. – Jeżeli pomyślą, że to Wyrocznia odpowiada za zabójstwa, będzie musiała postarać się schwytać ciebie, by udowodnić swą niewinność. A jeżeli pomyślą, że ktoś ją wrabia, będą chcieli, aby powstrzymała cię przed zabijaniem ich w tak bezkarny sposób. – Rzuciła mu triumfalny uśmiech. – Mogą nawet pomyśleć, że starasz się wywołać niepokoję po to, abyśmy mogli wezwać Marynarkę.

– To powinno ich poruszyć – zgodził się Chandler. – Chciałbym, abyś jeszcze coś dla mnie zrobiła.

– Co?

– Skontaktuj się z facetem, który ci to dał, i przekonaj się, czy on wie, który Błękitny Diabeł wysłał te wiadomości... A także, czy potrafi zidentyfikować jakiegokolwiek innego Błękitnego Diabła pracującego dla Wyroczni albo czy zna miejsce, z którego wiadomości są przesyłane. Myślę, że wywołamy o wiele szybszą reakcję, jeśli zacznę zabijać Błękitne Diabły, które się z nią porozumiewają.

– Dowiem się tego, gdy przyjdzie następnym razem. – Jak często się tu pojawia? – zapytał Chandler.

– Różnie.

– Marna sprawa. Może nie zjawić się przez całe tygodnie.

– Dobrze – odrzekła Nefryt. – Dziś zaproszę go na lunch.

– A przyjdzie? Uśmiechnęła się.

– Jeśli ja go zaproszę, przyjdzie. – Spojrzała na niego. – Czy jesteś gotowy do wyjścia?

– Prowadź.

Podeszła do jednej z szaf, zaczekała aż drzwi się otworzą i wprowadziła go do środka. W chwilę później spływali łagodnie, unoszeni mocnym prądem powietrznym, do poziomu suterenu. Były tam zaparkowane dwa wozy: jeden elegancki, chromowo-złoty, podobnych barw jak autobusy miejskie. Mógł ślizgać się tuż nad ziemią, ale miał też koła do jazdy po tych ulicach, gdzie nie założono instalacji nadprzewodzącej. Drugim był bardzo stary, bardzo nędznie wyglądający

pojazd, który pamiętał lepsze dni, a nawet lepsze dziesięciolecia i na pewno nie wzbudzałby żadnego zainteresowania. Wsiedli do drugiego.

– Co o nim myślisz? – zapytała.

– Powinien znaleźć się w domu starców.

– Javier, on może cię zaskoczyć – odpowiedziała z uśmiechem. –

Kazałam go całkowicie przerobić w środku. Jest dwukrotnie szybszy niż tamten paradny eksponat – kontynuowała, wskazując gestem pierwszy wóz.

– Interesujące – skomentował Chandler.

– Praktyczne – odrzekła Królowa Nefrytu. – Nie zwraca uwagi w taki sposób, jak tamten i w rezultacie dzięki niemu mogę bez wzbudzania zainteresowania poruszać się na zewnątrz.

Wyjechała z garażu po rampie prowadzącej na ulicę i skręciła na północ.

– Będziesz musiał uważać na te cholerne autobusy – zwróciła mu uwagę, podjeżdżając do krawężnika, by przepuścić pojazd miejski. – Są wszechobecne i odpowiedzialne za osiemdziesiąt procent wypadków w mieście.

– Dokąd jedziemy? – zapytał Chandler.

– Do raju Błękitnych Diabłów.

– Tak się nazywa?

– Tak powinien się nazywać – sprostowała Nefryt. – Jest to teren, na którym gromadzi się najwięcej Błękitnych Diabłów. Znajduje się tam nieco sklepów, ale żadnych restauracji, żadnych nocnych klubów, burdeli, nic prócz domów mieszkalnych. Javier, to dziwna rasa. Mieszkam na Przystani Maracaibo od jedenastu lat i nadal nie wiem, co one tu robią. Nie zajmują się gospodarką, nie pracują, nie są zorganizowane politycznie, nie wchodzi w żadne stosunki z Ludźmi... Po prostu objają się na rogach ulic jak banda gburowatych nastolatków.

– Musiały tu imigrować z jakiegoś powodu – stwierdził Chandler.

– Tak przypuszczam – zgodziła się z nim. – Ale niech mnie licho, jeśli ktokolwiek z moich znajomych potrafi powiedzieć, co to za powód.

– Może po prostu chcą zaznaczyć swą obecność. Gdyby kiedyś zażądały zwrotu księżyców, miałyby prawny argument, że w rzeczywistości nigdy ich nie opuściły.

– To dobre, logiczne, ludzkie rozumowanie... więc prawdopodobnie

nieszusne. – Spojrzała przed siebie. – Oto jest – oznajmiła. – Gdy tylko przejdziemy poza tę szeroką ulicę przed nami, znajdziemy się w ich dzielnicy.

Chandler wyjrzał przez okno i uważnie zbadał otoczenie. Większość budynków postawiono z myślą o ludziach. W przeważającej części były zrujnowane. Po ulicach wałęsały się Błękitne Diabły, po prostu stały i gapiły się, nieliczne tylko szły zdecydowanym krokiem.

– Jakie one mają rozrywki? – zainteresował się Chandler. – Korzystają z czegoś podobnego do holo czy teatrów?

– Niech mnie szlag trafi, jeśli wiem.

– Myślałem, że mieszkasz tu od jedenastu lat.

– Ani my im nie zwracamy głowy, ani one nam – odrzekła Nefryt. – Obie rasy wolą, by tak pozostało.

– Przejeżdż przez środek ich dzielnicy handlowej – polecił Chandler. – Chcę się tam rozejrzeć.

Przejechała jeden kwartał w lewo, a potem skierowała się na północ. Po chwili znaleźli się przy jedynym kwartale, wzdłuż którego znajdowały się szeregi sklepów i magazynów, prawie połowa z nich z artykułami spożywczymi.

– Jedź wolniej – rzekł Chandler.

Nefryt zwolniła.

– To nic nie da – oświadczyła.

– Co nic nie da?

– Zniszczenie sklepów z żywnością – odparła. – One nie są do nas podobne. Większego zamieszania możesz narobić, zabijając jakiegoś niewinnie wyglądającego Błękitnego Diabła, stojącego na rogu ulicy i pilnującego własnego nosa.

– Jeśli będę musiał, zrobię jedno i drugie – oświadczył. – Ale wolałbym dowiedzieć się, które Błękitne Diabły są w łączności z Wyrocnią.

– Obiecałam ci, że wydobędę tę informację – stwierdziła z irytacją. – Jeśli to umknęło twej uwagi, to przypominam, że jestem z tobą od chwili, gdy po raz pierwszy powiedziałeś, że życzysz sobie mego towarzystwa.

– Przepraszam – powiedział. – To tylko dlatego, że zabijanie setek Błękitnych Diabłów to marnotrawstwo. Wolałbym raczej zabić dwa lub trzy, które mają jakieś znaczenie dla Wyrocni, i w ten sposób wywołać taką

samą reakcję.

– Morderca moralista – stwierdziła z uśmiechem rozbawienia.

– Nie każdy uprawia ten zawód dlatego, że lubi zabijać świadome istoty.

– Więc czemu ty to robisz?

– Bo uważam wszelkiego rodzaju zajęcia za niesmaczne – odpowiedział Chandler. – To zapewnia mi takie zarobki, że nie muszę pracować zbyt często.

– Zdaje mi się, że jest w tym jakaś pokrętna logika – orzekła Nefryt.

– Wyjedźmy z tej dzielnicy – poprosił po kilku minutach Chandler. – Wróćmy do Łona i zacznijmy objeżdżać tamten teren. Chcę się weń wczuć i upewnić się, że znajdę w ciemności drogę powrotną.

Nefryt skierowała się w stronę Łona, przez następne dwadzieścia minut krążyła po okolicy i wreszcie wjechała do podziemnego garażu.

– Zostawię cię tutaj i postaram się zdobyć trochę więcej informacji – zawiadomiła. – Gdy wrócisz do pokoju, powiedz tylko komputerowi, co chcesz do jedzenia, on zaś przekaże zamówienie do naszej kuchni.

– Macie kuchnię? – zapytał zdziwiony.

– No, prawdę mówiąc, znajduje się w restauracji obok, ale budynki są połączone. W tym czasie sprawdzę, czego mogę się dowiedzieć na temat transmisji. – Już miała otworzyć drzwi, gdy zatrzymała się. – Javier, czy mogę zadać ci pytanie?

– Jazda.

– Z jakiego powodu Wyrocznia jest tak cenna dla Demokracji? Wszyscy słyszeliśmy o niej, ale nikt nie wie dokładnie ani kim ona jest, ani co robi.

– Ona widzi przyszłość. – Jasnowidzenie?

– Więcej. Gdyby jedynym, co potrafi było widzenie, co się ma zdarzyć, myślę, że wszyscy z wyjątkiem szulerów i maklerów giełdowych daliby jej spokój.

– A co jeszcze ona potrafi?

– Nie tylko widzi przyszłość, ale także manipuluje nią – odpowiedział Chandler. – Widzi wszystkie możliwe zdarzenia, z przyszłości, wszystkie ich permutacje i próbuje zrobić tak, by nastąpiła ta, której sobie życzy.

– Żartujesz!

– Nie, wcale nie.

– Jeśli ona ma taką zdolność, że może kierować przyszłymi zdarzeniami, to czemu do tej chwili nie podbiła całej Galaktyki?

– Galaktyka jest wielka. A ja uważam, iż jej zdolności mają ograniczenia.

– Jakie ograniczenia?

– Nie wiem – przyznał. – Ale gdyby ich nie było, to do tej pory już podbiłaby Galaktykę...

– Wszystko jedno – oświadczyła Nefryt. – Mam nadzieję, że płacą ci należycie.

– Czasami sam się zastanawiam, czy tak jest – powiedział, wysiadając z samochodu.

Popłynął w powietrzu do swego pokoju, zamówił posiłek, uznał, że dobrze się zdarzyło, iż dochody burdelu nie zależą od jakości jego kuchni, a potem położył się na łóżku i zaczął oglądać na holo nagranie meczu zabijpiłki.

Gdy zaczęła się dogrywka pomiędzy kilkoma pozostałymi przy życiu, do pokoju weszła Królowa Nefrytu.

– Jak ci poszło? – zapytał, wstając z łóżka.

– No, mam dla ciebie twoją pierwszą ofiarę – oświadczyła. – A przy odrobinie szczęścia jutro rano mogę dostać adres Wyroczeni.

– Aż tak? Kiwnęła głową.

– Mój przyjaciel posyła promień lokalizacyjny po ich transmisjach. Będzie mógł dokładnie wyznaczyć miejsca na Hadesie, do których są kierowane.

Chandler przez chwilę rozważał otwierające się możliwości, a potem się skrzywił.

– Nie wiem, czy nam się to przyda – oświadczył. – Prawdopodobnie, zanim do niej docierają, przechodzą przez pół tuzina stacji przekąźnikowych. – Przerwał. – Ale chciałbym wiedzieć, skąd są nadawane.

– Pracujemy nad tym – odrzekła. – Tymczasem masz gotowe swoje zadanie.

– Co masz na myśli?

– Błękitny Diabeł, który nadał transmisję, o której mówił mój przyjaciel, nazywa się Kraef Timo. Nie znam jego funkcji, ale musi być cholernie ważna.

– Na jakiej podstawie tak sądzisz? – zapytał Chandler.

– Ma pół tuzina goryli.

– Skąd twój przyjaciel mógłby o tym wiedzieć? Myślałem, że on tylko kontroluje transmisje.

– Mam też innych przyjaciół – powiedziała Nefryt. – A jednym z nich jest miejscowy policjant znajdujący się na mojej liście płac. Gdy tylko dostałam nazwisko Kraefa Timo poprosiłam, by je przepuścił przez swój komputer, choćby po to, aby sprawdzić, czy coś o nim jest. I okazało się, że jakieś pięć miesięcy temu aresztowali Kraefa Timo za bardzo drobne wykroczenie. Sprawa nawet nie została skierowana do sądu, ale gdy przyszli do jego domu, aby go zatrzymać, musiał odwołać swych ochroniarzy, inaczej byłaby tam krwawa łaźnia.

– Bardzo interesujące – orzekł Chandler. – Gdzie znajdę tego Timo?

– Jest jednym z nielicznych Błękitnych Diabłów, które nie mieszkają w ich dzielnicy – powiedziała Królowa Nefrytu. – Ma wielopokojowy apartament w Surowym Diamencie, hotelu odległym o jakieś dziesięć kwartałów stąd.

– Rozumiem, że jego goryle mieszkają tam wraz z nim? – Tak.

– Czy możliwe jest, by Timo był tam po zmroku? Wzruszyła ramionami.

– Nie wiadomo. Ponieważ nikt nie wie, co on robi, nikt nie zna jego rozkładu dnia. – Przerwała. – Czy naprawdę jesteś pewien, że chcesz stawić czoło sześciu uzbrojonym Błękitnym Diabłom?

– Potrafię sobie wyobrazić rzeczy, które bym wolał.

– Ale pomimo wszystko zrobisz to?

– Nie umiem wymyślić lepszego sposobu, by wyrzucić na nią jakiś nacisk.

– Być może dostanę od mego przyjaciela inne nazwisko, kogoś, kto nadaje transmisje bez chodzącego za nim ruchomego arsenału.

– Właśnie to, iż go pilnie strzegą powoduje, że jest pożądanym celem. Może przyjdiesz po mnie za sześć godzin?

– Co będziesz robił przez ten czas?

– Zdrzemnę się – powiedział, rozwalając się na łożku. – Mam przed sobą pracowitą noc.

Zamknął oczy i w chwilę później zapadł w głęboki sen.

Królowa Nefrytu przyglądała mu się przez długą chwilę, a potem

wróciła do siebie, usiadła, i po raz pierwszy próbowała zdecydować, czy rzeczywiście pragnie, aby Wyrocznia pojawiła się na Przystani Maracaibo w poszukiwaniu Chandlera i jego sprzymierzeńców.

Chandler obudził się tuż po zachodzie słońca, zamówił kolację i spędził następne pół godziny oglądając na holoeckranie różne wydarzenia sportowe. Potem do pokoju weszła Nefryt. – Jesteś gotów? – zapytała. – Nie. Poczekajmy jeszcze dwie lub trzy godziny.

Chcę dać ochroniarzom Timo trochę czasu, by zaczęły im się kleić oczy.

– To dobrze – powiedziała Nefryt, przysuwając sobie fotel i siadając. – Bo musimy porozmawiać.

– O czym?

– O Wyroczni. Chandler spojrzał na nią.

– Słucham.

– Czemu chcesz ją zwabić na Przystań Maracaibo?

– Powiedziałem ci już.

– Wiem, co mi powiedziałeś – oświadczyła. – Ale teraz chcę, byś mi jeszcze coś wyjaśnił.

– Co?

– Skąd wiesz, że to twój pomysł?

– Ona nie ma zdolności telepatycznych – odrzekł. – Człowiek, który mnie wynajął, spędził z nią pewien czas wiele lat temu.

– Ona nie musi mieć zdolności telepatycznych – upierała się Nefryt.

– Zdaje mi się, że cię nie rozumiem.

– Sam mi powiedziałeś: Wyrocznia potrafi widzieć nieskończoną liczbę wariantów przyszłości i tak manipulować wydarzeniami, aby zrealizowało się to, którego pragnie. Może wybrała przyszłość, w której przybywasz na Przystań Maracaibo i układasz ten właśnie plan.

– Wątpię – odparł Chandler. – Ale nawet jeśli to prawda, to co z tego? Moje zadanie polega na tym, by ją stamtąd wyciągnąć.

– A jeśli ona nie zechce odjechać z tobą? – nalegała Nefryt. – A jeśli potrzeba jej tylko pretekstu, by sama mogła opuścić Hades?

– Z jakiego powodu?

– A skąd mogę wiedzieć z jakiego? – odrzekła Nefryt. – Chcę tylko wiedzieć, skąd możesz mieć pewność, że nie steruje tobą właśnie w tej chwili.

– Sam nie wiem – westchnął. – Nie sądzę, by to robiła. Nie sądzę, by posiadała taką władzę, a jeśli ją ma, to nikt, nawet na Hadesie, nie mógłby jej przetrzymać wbrew jej woli. Ale jeśli mną manipuluje, by wydostać się z Hadesu, czemu miałyby mnie to obchodzić? Wyrocznia tylko ułatwiłaby mi wykonanie zadania.

– Nie wiem – powiedziała Nefryt. – Ale bardzo mnie to niepokoi. Bo jeśli ona manipuluje tobą, to manipuluje także i mną, a ja nie lubię, żeby ktoś mną kierował.

– Nie wiem, co moglibyśmy w tej sprawie zrobić – stwierdził Chandler.

– Możemy natychmiast się wycofać.

– Nie ma mowy – oświadczył. – Mam kontrakt do wykonania.

– Skąd wiesz, czy ona nie planuje wywołania wojny z Demokracją? Może Kraef Timo jest jedynym Błękitnym Diabłem pozostającym w opozycji do niej, ona zaś manipuluje nami, abyśmy go zabili.

– Jeśli potrafi to robić z odległości 300 000 mil – odrzekł Chandler – czemu nie wybiera przyszłości, w której on po prostu dławi się na śmierć posiłkiem albo spada ze schodów i łamie sobie kark?

– Nie wiem – przyznała Królowa Nefrytu. Zachmurzyła się. – Prawdę mówiąc, im dłużej rozmyślam nad tą sytuacją, tym więcej rzeczy nie wiem.

– Posłuchaj – rzekł Chandler. – Albo mamy wolną wolę, albo nie. Jeśli mamy, to robimy to, co trzeba. Jeśli nie, to i tak nie możemy zrobić nic innego, więc jaki ma sens zamartwianie się tym wszystkim?

– Możemy natychmiast zrezygnować z działania.

– I skąd będziesz wiedziała, że to nie Wyrocznia zmieniła zdanie i nie wybrała przyszłości, w której przestajemy działać? Zmęczona opadła na oparcie fotela.

– I gdzie to się kończy?

– Odgadywanie Przeznaczenia? – zapytał Chandler. – Nigdy. Dlatego najlepiej nic nie odgadywać.

– Czy się nie lękasz, że twoje działania, twoje najskrytsze myśli mogą nie być naprawdę twoimi? – zapytała.

– Ależ one są moje. Nawet jeśli Wyrocznia nami manipuluje, to nie ona wybrała te myśli i wsadziła mi do głowy. Ona tylko tak ułożyła sprawy, abym o nich myślał i działał wysnuwając logiczne wnioski. – Przerwał. – Zresztą nie widzę sensownego rozwiązania. Jeśli założę, że ona mną steruje, to mogę przypuszczać, iż kontroluje mnie w obu przypadkach: jeśli

zabiję Kraefa Timo, i gdy dam mu spokój.

Nefryt zastanowiła się nad tym stwierdzeniem.

– Cóż, jest to praktyczne podejście – zgodziła się. – Ale niezbyt zadowolające. Uważam, że zwierzę w lesie mogłoby sądzić tak samo.

– Spędzam większą część życia ze zwierzętami w lesie – powiedział Chandler. – Bardzo niewiele z nich miewa podwyższone ciśnienie lub ataki serca. Być może wiedzą coś, czego ja nie wiem.

– One nie wiedzą o niczym – odrzekła Nefryt. – One po prostu reagują.

– Starają się, żeby im było ciepło, sucho i żeby mogły się dobrze najeść – zauważył. – Ale większość ludzi też stara się przede wszystkim o to.

– Javier, rozmowa z tobą niezbyt podnosi na duchu – zauważyła. – Przychodzę do ciebie z poważnymi wątpliwościami, a ty robisz mi wykład o zwierzętach.

– Podnoszenie na duchu nie jest moją specjalnością.

– Wiem. Przypuszczam, że będę musiała podjąć decyzję bez żadnej pomocy z twojej strony.

– Jaką decyzję?

– Czy mam ci pomóc, czy cię powstrzymać – oświadczyła bez ogródek.

– Bardzo bym się cieszył z twojej pomocy, choć mogę wykonać moje zadanie i bez niej – stwierdził Chandler z równą otwartością. – Ale poważnie ostrzegam przed próbą powstrzymania mnie.

Przyglądała mu się długą chwilę.

– Ciągle jeszcze się nie zdecydowałam – powiedziała wreszcie.

– Zawiadom mnie, gdy to zrobisz.

– Pierwszy się dowiesz. Wstała i wyszła z pokoju.

Chandler odczekał jeszcze dwadzieścia minut, a potem podszedł do szafy, która otworzyła się po przeskanowaniu jego siatkówki i porównaniu wyniku z centralną bazą danych. W chwilę później stał w podziemnym garażu. Postanowił nie pożyczać pojazdu Królowej Nefrytu, gdyż nie znał przepisów ruchu Przystani Maracaibo, poza tym nie miał pojęcia, gdzie zostawić auto, gdy zajmie się swoimi sprawami.

Wyszedł z garażu i znalazł się w małym zaułku za budynkiem Łona. Przeszedł długość dwóch kwartałów, skręcił w główną ulicę, zapytał

przechodnia, jak znaleźć Surowego Diament i złapał autobus, który zdawał się zmierzać we właściwym kierunku.

Złościło go, że Królowa Nefrytu zmusiła go do zmiany rozkładu zajęć: czułby się o wiele lepiej składając wizytę Kraefowi Timo po północy, gdy ochroniarze Błękitnego Diabła odprężą się, a niektórzy z nich być może pójdą do łóżek. Ale jeśli ona postanowiła mu się przeciwstawić, trudno było przewidzieć, jak się do tego zabierze, a posłużenie się kilkoma płatnymi zabójcami z pewnością nie przekraczało jej możliwości.

Autobus przejechał koło Surowego Diamentu, małego, nader pospolicie wyglądającego hotelu. Chandler wysiadł na następnej ulicy, a potem cofnął się do głównego wejścia. Nie starał się ukrywać, gdyż i tak nikt go tu nie znał.

Wszedł do przyciemnionego salonu koktajlowego na lewo od recepcji, uderzył go odór obcych trunków, zdał sobie sprawę, że jest jednym z niewielu ludzi na sali i na komputerowym menu wybrał piwo. Popijał je przez jakieś piętnaście minut, nie spuszczać z oczu wejścia do hotelu. Choć klientelę stanowili prawie sami kosmici, tu, na dole, nie pojawił się ani jeden Błękitny Diabeł. Chandler tak naprawdę nie spodziewał się żadnego ujrzeć. Po jakimś czasie zdecydował, że warto już dowiedzieć się, gdzie znajduje się apartament Kraefa Timo.

Nie było rejestru gości, a gdyby nawet był, Chandler nie potrafiłby go odczytać. Wewnętrzne wideofony też nie wchodziły w rachubę: recepcja na pewno nie poda mu numeru pokoju, a już samo pytanie zdradziłoby Timowi, że ktoś go szuka. Hotel miał tylko pięć pięter; będzie musiał przeszukać poziom po poziomie. Nie sądził, by któryś z goryli Tima stał na warcie przed apartamentem.

Wreszcie podszedł do kabiny wideofonów publicznych, wszedł do środka, zajrzał do książki telefonicznej i znalazł restaurację przy tej samej ulicy, czynną przez całą dobę. Szybko wystukał jej numer, a gdy uzyskał połączenie, uśmiechnął się do kamery.

– Mówi pan Timo z Surowego Diamentu – oświadczył. – Nie jestem zadowolony z obsługi hotelowej przez ostatnie dwa wieczory. Czy możecie mi przysłać kanapkę i piwo?

Człowiek po drugiej stronie linii przyjął jego zamówienie i zapytał o numer jego pokoju.

– Napisali go jakimiś dziwnymi znakami – odrzekł Chandler. – Ale

traficie bez trudności. Trzecie drzwi na prawo od windy, na siódmym piętrze.

Rozłączył się, wrócił do salonu koktajlowego i czekał. W pół godziny później młody człowiek, niosący torebkę z żywnością, wszedł do hotelu, wsiadł do windy. Po jakimś czasie wysiadł z niej, marszcząc brwi. W recepcji zamienił parę słów z zatrudnionym tam Lodinitą, w tym czasie Chandler powoli zbliżył się do windy. Tamta dwójka podeszła razem i w milczeniu popłynęli na czwarte piętro.

Posłaniec skręcił w lewo sprawdzając numery na drzwiach, Chandler zaś odczekał kilka sekund, a potem udał się za nim.

Mężczyzna zatrzymał się przy drzwiach, dotknął czujnika i zaczął, aż się odsunął. Chandler ujrzał, jak do posłańca podchodzi Błękitny Diabeł, obaj przez minutę czy dwie prowadzą ożywioną dyskusję, aż wreszcie mężczyzna wraca do windy.

Chandler oparł się o ścianę i odczekał chwilę, by mieć pewność, że posłaniec nie spróbuje jeszcze raz doręczyć zamówienia i uzyskać zapłatę. A potem cicho poszedł korytarzem, zatrzymał się przed drzwiami Tima i dotknął czujnika.

Drzwi otworzyły się i natychmiast pojawił się potężnie zbudowany Błękitny Diabeł.

– Mówiłem ci, byś sobie poszedł! – powiedział z silnym obcym akcentem.

Chandler bez słowa poderżnął mu gardło, a potem skoczył do pokoju. W dziwnie wyglądających fotelach siedziały trzy Błękitne Diabły. Wszystkie trzy zastrzelił z pistoletu dźwiękowego, nim zdały sobie sprawę, że ktoś wtargnął do pokoju.

Promień lasera minął o cale jego ucho, więc rzucił się na podłogę i przetoczył po niej, równocześnie strzelając. Błękitny Diabeł wrzasnął z bólu i chwiejnie szedł przez pokój. Z jego uszu tryskał paskudny, zielony płyn. Chandler strzelił ponownie i kosmita zwałił się bezwładnie na podłogę.

– Kim jesteś? – zapytał ktoś z innego pokoju. – Czego chcesz? Głos, z ledwo słyszalnym obcym akcentem, zdawał się dobiegać z sypialni na lewo, Chandler więc, zmieniając pistolet dźwiękowy na laserowy wystrzelił promień, który osmalił ścianę na wysokości około czterech stóp.

– Kim jesteś? – zapytał obcy. – Czemu ona chce mojej śmierci?
„Ona” mogła być tylko Wyrocznią, ucieszył się Chandler. Oznaczało to,

że wybrał właściwy cel. Błysnęła mu myśl, czy nie wziąć Tima żywcem i nie wymusić od niego dokładniejszych danych o Wyroczni i jej planach. Ale przypomniał sobie, że Boma, Błękitny Diabeł, którego przesłuchiwali na Przystani Marrakesz, wolał odebrać sobie życie, niż ujawnić jakiegokolwiek informacje o Wyroczni. A biorąc pod uwagę, że brakowało do rachunku jeszcze jednego ochroniarza, Chandler uznał, że nie warto ryzykować.

Ponownie wystrzelił przez ścianę, tym razem niżej, i usłyszał, jak na podłogę pada ciało.

Całą minutę czekał na jakiś inny odgłos, na ruch, na jakiegokolwiek oznaki życia w sypialni, a potem ostrożnie zajrzał do środka. Zobaczył tam leżącego na podłodze Błękitnego Diabła, z ogromną raną wypaloną przez całą długość torsu.

Wszedł do pokoju, odwrócił zwłoki na plecy i zaczął szukać jakiegoś znaku lub symbolu identyfikacyjnego. Gdy badał zabitego, kątem oka dostrzegł jakiś nagły ruch, a kiedy się odwrócił, by stawić czoło ostatniemu ochroniarzowi, ten kopnięciem wytrącił mu broń z ręki.

Potężny Błękitny Diabeł pochylił się, sięgając po Chandlera, który odpowiedział dwoma szybkimi kopnięciami w stawy kolanowe Diabła. Kiedy zaskoczony ochroniarz z trudem próbował odzyskać równowagę, Chandler błyskawicznie uderzył go kantem dłoni w szyję, a potem cofnął się, by uniknąć zetknięcia z tryskającą z gardła krwią. Stwór wydał pojedynczy, chrapliwy jęk, przez moment patrzył na Chandlera, po czym umarł.

Chandler zamknął na zamek drzwi na korytarz i następne kilka minut spędził na upewnianiu się, że nie było tu więcej Błękitnych Diabłów. Potem wyciągnął mały nożyk, wyciął na każdym trupie znak Wyroczni i rozpoczął gruntowny przegląd apartamentu, szukając czegokolwiek, co mogłoby powiedzieć mu o niej więcej.

Przetrzęsał ostatni pokój, gdy z pistoletem w dłoni wkroczyła Nefryt.

– Miałaś bardzo pracowity wieczór – zauważyła, przelotnie tylko spoglądając na zasłaną trupami podłogę.

– Jak ty się tu dostałaś? – zainteresował się Chandler. – Jestem właścicielką tego budynku. – A co tu robisz?

– Przyszłam, by cię powstrzymać.

– Czemu?

– Bo nie zdecydowałam, czy chcę, czy też nie, abyś zabijał te Błękitne

Diabły... A na mojej planecie nikt nikogo nie zabija, jeśli na to nie zezwolę – wypaliła z zimną wściekłością. – Powiedziałeś, że będziesz jeszcze przez dwie godziny czekał w swoim pokoju. Okłamałeś mnie.

– Zmieniłem zdanie – oświadczył.

– Okłamałeś mnie i tylko to się liczy – odrzekła. – Mogłeś z różnych powodów nie chcieć, abym tu z tobą przyszła. Może jesteś z natury kłamcą? Niewykluczone też, że ona zmusiła cię do kłamstwa.

– Dostajesz paranoi na jej punkcie – stwierdził Chandler. – Jak można mieć paranoję na punkcie kogoś, kto potrafi kształtować przyszłość? – odparowała. – Można nie doceniać jej zdolności czynienia zła, ale bardzo wątpię, czy można je przecenić. – Spojrzała na niego groźnym wzrokiem. – Ale nie o to tutaj chodzi. Okłamałeś mnie i zabiłeś siedem Błękitnych Diabłów bez mojego zezwolenia. To się równa nieposłuszeństwu wobec mnie.

– Jakim sposobem mogę być ci nieposłuszny? – odrzekł rozdrażniony Chandler. – Z tego wynikałoby, że ty mi wydajesz rozkazy. A mnie nikt nie może wydawać rozkazów.

– Gdy jesteś na Przystani Maracaibo, masz tylko dwie możliwości – powiedziała Królowa Nefrytu. – Możesz omawiać swoje plany ze mną i uzyskiwać moją aprobatę.

– A jaka jest druga możliwość?

Wycelowała do niego z pistoletu.

– Możesz zginąć.

– Odlóż to – powiedział Chandler. – Chcesz rozszerzyć swe operacje na Hades, a ja jestem jedynym człowiekiem, który może ci to umożliwić. Nadal stoimy po jednej stronie.

– Jeśli jesteś po mojej stronie, to się nie wymykaj cichcem i nie dopuszczaj się morderstw bez mojej zgody.

Usłyszeli za drzwiami odgłos kroków, gdy jakiś bardzo ciężki kosmita wszedł do swego pokoju.

– Nie czas to i miejsce na dyskusję – oświadczył Chandler. – Te ciała zostaną wykryte, nim nastanie dzień. – Przerwał. – Timo i jeden z jego goryli byli w sypialni. Wydaje mi się, że posłali po pomoc, nim ich zabiłem.

Królowa Nefrytu zastanowiła się nad tym, a potem kiwnęła głową.

– Dobrze – powiedziała, opuszczając pistolet. – Skończymy tę dyskusję po powrocie do Łona.

Szybkim krokiem ruszyli do windy powietrznej, razem spłynęli do holu i opuścili budynek.

– Czy przyprowadziłaś swój wóz? – zapytał.

– Stoł za rogiem – odrzekła.

Wsiadli do samochodu i w milczeniu wrócili do Łona. Nefryt zaparkowała w podziemnym garażu; w chwilę później wzniesli się do pokoju Chandlera i natychmiast przeszli do jej mieszkania.

– No i co teraz? – zapytała.

– Teraz wybierzemy następny cel.

– Nie będę ci pomagać, póki się nie przekonam, że nie jestem w tej grze marionetką.

Chandler wzruszył ramionami.

– Więc będę musiał to robić na własną rękę.

– Bez mojej pomocy zdołasz tylko zarznąć garść niewinnych Błękitnych Diabłów, które mogą w ogóle nie mieć żadnego związku z Wyrocznią.

– Nie będę musiał zabijać ich aż tak wielu – odrzekł Chandler. – Jeśli na każdej z ofiar umieszczę znak Wyroczni, to za kilka tygodni ona tu przybędzie, aby mnie powstrzymać, a jeśli nie, to będę wiedział, że ona nie może opuszczać Hadesu i muszę pojechać tam po nią. – Przerwał. –

Miałbym znacznie łatwiejsze zadanie, gdybym wiedział, kto dla niej pracuje lub kto się z nią porozumiewa.

– Nie, dopóki wszystkiego sobie nie przemyślę – twardo oświadczyła.

– Pewne jest, że bez względu na to, czyją zabiję, czy wydobędę, będziesz bogata... a raczej bogatsza – powiedział Chandler. – A jeśli chodzi o resztę spraw, po prostu nie mamy dość informacji. Możesz się zastanawiać nad tym przez pół wieczności i nadal nie będziesz wiedziała, czy robimy to, co ona chce, czy działamy samodzielnie.

– Jest coś, czego nie wzięłeś pod uwagę.

– Co?

– Powiedziałaś mi, że Demokracja próbowała zabić cię na Przystani Marrakesz. Dlaczego?

– Nie wiem. Zapewne nie chcą, abym wykonał moją misję.

– Którą misję? – dopytywała się Nefryt. – Masz jej nie wykradać, czy nie zabijać?

– Nie wiem.

– A więc jest to coś, co powinieneś wziąć pod uwagę – kontynuowała.

– Jeśli od chwili gdy zostałeś wynajęty oni zdołali dowiedzieć się czegoś o Wycroczni, czegoś, co spowodowało, że uznali, iż jest zbyt niebezpieczna, by pozwolić jej żyć, to wydobyć ją żywej powinieneś się wystrzegać.

– Jeśli jesteś przekonana, że ona potrafi manipulować tobą i mną bez naszej wiedzy, zapewne na tej samej zasadzie potrafi manipulować także nimi.

– Ale czemu ona miałaby chcieć twojej śmierci, skoro potencjalnie mógłbyś ją wyciągnąć z Hadesu?

– Istnieje mnóstwo powodów – stwierdził Chandler. – Po pierwsze, może być bardzo zadowolona z tego, że tam się znajduje. Po drugie, zapewne wiedziała, że zamach na moje życie się nie uda. Okazał się jednak dobrym sposobem na to, bym przeniósł moją bazę operacyjną z Przystani Marrakesz na Przystań Maracaibo, gdzie mam większe szanse sprowokowania Błękitnych Diabłów, aby ją do mnie przywozły. Po trzecie, Wycrocznia zapewne żywi urazę do człowieka, który mnie wynajął. A gdybym ja zginął, on będzie musiał tu przybyć i sam wykonać kontrakt. – Przerwał. – Nie dowiemy się tego, póki nie stanę z nią twarzą w twarz.

– W tym momencie będzie prawdopodobnie za późno – powiedziała Królowa Nefrytu. – Nie wiem, czy ona może sterować wydarzeniami z

Hadesu, ale wszystko, co mi powiedziałeś, przekonuje mnie, że może nimi sterować, gdy znajduje się z kimś w jednym pokoju.

– Nie przybyłem, by ją zabić – podkreślił Chandler. – Ona to będzie wiedzieć.

– Ale zabijesz ją w razie konieczności – sprzeciwiła się Królowa Nefrytu. – To także będzie wiedzieć.

– Jeśli nie zechce ze mną uciec, zapewne spróbuję ją zabić. Zbyt niebezpiecznie jest mieć z nią do czynienia.

– Ona będzie to wiedzieć.

– Wobec tego postawię ją w sytuacji, w której taka wiedza nic jej nie pomoże.

– Nie istnieje sposób, by to zrobić.

– Zobaczymy – odrzekł Chandler z większą pewnością, niż sam odczuwał. – Czy masz jeszcze coś do powiedzenia?

– Nie w tej chwili.

– Pójdę więc coś zjeść.

– Powinieneś raczej kazać coś przysłać do pokoju – stwierdziła. – Trzeba, aby ten, kto przyniesie jedzenie, mógł zeznać, że tu jesteś.

Skinął głową, a potem opuścił jej apartament i wrócił do siebie. Zamówił kanapkę oraz importowane piwo, a potem, czekając na dostarczenie posiłku, oglądał sztuczny krajobraz za swym oknem.

Błysnął wideofon, Chandler go włączył.

– Tak? – powiedział.

Nad głośnikiem pojawił się obraz Błękitnego Diabła.

– Gwizdaczu, to nie podziła.

– O czym ty mówisz?

– Wracaj do domu, Gwizdaczu – powiedział Błękitny Diabeł. – Wracaj do domu, szkoda twojego życia.

Stwór przerwał połączenie.

Chandler natychmiast wrócił do apartamentu Nefrytu. Siedziała tam przy biurku i z niezadowoleniem wpatrywała się w komputer.

– O co chodzi? – zapytała, podnosząc głowę.

– Udało się – oświadczył. – O wiele szybciej, niż się spodziewałem.

– Co się udało?

– Właśnie dostałem ostrzeżenie.

– Od Wyroczni?

– W istocie rzeczy – odrzekł. – Przez jakiegoś Błękitnego Diabła.

– W jaki sposób tak szybko cię odnaleźli?; Wzruszył ramionami.

– Pilnują mnie od chwili, gdy wyładowałem. – I zaprowadziłeś ich prosto do Łona?

– Nieumyślnie – powiedział Chandler. – A poza tym skontaktowali się ze mną, nie z tobą. Wiedzą, kto odpowiada za wydarzenia w Surowym Diamencie. Nie mają powodu, by podejrzewać cię o współuczestnictwo.

– Jeśli ujrzeli cię w Surowym Diamencie, to zobaczyli także mnie. Co właściwe powiedział Błękitny Diabeł?

– Że to co robię nie poskutkuje. – Przerwał. – To jej sposób powiadamiania mnie, abym tam po nią pojechał.

– Pochopnie wyciągasz wnioski.

– Nie sądzę.

– Może Błękitne Diabły próbują cię odstraszyć, zanim będą zmuszone przywieźć Wyrocznię na Przyszań Maracaibo.

Chandler pokręcił głową.

– Wierz mi, ta sprawa nosi podpis Wyroczni.

– Skąd jesteś tego taki pewien?

– Bo gdyby chciała, abym został zabity, Błękitne Diabły wiedzą, gdzie jestem. Posłałyby mi kulkę albo promień lasera, a nie rozmawiały przez wideofon. – Przerwał. – Ale jeśli ona chce, abym ją uwolnił, powiedziałyby mi to dokładnie w taki sposób.

– Dziś zabiłeś siedem Błękitnych Diabłów – stwierdziła Nefryt. – Czemu nie miałyby wziąć odwetu nie licząc się z jej życzeniami?

– Bo nakazała im, żeby tego nie robiły – powiedział Chandler. – I dlatego, że ona i tylko ona tak manipulowała okolicznościami, by uchronić ich przed wchłonięciem przez Demokrację.

– To wszystko nie ma sensu – orzekła Nefryt. – Najpierw mówisz o niej tak, jakby była więźniem, a teraz twierdzisz, że one boją się nie posłuchać jej rozkazów.

– Być może jedno i drugie nie wyklucza się wzajemnie – podsunął Chandler. – Być może tak długo, jak ona daje im prawdziwe informacje, pozwalają jej żyć... I gdyby kiedykolwiek wprowadziła je w błąd, zabiłyby ją. W tej sytuacji uznają, że wątpliwości należy interpretować na korzyść Wyroczni, bo inaczej musiałyby ją zabić, a one nie chcą tego robić, jeśli istnieją jakiegokolwiek inne możliwości wyboru. Prócz tego pomyśl o tym, co

zakomunikowała: brzmi to tak, jakby występowała z pozycji siły i próbowała mnie odstraszyć.

Nefryt milczała prawie całą minutę. Wreszcie popatrzyła Chandlerowi prosto w oczy.

– Nie możesz tam pojechać. – Jeszcze masz jakieś wątpliwości?

– Gdy byłeś w twoim pokoju, podłączyłam się do głównego komputera na Deluros.

– I?

– I kazałam mu uzyskać wszelkie dostępne informacje na temat Wyroczeni – kontynuowała. – Podał je z zastrzeżeniem, że są prawdziwe, jeśli to osoba znana niegdyś jako Wróżbiarka... Ale pewne szczegóły zgadzały się z tym, co mi o niej powiedziałeś.

– Co chcesz dowiedzieć? – zapytał Chandler.

– Gdy miała osiem lat, pozabijała wielu najlepszych łowców nagród z Wewnętrznej Granicy. A była wówczas tylko małą dziewczynką. Teraz dorosła i można spokojnie przyjąć, że jest jeszcze potężniejsza niż wtedy. – Popatrzyła zza biurka na Chandlera. – Zabiła ośmiu uzbrojonych łowców nagród jednego tylko popołudnia, na planecie zwanej Przystań Śmierci. Nie chcę mieć z nią nic wspólnego, ryzyko jest zbyt wielkie.

– Gdyby łatwo było ją porwać albo zabić, nagroda nie byłaby tak wysoka.

– Czy ty nie rozumiesz? – zapytała zawiedzionym tonem Nefryt. – Ta kobieta ma dość siły, by zaszachować całą Demokrację. Te Błękitne Diabły jeszcze nie ostygły, a ona już wie, że je zabiła. Jeśli jest trzymana na Hadesie wbrew swej woli, to twierdzą: brawo Błękitne Diabły i zostawmy ją tam. – Przerwała. – Błękitny Diabeł, który się z tobą skontaktował, dał ci dobrą radę: wracaj do domu.

– Najpierw mam robotę do wykonania – stwierdził Chandler. – A poza tym, czy nie ciekawi cię, jaka ona jest i co potrafi? Mnie, tak.

– Nie chcę być tą, która spuści ją z łańcucha na całą Galaktykę.

– Nie musisz mieć z tym nic wspólnego – perswadował. – Ja zaś potrzebuję tylko przedostać się nie zauważony na planetę.

– Ty też nie będziesz miał z tym nic wspólnego.

– Nie próbuj mnie powstrzymywać – powiedział groźnie.

– Nie pozwolę jej uciec z Hadesu – odparła zdecydowanie.

– Nie masz wyboru.

– Oczywiście mam – stwierdziła, wyciągając swój pistolet. – Już ci powiedziałam: nie jesteś jedynym zabójcą w tym pokoju. Przedtem pozwoliłam ci żyć, ale teraz obawiam się, że nie pozostawiłeś mi wyboru.

– Naprawdę zamierzasz mnie zabić?

– Naprawdę.

– A skąd wiesz, że nie steruje tobą Wyciecznia?

Królowa Nefrytu zmarszczyła brwi zastanawiając się nad pytaniem i w tym samym momencie, gdy się zamyśliła, Chandler zrobił szybki ruch ręką. Nefryt chrząknęła i wypuściła pistolet, gdy nóż zagłębił się w jej gardle.

Chandler podszedł do niej.

– Przykro mi – oświadczył. – Ale to ty chciałaś mnie zabić. – Jesteś głupcem – wyszeptała ochryple. – Zniszczyłeś nas wszystkich. – A potem osunęła się i umarła.

Zostawił ją na miejscu, zatrzymując się tylko na chwilę, by odzyskać nóż, a potem wrócił do swego pokoju, windą powietrzną zjechał do garażu i wyszedł w noc Przystani Maracaibo.

CZĘŚĆ 4

KSIĘGA ŁODZIARZA

Lodziarz przyleciał promem na planetę Philemon II, dotarł do miejsca swego przeznaczenia, którym był wielki, sześciokątny budynek, i pokazał w drzwiach jednorazową przepustkę. W środku podszedł natychmiast do komputera informacyjnego, zadał mu krótkie pytanie i ruszył do windy powietrznej. Musiał ponownie okazać przepustkę i poddać się skanowaniu siatkówki, a potem zjechał dwieście stóp pod powierzchnię planety.

Wysiadł w labiryncie błyszczących, jaskrawo oświetlonych korytarzy, zaczekał aż podejdzie do niego uzbrojony żołnierz, po raz trzeci pokazał przepustkę i został wprowadzony do małej poczekalni. Ledwie miał czas zapalić cygaretkę, gdy odsunęły się drzwi i pojawił się w nich następny żołnierz.

– Panie Mendoza, on pana teraz przyjmie.

Lodziarz wszedł do obszernego gabinetu. Żołnierz odstąpił na bok, a drzwi zasunęły się za nim.

– Carlos! – powiedział Trzydzieści Dwa, patrząc zza chromowego biurka i uśmiechając się szeroko. Ściana za nim pełna była pamiątek z całego życia, poświęconego służbie rządowej, włącznie z własnoręcznie zadedykowanym hologramem obecnego Sekretarza Demokracji. – Kopę lat.

– Dwadzieścia cztery lata, z dokładnością do miesiąca – odparł Lodziarz.

– Niezbyt się zmieniłeś.

– Chyba powinienes pójść na badanie wzroku – stwierdził Lodziarz. – Jestem sześćdziesięciopięcioletnim starcem z brzuszkiem i sztuczną nogą.

Trzydzieści Dwa uśmiechnął się.

– Nie, Carlosie, zupełnie się nie zmieniłeś – oświadczył. – Zawsze szczerzy do przesady, zawsze lekceważący powiedziane w najlepszej intencji komplementy. – Wydał komputerowi zwięzły rozkaz i podpłynął fotel. – Nie zechcesz usiąść?

– Nie zaproponujesz drinka? – zapytał Lodziarz, sadowiac się w fotelu.

– Co tylko chcesz.

– Cokolwiek mokrego. Jeśli nie zmieniłeś się radykalniej niż myślę, nie masz tutaj nic taniego.

Trzydzieści Dwa zachichotał na potwierdzenie.

– Może trochę brandy z Alpharda?

– Brzmi nieźle – stwierdził Lodziarz.

Trzydzieści Dwa podszedł do ściany, która zdawała się dokładnie zastawiona półkami na książki, nacisnął tam jakieś miejsce i znikła część holo graficzne go obrazu, ukazując w zamian dobrze zaopatrzony bar. Napełnił dwa kieliszki brandy, wręczył jeden Lodziarzowi i wrócił za biurko.

– Dzięki – powiedział Lodziarz.

– Nowy dostawca – poinformował go Trzydzieści Dwa, wygładzając jarzący się materiał drogiej, szytej na zamówienie marynarki, która odrobinę zmarszczyła się, gdy siadał. – Z napięciem oczekuję twojej reakcji.

Lodziarz wzruszył ramionami.

– Mam cały dzień do dyspozycji. Zawiadom mnie, gdy będziesz chciał mówić o interesach.

– Nigdy nie lubiłeś przelewać z pustego w próżne, prawda? – rzekł kwaśno Trzydzieści Dwa.

– To twoje pieniądze – oświadczył Lodziarz. – Truj sobie, ile chcesz. Ale gdy skończysz, mam nadzieję, że zdobędziesz się na wyjaśnienie, czemu obiecałeś mi trzy miliony kredytów za przybycie na Philemona II.

– Myślałem, że zgodzisz się przyjechać za mniejszą sumę – powiedział Trzydzieści Dwa. – Jak rozumiem, stałeś się bardzo bogaty.

– Daję sobie radę.

– Ale mimo wszystko zdecydowałeś się przylecieć za trzy miliony kredytów – zauważył Trzydzieści Dwa.

– To kupa pieniędzy za wycieczkę.

– Tam, skąd pochodzą, jest ich więcej.

– Zamieniam się w słuch – powiedział Lodziarz.

– Carlosie, zwała nam się na głowy trudna sprawa – zawiadomił go Trzydzieści Dwa.

– Kto to jest „my”?

– Wiesz dla kogo pracuję.

– Dobra, zwała wam się na głowy coś poważnego. A co to ma wspólnego ze mną?

– A więc, by być absolutnie szczerym, Carlosie, pracujesz dla mnie.

– A więc ty wysłałeś Bettinę Bailey, czy jak się tam naprawdę nazywa, na Ostatnią Szansę. – Przerwał. – Wiedziałem, że ktoś z Demokracji ją przysłała, ale nie wiedziałem kto.

– Tak. To ja – potwierdził Trzydzieści Dwa. – A ty przyjąłeś jej zlecenie.

– Pracuję nad nim.

– Ściślej mówiąc, pracuje nad nim Jozue Jeremiasz Chandler, alias Gwizdacz. Mam rację?

Lodziarz popatrzył na niego obojętnym wzrokiem.

– Nie widzę powodu, by ukrywać coś przed tobą w tej sprawie. Jest młodszy, silniejszy i znacznie szybszy ode mnie.

– Ale ja wynająłem ciebie.

– Ty nie wynająłeś nikogo. Zrobiła to twoja agentka, a ja wysłałem człowieka, który najlepiej nadawał się do tej roboty.

– No to może zainteresuje cię, że najlepszy do tej roboty człowiek wściekł się – powiedział Trzydzieści Dwa.

– Bardzo w to wątpię.

– Czy od chwili gdy dotarł do układu Alfya Crepello porozumiewałeś się z nim?

– Nie. Ale nie oczekiwałem tego, nie tak szybko. – Lodziarz opróżnił kieliszek, a potem zapalił zgasłe cygaro.

– Zdumiałbym się, gdyby jeszcze kiedykolwiek skontaktował się z tobą. Czy wiesz, co zrobił, gdy wylądował na Przystani Marrakesz?

– Przystani Marrakesz?

– Jeden z terraformowanych księżyców Alfya Crepello III.

– Nie – odrzekł Lodziarz.

– Zamordował najlepszego zabójcę na tym księżycu i przejął jego biznes. A potem przeniósł swą bazę operacyjną na Przystań Maracaibo, gdzie dwie noce temu zabił kobietę, kierującą większością burdeli i odpowiadającą za znaczną liczbę przestępstw, popełnionych na tamtym księżycu. – Trzydzieści Dwa przerwał. – Do diabła, Carlosie, ten człowiek stał się najgrubszą rybą wśród kryminalistów obu księżyców, i to ja go sfinansowałem!

– Nie mówisz mi wszystkiego – stwierdził Lodziarz.

– Oczywiście, że tak. To zostało stwierdzone.

– Znam Gwizdacza. On nie ma zamiaru porzucić swej planety; przyjmuje zlecenia tylko po to, by płacić za swoją dżunglę, w której mieszka.

– Mówię ci, że ten człowiek wystawił nas do wiatru – upierał się Trzydzieści Dwa. – Teraz on kręci interesem na własny rachunek.

– Przyhamuj na chwilę – powiedział Lodziarz. – On zaczął w taki sam sposób, jak ja bym to zrobił. Najpierw usadowił się na pierwszym księżycu. To powinno było rozproszyć wszelkie podejrzenia, jakie miałyby Penelopa, że przybył po nią, jemu zaś ułatwiłoby kupowanie informacji na jej temat. Najwyraźniej odniósł sukces. Tylko w takiej sytuacji nie miał powodu, by przenieść się na drugi księżyc.

– Stał się renegatem.

– Nie masz racji. Nie przebywał na pierwszym księżycu dość długo, by rozwinąć sensowną działalność. Coś spowodowało, że zmienił bazę operacyjną. – Popatrzył na Trzydzieści Dwa. – Coś, o czym musisz mi powiedzieć, jeśli ta rozmowa ma toczyć się dalej.

Trzydzieści Dwa odpowiedział mu spojrzeniem, a potem głęboko westchnął.

– Ktoś próbował go zabić.

– Jeden z twoich ludzi?

– Nie. Ale ktoś z Demokracji. Nie jesteśmy jedynym departamentem, który zajmuje się Wyrocznią.

– Dajże spokój – odrzekł z niedowierzaniem Lodziarz. – To byli twoi ludzie, a ty zdecydowałeś, że to najskuteczniejszy sposób, by go wyeliminować. – Przerwał. – Gwizdacz zaś odkrył, że próbujesz go wykończyć i przeniósł się na drugi księżyc. Dziwi mnie jedynie fakt, że nie zmienił tożsamości.

– Zmienił.

– To skąd wiesz, że tam jest?

– Zabił kobietę, znaną jako Królowa Nefrytu. Szereg pracujących dla niej ludzi podało nam jego rysopis.

– Rozumiem z tego, że nie złapaliście go?

– Zniknął – powiedział Trzydzieści Dwa. – Ale jego ponowne pojawienie się to tylko kwestia dni. Nie miał dość czasu, by umocnić tam swą władzę.

Lodziarz był wyraźnie rozbawiony.

– Widzę, że z latami nic nie zmądrzałeś.

– A według ciebie, gdzie on się pojawi?

– W tej chwili jest już zapewne na Alfie Crepello III.

– To czemu zabił Królową Nefrytu?

– Nie mam pojęcia.

– Nie rozumiem – orzekł Trzydzieści Dwa. – Wszystkie jego poczynania od chwili, gdy tam przybył, były skierowane na przejęcie kierownictwa struktur kryminalnych na tamtych dwóch księżycach.

– Myśl sobie, co chcesz – powiedział nonszalancko Lodziarz. – Nie przyjechałem tutaj, by się z tobą wyklócać.

– Przyjechałeś tu, bo ci zapłaciłem.

– Zgadza się – potwierdził Lodziarz. – A jedyne, co mogę zrobić za trzy miliony kredytów, to uprzejmie wysłuchiwać, jak pleciesz bez sensu.

– Słuchaj – odezwał się z irytacją Trzydzieści Dwa – powiedziałem ci, że mamy problem. Nawet jeśli to prawda, że on już dotarł na Alfę Crepello III, nadal mamy problem.

– Nadal cię słucham.

– Przyszło z góry polecenie, byśmy nie ryzykowali wyciągania stamtąd Wyroczni. Nowe rozkazy brzmią: wykończyć ją.

– Życzę ci szczęścia – powiedział Lodziarz.

– Potrzeba mi więcej, niż tylko szczęścia – stwierdził Trzydzieści Dwa.

– Potrzebuję wyników. – Przerwał. – Czy Gwizdacz ją zabije?

– Tylko wówczas, gdy nie znajdzie sposobu, by ją wydostać – odrzekł Lodziarz. – Jeśli to umknęło twojej uwagi, przypominam ci, że za to właśnie zapłaciłeś.

– Czy możesz się z nim skontaktować i zawiadomić, że sytuacja się zmieniła? – zapytał Trzydzieści Dwa. – Bo po tym, co wydarzyło się na Przystani Marrakesz, mnie nie uwierzy, chociaż nie mam nic wspólnego z zamachem na niego.

– Wątpię – stwierdził z namysłem Lodziarz. – Jeśli jest na planecie, zostanie w ukryciu, póki nie dotrze do Wyroczni. Najlepsze, co możesz zrobić, to wysłać przeciw niej kogoś innego i mieć nadzieję, że twój nowy agent pierwszy ją znajdzie.

– Wysłałem ośmiu ludzi – powiedział Trzydzieści Dwa. – Pierwszych siedmiu zabito.

– A co z ósmym? Trzydzieści Dwa skrzywił się.

– Ōsmym kryminalistą, którego wypuściłem z więzienia. Błyskotliwy pianista, brutalny morderca. – Trzydzieści Dwa przerwał. – Naszpikowałem go elektroniką: kamera w oku, radiostacja w uchu, nawet bomba w czaszce, by go trzymać na smyczy.

– I?

– Sukinsyn znalazł sposób, by mnie wyłączyć! – rzucił z wściekłością Trzydzieści Dwa. – Już wymusił ode mnie więcej pieniędzy, a teraz działa bez żadnych instrukcji i ograniczeń!

– Już go polubiłem – wyszczerzył zęby Lodziarz.

– Dostał także rozkaz, by zabić twójego człowieka, jeśli ten pojawi się na Hadesie.

– Hadesie?;

– To miejscowa nazwa Alfya Crepello III.

– Czemu miałby zabijać Gwizdacza?

– Bo Demokracja zdecydowała, że woli widzieć ją martwą, niż żywą i grasującą w Galaktyce.

– To się nie uda – stwierdził po namyśle Lodziarz. – Gwizdacz jest jednym z najlepszych. Twój człowiek nie dotknie go nawet czubkiem palca.

– Nie obchodzi mnie, czy go zabije, czy nie! – warknął Trzydzieści Dwa.

– No to nie wiem, na czym polega twój problem.

– Do diabła, Carlosie... Mam tam dwóch ludzi. Jeden ma próbować ją wyciągnąć, czego teraz absolutnie sobie nie życzymy. Drugi wie, że na jakimś tajnym koncie, którego nawet ja nie zdołałem wysledzić, złożono dziesięć milionów kredytów i wie też, że jeśli wpadnie nam w ręce, czeka go wyrok śmierci. – Przerwał, próbując się opanować. – Moim zadaniem jest wykończyć Wyrocznię i nie mam żadnych powodów, by wierzyć, że któryś z tych ludzi na Hadesie tego dokona.

– Być może masz rację – przyznał spokojnie Lodziarz. – Wygląda na to, że zmarnowałeś kupę pieniędzy.

– To po części twoja wina – oskarżył go Trzydzieści Dwa.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Jest tylko jeden człowiek, który na tyle zna Penelopę Bailey, że mógłby wykonać zadanie. Carlosie, to ciebie wynająłem; jeśli wzięłeś pieniądze, powinieneś zająć się tym osobiście.

– Jestem starym, kulawym grubasem – odrzekł Lodziarz. – Zdobyłem

dla ciebie najlepszym człowiekiem.

– Może jest najlepszym zabójcą, ale nie zna jej. A ty znasz.

– Posłuchaj – rzekł Lodziarz. – Ja pragnę jej śmierci bardziej nawet niż ty. Zabiła kogoś, kto mnie obchodził i przez nią nie mam nogi. – Zgasił cygaro. – Ale znam też jej zdolność wyrządzania szkód. Ona jest potencjalnie najniebezpieczniejszą istotą w całej cholernej Galaktyce, może nawet w całej historii Galaktyki. Dlatego odrzuciłem szansę osobistej zemsty, wynajmując dla ciebie człowieka najlepszego do wykonania tego zadania.

– No i nie wykonuje go. Zabija kryminalistów i przejmuje władzę nad nimi.

– Założę się o trzy miliony, które mi obiecałeś, że albo już znajduje się na Hadesie, albo jest w drodze.

– Nawet jeśli masz rację, on jej nie zabije.

– Nie od razu – zgodził się Lodziarz.

– Znasz jej możliwości – przypomniał Trzydzieści Dwa. – Jeśli ona wie, że Chandler tam jest i zechce z nim odlecieć, jakie będzie miał szansę, by ją zabić?

– Prawie zerowe.

– Mój własny człowiek może zdoła przekraść się do niej – kontynuował Trzydzieści Dwa – ale nie ma powodu, by to zrobić. Zapłacono mu mnóstwo pieniędzy, więc nie ma motywu, by znów się ze mną skontaktować.

– Do niej nie można się przekraść – sprzeciwił się Lodziarz. – Ona nie musi kogoś zobaczyć, aby wiedzieć, że jest w pobliżu. Potrafi widzieć, co się ma wydarzyć, a jeśli jej się to nie spodoba, potrafi to zmienić.

– Widzisz? – powiedział Trzydzieści Dwa. – Takich właśnie rzeczy nie wie Gwizdacz ani Jimmy Dwa Pióra! Dlatego potrzebny mi jesteś ty!

– Jimmy Dwa Pióra? – powtórzył zaskoczony Lodziarz. – Nasłałeś na nią Indiańca?

– Znasz go?

– Tylko słyszałem o nim. Nałogowo żuje nasiona.

– Dlatego właśnie naładowałem go elektroniką.

– No to możesz o nim zapomnieć – orzekł Lodziarz. – Jeśli nie masz go pod kontrolą, to on leży gdzieś odurzony.

– Na Hadesie nie ma nasion. Lodziarz wlepił w niego wzrok.

– Ty naprawdę w to wierzysz, prawda?

– Monitorujemy wszystkie ładunki towarowe na Hades. – Jeśli istnieje planeta, na którą nie można przemyścić nasion, to jeszcze nie została odkryta.

– To się wszystko nie trzyma kupy – orzekł Trzydzieści Dwa. – Jeśli on jest na haju od nasion, tym bardziej musisz tam pojechać.

– Niczego nie muszę – powiedział Lodziarz. – Płacisz mi trzy miliony kredytów za to, że cię wysłucham i nic więcej.

– Mogę ci zaproponować znacznie więcej. – Jestem bogaty. Nie potrzebuję pieniędzy.

– Masz szansę zemścić się.

– Człowiek nie mści się na huraganie lub burzy jonowej – oświadczył Lodziarz. – To siła natury. Jeśli przeżyjesz spotkanie z nimi, możesz uważać się za szczęściarza i starasz się, by to się nigdy nie powtórzyło. – Przerwał na chwilę. – Penelopa jest tym samym: siłą natury. Z rozkoszą patrzyłbym, jak ktoś ją zabija, ale nie jestem na tyle głupi, by zgłosić się na ochotnika. Próbowałem tego, gdy byłem znacznie młodszy i mocniejszy i miałem szczęście, że wyszedłem z tego z życiem.

– To, co mówisz, brzmi bardzo chłodno i beznamyślnie – zauważył Trzydzieści Dwa. – Ale zebrałem wszelkie dane o tobie, Carlosie. Przez czternaście lat chodziłeś każdym tropem, który zdołałeś złapać. Szukając jej przemierzyłeś całą Wewnętrzną Granicę. Nie tak zachowuje się człowiek, który boi się stanąć z nią ponownie twarzą w twarz.

– Na początku polowałem na nią z całą pasją – przyznał Lodziarz. – Nie zaprzeczam. Ale człowiek nie może przez czternaście lat żyć nienawiścią. Po pewnym czasie krew stygnie, a namiętność wygasa. Pod koniec polowałem na nią bardziej z ciekawości, niż z nienawiści. Chciałem dowiedzieć się, kim się stała, jak zdołała ukrywać się przez te wszystkie lata, jakie miała plany.

– Ona znajduje się zaledwie w odległości dwóch układów planetarnych stąd – powiedział Trzydzieści Dwa. – A ty nadal nie znasz odpowiedzi na te pytania.

– Gdy będzie gotowa do działania, dowiemy się tego wszyscy. Trzydzieści Dwa dopił brandy i zza biurka popatrzył na Lodziarza.

– Nie możemy sobie pozwolić na dowiadywanie się – stwierdził. – Musimy zabić ją teraz.

– Może ona chce tylko, aby dać jej spokój.

– Gdybyś ty miał te zdolności, czy chciałbyś, aby ci dano spokój i pozwolono żyć w ukryciu?

– Nie, ale...

– Ale, co?

– Ale ja jestem człowiekiem – powiedział Lodziarz. – Ona zapewne nie, już nie.

– Tym bardziej należy ją zlikwidować.

– To ty tak uważasz.

– Dziesięć milionów kredytów – oświadczył Trzydzieści Dwa. Lodziarz nie odpowiedział, tylko wlepił wzrok w ścianę.

– No? – ponaglił Trzydzieści Dwa.

– Siedź cicho – odparł Lodziarz. – Myślę.

– Liczysz wydatki?

– Powiedziałem, żebyś siedział cicho!

Trzydzieści Dwa spojrzał na Lodziarza, a potem wzruszył ramionami i zamilkł.

– Macie do czynienia z wielkim problemem.

– To starałem ci się cały czas wytłumaczyć. Lodziarz potrząsnął głową.

– Nie tym, o którym myślisz.

– O czym ty mówisz?

– Tyle czasu upłynęło od chwili, gdy ją ostatni raz widziałem...

– mruknął Lodziarz. – Masz dwóch ludzi na Hadesie...

– Wiemy tylko o jednym.

– Uwierz mi na słowo, masz tam dwóch – stwierdził Lodziarz.

– No dobra, przyjmijmy, że tak jest – zgodził się Trzydzieści Dwa.

– A co w ogóle z tego wynika?

– Czemu jeszcze żyją?

Trzydzieści Dwa zrobił zakłopotaną minę.

– Nie rozumiem twojego pytania.

– Czemu statek Indiańca nie rozbił się przy lądowaniu? A Gwizdacz mógł zabijać wszystkich, których pozabijał na księżycach?

– Ty myślisz, że ona chce, by żyli? – zapytał Trzydzieści Dwa. – Dlaczego?

– Potrafię pomyśleć tylko o jednej przyczynie – odrzekł Lodziarz. –

Just tam wbrew swejej woli i chce, aby ją oswobodzili.

– Wbrew swejej woli? – powtórzył Trzydzieści Dwa. – Jak to możliwe?

– Nie wiem... ale wiem, że gdyby nie chciała wyjechać, Indianiec nie pożyłby długo po wyłączeniu twoich maszynek. Chirurg kichnąłby albo drgnął w niewłaściwym momencie i Jimmy by nie przeżył. – Przerwał. – Miałaś rację. Jeśli nie umiesz odwołać Gwizdacza, musisz go zabić. Indiańca zapewne też. Jeśli ona chce opuścić Hades, musisz to uniemożliwić.

– Mam rozkaz, by ją zabić.

– Pieprzyć twoje rozkazy – oświadczył Lodziarz. – Miałaś ją, gdy liczyła sobie sześć lat i nie potrafiłaś jej nawet wówczas utrzymać. Ja próbowałem ją zabić, gdy miała osiem lat i też mi się nie udało. Ale obecnie mieszkańcy Hadesu zdołali jakimś sposobem zatrzymać Wyrocznię u siebie wbrew swejej woli, pomimo tego, że swejej zdolności z pewnością dojrzały. – Popatrzył Trzydzieści Dwa w oczy. – Wypuść ją z tamtej planety i piekło się rozszałeje. Do podbicia planety niepotrzebna swejej marynarka wojenna; wystarczy, gdy wybierze jedną z miliona możliwości, przyszłość, w której wybucha słońce owej planety lub wbija się w nią meteoryt. Daj swejej armię pięciu tysięcy ludzi, a wygra każdą bitwę przeciw każdemu wojsku w Galaktyce, po prostu wybierając taki wynik swejej potyczki, jakiego zechce. Zapewne nie można swejej zabić, ale można ją zamknąć... Tamci właśnie trzymają ją w zamknięciu.

– Jeśli masz rację, to warunki do swejej zamordowania są znakomite – nie ustępował Trzydzieści Dwa.

– Nadal nie rozumiesz – powiedział Lodziarz. – Załóżmy, że ona jest zamknięta w celi. Jeśli spróbujesz do swejej strzelić, ona zakaszle, kichnie, drgnie albo zrobi cokolwiek innego, co przyniesie przyszłość, w której odstrzelisz zamek w drzwiach.

– Ale nadal musimy próbować.

– Nie! – warknął Lodziarz. – Raz na zawsze spróbuj zrozumieć to, co ci mówię: tamci znaleźli sposób na trzymanie swejej w izolacji. Byliśmy szaleni, próbując w tym przeszkadzać.

– Ale nie możemy po prostu siedzieć na tyłkach i nic nie robić! – zaprotestował Trzydzieści Dwa.

– Mogliśmy, póki nie wynająłeś mnie i nie wysłałeś do swejej Indiańca – stwierdził Lodziarz. – Ale jak powiedziałem, powstał przez to wielki

problem. Pierwszy, który do niej dotrze, uwolni ją czy chce, czy nie. – Przerwał na bardzo długą chwilę. – Przelej dziesięć milionów na moje konto – powiedział niechętnie. – Będę musiał ich odnaleźć.

- Myślałem, że nie chcesz się w to w ogóle mieszać.
- Nie chcę – odrzekł Lodziarz. – Ale tylko ja mogę odwołać Gwizdacza. A on zabije każdego, kogo przyślesz.
- A co z Indiańcem?
- Jeśli jest na nasionach, odleciał gdzieś w krainę marzeń... A jeśli popróbuje zabić Gwizdacza, będziesz mógł pogrzebać to, co z niego zostanie.
- Ale jeśli jest trzeźwy i nie zdoła znaleźć Gwizdacza, wybierze się po Wyrocznię.
- Wtedy będę musiał go odnaleźć i powstrzymać.
- Jak sam podkreśliłeś, jesteś starym, jednonogim grubasem – powiedział Trzydzieści Dwa. – Czemu wyobrażasz sobie, że potrafisz go powstrzymać?
- Nie będzie wiedział, po co się tam znalazłem i nie ma powodu, by mnie zabijać – odrzekł Lodziarz. – I mam nadzieję, że u mojego boku stanie Gwizdacz. – Rzucił ponure spojrzenie siedzącemu za biurkiem Trzydzieści Dwa. – Masz jeszcze tylko jedną możliwość.
- Jaką?
- Wysadzić całą tę cholerną planetę... I dokonać tego za pomocą samosterujących okrętów, zaprogramowanych w odległości tysięcy lat świetlnych.
- Nie mamy prawa zabijać dwustu milionów Błękitnych Diabłów tylko po to, by pozbyć się kogoś, kto może stanowić groźbę! – zaprotestował Trzydzieści Dwa.
- W przeszłości robiliśmy znacznie gorsze rzeczy – zwrócił uwagę Lodziarz.
- Nie chcę przejść do historii jako maniakałny ludobójca!, Lodziarz westchnął.
- Wobec tego będę musiał udać się na Hades i postarać się odnaleźć Gwizdacza oraz Indiańca, zanim oni znajdą Wyrocznię.
- A dlaczego wyobrażasz sobie, że ona pozwoli ci wylądować?
- Znajdę sposób.

Trzydzieści Dwa długo zastanawiał się nad wszystkim, co usłyszał,

wreszcie zakłopotany potrząsnął głową.

– Po prostu nie wiem – powiedział w końcu. – Gdy ty to wykładasz, brzmi rozsądnie... – Westchnął. – Ale przecież oczekuje się, że zorganizuję skuteczny zamach na Wyrocznię, a my tu siedzimy i dyskutujemy jak uniemożliwić dwóm zabójcom dotarcie do niej.

– Jak sobie chcesz – oświadczył Lodziarz. – Jestem starym człowiekiem. Mogę sobie wyobrazić, że dożyję moich dni, zanim ona wyróci Demokrację flakami na wierzch. – Wstał z miejsca. – Wracam na mój statek. Pozostanę na orbicie jeszcze przez dziesięć godzin. Jestem pewien, że zarejestrowałeś naszą rozmowę; odtwórz ją temu, kto może zmienić twoje rozkazy. Jeśli do tej pory nie będę miał od ciebie wiadomości, przyjmę, że nadal chcesz próbować ją zabić i wrócę na Ostatnią Szansę.

W pięć godzin później Demokracja przelała dziesięć milionów kredytów na rachunek Lodziarza na Ostatniej Szansie.

Dziesięć minut później Lodziarz uruchomił swój statek i wyruszył na Hades, zastanawiając się, czy pożyje dość długo, by wydać choć jednego kredytu ze swoich pieniędzy.

Gdy zbliżał się do planety, ożyło jego radio.

– Zbliżasz się do Alfya Crepello III – odezwał się głos z obcym akcentem. – Proszę podać swoje dane.

– Tu „Mysz Kosmosu”, numer rejestracyjny 32K1023, pięć standardowych galaktycznych dni po starcie z Ostatniej Szansy via Philemon II, dowódca Carlos Mendoza.

– Alfa Crepello III jest zamknięta dla nie upoważnionych przyjezdnych.

– Chcę rozmawiać z kierownikiem.

– To niemożliwe.

– Mam mu do przekazania informację o kluczowym znaczeniu. – Jaki to rodzaj informacji?

– Moja informacja nie jest przeznaczona dla podwładnych – odrzekł Lodziarz. – Muszę rozmawiać z twoim przełożonym.

– Wyjaśniłem, że to niemożliwe.

– To podaj mi swoje nazwisko i wojskowy numer identyfikacyjny – zażądał Lodziarz. – Chcę wiedzieć, kto zawinił, gdy twój dowódca zapyta, czemu się z nim nie skontaktowano. Przez chwilę panowała cisza.

– Proszę zaczekać – usłyszał wreszcie Lodziarz.

Pozwolił sobie na luksus uśmiechu i otworzył puszkę piwa, oczekując aż jego żądanie zostanie przekazane drogą służbową komuś, kto wreszcie przyjmie na siebie odpowiedzialność.

Trwało to jedenaście minut.

Wówczas na ekranie Lodziarza pojawił się obraz Błękitnego Diabła w ubraniu z błyszczącymi kamieniami, które Lodziarz uznał za ordery.

– Jestem Praed Tropo – oświadczył Błękitny Diabeł.

– Dowodzisz tutaj?

– Zajmuję kierownicze stanowisko. Jaką informację chcesz mi przekazać?

– Jest bardzo poufna – odparł Lodziarz. – Wolalbym porozmawiać z tobą osobiście.

– Nie wolno ci lądować na Alfie Crepello III.

– Nawet dla uratowania życia Wyroczeni? – zapytał Lodziarz. Wyraz twarzy Błękitnego Diabła nie zmienił się, ale jego głos obniżył się o

oktawę.

– Kontynuuj – powiedział.

– Pewien człowiek, zabójca, znajdujący się obecnie na Alfie Crepello III, został wynajęty do zlikwidowania Wyroczni. Ów morderca nie pracuje dla Demokracji. Prawdę mówiąc, ponieważ Demokracja nie chce zostać wciągnięta w incydent międzyplanetarny, obarczyła mnie zadaniem powstrzymania go. Aby tego dokonać, potrzebuję waszej pomocy.

– Wyrocznia nie jest w niebezpieczeństwie – odparł Praed Tropo. – Nie można wyrządzić jej krzywdy.

– Demokracja kontroluje ponad pięćdziesiąt tysięcy planet, on zaś jest najlepszym mordercą ze wszystkich tych światów – oświadczył Lodziarz. – Czy nadal zamierzasz podjąć takie ryzyko?

– Jeśli jest najlepszy, jak chcesz go powstrzymać?

– Nie chcę – odrzekł Lodziarz. – Jestem człowiekiem starym, dawno przekroczyłem szczyt swoich możliwości. Ale znam jego metody i potrafię go zidentyfikować. Mam nadzieję, że uzyskam waszą pomoc, aby go aresztować.

– Przekaż nam jego hologram i retinogram, a my zajmiemy się nim – powiedział Praed Tropo.

– Dostanę dziesięć milionów kredytów, jeśli go aresztuję – odparł Lodziarz. – Jeśli zaś przekażę wam moje zadanie, to Demokracja nie wypłaci mi tej sumy. Albo pracujemy razem, albo wracam na Ostatnią Szansę i niech wasza Wyrocznia sama ryzykuje.

– Czemu miałbym ci wierzyć? – zapytał Praed Tropo.

– Możesz uzyskać potwierdzenie tego, co mówię, u człowieka, który mnie wynajął – stwierdził Lodziarz.

– Czemu miałbym wierzyć jakiemukolwiek człowiekowi? Oczekiwał tego pytania. Teraz nadszedł czas zagrania kartą atutową, złożenia propozycji, której stawką było jego życie.

– Z przyjemnością dam wam się zaaresztować do chwili, gdy przekonacie się, że mówię prawdę. Z pewnością macie jakiś odpowiednik wykrywacza kłamstw; chętnie poddam się przesłuchaniu z monitorowaniem przez dowolny mechanizm tego rodzaju.

– Będę potrzebował czasu, by się nad tym zastanowić – oświadczył Praed Tropo.

– Rozumiem – powiedział Lodziarz. – Ale musisz wziąć pod uwagę,

że każda minuta zwłoki gra na korzyść mordercy.

A im mniej będziesz miał czasu na obmyślenie pytania, na które nie jestem przygotowany, tym lepiej, dodał w myślach. Tym razem cisza trwała mniej niż pół minuty.

– Nadamy koordynaty lądowania dla twojego statku – zawiadomił Praed Tropo. – Wszystkie systemy broni muszą zostać rozbrojone albo cię zniszczymy.

– Nie posiadam systemów broni – odpowiedział Lodziarz.

Około czterdziestu minut później Lodziarz wylądował w wojskowym kosmoporcie, wyszedł na niewiarygodnie gorące powietrze Hadesu i został natychmiast zatrzymany przez oddział Błękitnych Diabłów. Pomaszerowały z nim do pobliskiego budynku, gdzie oczekiwał go Praed Tropo.

– Zdajesz sobie sprawę, że jeśli odkryjemy, iż okłamałeś nas, zostaniesz uwięziony i prawdopodobnie stracony. – Tak powitał go Praed Tropo.

– Owszem – odparł Lodziarz. – Ale gdy tylko przekonacie się, że mówię prawdę, wierzę, że chętnie będziecie ze mną współpracować.

– To się zobaczy.

– Słuchaj – powiedział Lodziarz – ja jestem tylko niezależnym biznesmenem, który stara się poszerzyć swoją niezależność. Osobiście nic mnie nie obchodzi, czy wasza Wyrocznia przeżyje milion lat, czy umrze jutro.

– A co to mnie obchodzi? – zapytał Praed Tropo.

– Próbuję ci wytłumaczyć, że możecie mi ufać, ponieważ kieruje mną najbardziej podstawowe uczucie człowieka: chciwość. Nie mam ani jednego powodu, by kłamać i wszelkie, by mówić prawdę.

– Jeśli rzeczywiście mówisz prawdę, nie masz o co się martwić – odparł Praed Tropo. – Chodź za mną.

Ruszył korytarzem, Lodziarz zaś, ciągle otoczony przez oddział Błękitnych Diabłów, podążył za nim. Ów korytarz nie był podobny do żadnego, jaki w życiu widział; wyglądał tak, jakby zaprojektował go pijany architekt, a zbudowali wariaci. Sufit to wznosił się na wysokość piętnastu stóp, to znów opadał tak nisko, że musieli iść pochyleni, by nie porzbić sobie głów, a potem znów się wznosił. Zygzakował bez żadnego widocznego powodu, po drodze nie mijali żadnych drzwi ani pokoi i

wreszcie, gdy Lodziarzowi wydawało się, że pokonali bardzo dziwnie nakreślone koło i zaraz znajdują się w miejscu startu, korytarz nagle zakończył się obszernym pomieszczeniem.

Jego ściany stykały się pod dziwnymi kątami, a sufit podnosił się i opadał jak fale na wzburzonej oceanie. Pod przeciwległą ścianą stały szeregiem dziwne maszyny, jakich Lodziarz nigdy nie widział, a koło jednej z nich znajdowało się krzesło. Nie było skonstruowane dla człowieka, ale przyjrawszy mu się Lodziarz zdecydował, że byłoby równie niewygodne dla Błękitnego Diabła.

Podprowadzono go do krzesła i kazano usiąść. Następnie Praed Tropo umieścił mały metalowy krążek na karku Lodziarza i drugi na lewym nadgarstku. Cztery Błękitne Diabły wycelowały w niego broń.

– Teraz rozpoczniemy przesłuchanie – oświadczył Błękitny Diabeł. – Jeśli skłamiesz, otrzymasz prawie śmiertelną dawkę, która dotknie twych centrów nerwowych. Czy rozumiesz?

– Tak – odrzekł Lodziarz.

– Jeśli spróbujesz ucieczki, nim przesłuchanie będzie zakończone, zostaniesz zastrzelony. Czy rozumiesz? – Tak.

– Bardzo dobrze – odrzekł Praed Tropo. – Jak się nazywasz?

– Carlos Mendoza.

– Na której planecie mieszkasz?

– Na Ostatniej Szansie.

– Ostatnia Szansa nie znajduje się w naszych wykazach. – Jej oficjalna nazwa brzmi Madison IV.

– Po co tu jesteś, Mendoza?

Oto nadchodzi, pomyślał Lodziarz. Zachowaj spokój, nie podniecaj się i starannie dobieraj słowa. Zrób to we właściwy sposób i możesz pokonać tę maszynę.

– Przybyłem na Alfę Crepello III, by uniemożliwić mordercy nazwiskiem Chandler wykonanie jego zadania.

Oczekiwał uderzenia prądu i odprężył się, gdy to nie nastąpiło.

– Jakie jest zadanie Chandlera?

– Jest to najemny morderca, który przybył tu po Wyrocznię.

– Skąd o tym wiesz?

Ostrożnie, napomniął się w duchu.

– Jestem w zażytych stosunkach z człowiekiem, który go wynajął.

– A kto wynajął ciebie, abys umożliwił mu wykonanie jego zadania?

– Wysoki urzędnik Demokracji. Nie znam jego prawdziwego nazwiska, ale znany jest pod pseudonimem Trzydzieści Dwa. W tej chwili znajduje się na Philemonie II. Zaproponował mi dziesięć milionów kredytów, jeśli wykonam moją misję.

– W jaki sposób ten Chandler zdołał wylądować na Alfie Crepello III bez naszej wiedzy? – zapytał Praed Tropo.

– Nie wiem.

– Gdzie się teraz znajduje?

– Nie wiem.

– Ale wiesz z pewnością, że otrzymał zadanie zamordowania Wycrochni?

Przerwij. Odetchnij głęboko. Precyzyjnie skonstruuj odpowiedź. Pomyśl, uspokajaj się Lodziarz.

– Wiem, że jeśli okoliczności będą mu sprzyjały, spróbuje ją zabić.

Lodziarz znowu oczekiwał śmiertelnego wstrząsu, ale nic takiego nie nastąpiło.

– Czy spotkałeś osobiście tego Chandlera? – Tak.

– I potrafisz go zidentyfikować?

– Tak.

– Co nam z tego przyjdzie, jeśli zgodnie z tym, co powiedziałaś, jest on mistrzem maskowania się?

– Znam jego metody. Zawsze go rozpoznam.

– Czy jesteś tego całkowicie pewien? – zapytał Praed Tropo.

– Nie masz co do tego cienia wątpliwości?

– Jestem tego absolutnie pewien – powtórzył Lodziarz. – Nie mam co do tego cienia wątpliwości. – Przerwał. – Jeśli to były właściwe odpowiedzi, czy możesz mnie teraz odłączyć od maszyny? Przywiązałeś mnie do niej w bardzo niewygodnej pozycji i obawiam się, że możesz niewłaściwie zinterpretować moje podrażnienie jako fałszywe odpowiedzi.

– Zostaniesz odłączony, gdy skończę cię przesłuchiwać – odpowiedział Praed Tropo. – I ani chwili wcześniej.

Trzykrotnie zadał Lodziarzowi te same pytania co poprzednio, a potem poprosił o podanie listy znanych ofiar Chandlera.

– Wygląda na bardzo groźnego – przyznał wreszcie Błękitny Diabeł.

– Uważa się, że jest najlepszy – odparł Lodziarz.

– Nadal nie rozumiem, czemu Demokracja próbuje go powstrzymać.

Wydaje się, że w ich najlepiej pojętym interesie byłoby zamordować Wyrocznię. To ona i tylko ona zapewniła nam niepodległość.

Początkowo Lodziarz zamierzał milczeć, gdyż nie zadano mu żadnego pytania. A potem zrozumiał, że lepiej będzie, jeśli odpowie, zanim pytanie zostanie „formułowane w podchwytliwy sposób.

– Zapewniam cię, że Demokracja nie życzy sobie, aby misja Chandlera się powiodła. Jak rozumiem, próbowali go zabić na Przystani Marrakesz, ale udało mu się przeżyć.

Praed Tropo przyglądał mu się przez długą chwilę.

– Zapytam cię raz jeszcze, wprost: Czy Demokracja wynajęła tego mordercę, by zabił Wyrocznię?

„Tego” mordercę. Skoncentruj się na słowie „tego”, przeleciało przez głowę Lodziarzowi. Oni nie mają na myśli Indiańca. Nigdy o Indiańcu nie słyszeli. „Tym” mordercą jest Gwizdacz. Tylko Gwizdacz. A ja mu powiedziałem, by ją zabił, jeśli nie zdoła jej stąd wyciągnąć. Demokracja nic o tym nie wiedziała. Chcieli dostać ją żywą. Ten zaś mówi tylko o Gwizdaczu. Nie Indiańcu. Tylko Gwizdaczu, i to ja wydałem mu to polecenie, nie Demokracja.

– Wahasz się z odpowiedzią – stwierdził Praed Tropo. – Czy Demokracja wynajęła tego mordercę, by zabił Wyrocznię?

– Nie – odrzekł Lodziarz.

– Raz jeszcze: Czy Demokracja wynajęła tego mordercę, by zabił Wyrocznię?

– Nie.

No i już. Dowiedzieliście się ode mnie wszystkiego, co możliwe. Nie ma sensu wypytywać o Wyrocznię. Jestem tylko skromnym informatorem. Jak mógłbym coś o niej wiedzieć? Zapewne nie wiem nawet, czy jest człowiekiem, czy może Błękitnym Diabłem. Czemu miałbym znać Wyrocznię? Nikt nigdy nie opowiadał mi o jej zdolnościach. Tylko nie pytaj mnie o nią, a wygrałem, nakazywał mu w myślach Lodziarz. Tylko nie pytaj o Wyrocznię...

– Czy wiąże cię jakaś lojalność wobec Demokracji?

– Żadna.

– Gdyby od ciebie zażądali, byś dla nich kłamał, czy zrobiłbyś to?

- To zależy.
- Od czego to zależy?
- Od tego, jakie korzyści miałbym osiągnąć z kłamstwa.
- Korzyści ekonomiczne? – Tak.
- A czy skłamałeś podczas przesłuchania?

Ma na myśli: podczas tego przesłuchania. Nie rozumie przez to niczego, co powiedziałem ze statku. To oczywiste. Ma na myśli, czy skłamałem będąc podłączony do maszyny. Pytanie odnosi się wyłącznie do tego przesłuchania, tylko do maszyny, przekonywał sam siebie.

– Nie.

Praed Tropo sprawdził maszynę, a potem kiwnął głową do jednego ze swych podwładnych, który usunął krążki z karku i nadgarstka Lodziarza.

Lodziazar wstał, nagle zdał sobie sprawę, jak niewygodne było krzesło i rozprostował pokurczone mięśnie.

- Zadowolony? – zapytał.
- Chwilowo – odparł Praed Tropo.

– To lepiej weźmy się do roboty, bo Chandler ma wobec nas cholerny awantaz.

– Awantaz?

– Wyprzedzenie – wyjaśnił Lodziazar. – Jest tu od szeregu dni. Sądzę, że w tej chwili znajduje się blisko Wyrocni.

– Wyrocni nic nie grozi – orzekł Praed Tropo.

– Już ci powiedziałem, że ten człowiek jest najlepszym mordercą w całej Demokracji.

– To nie ma znaczenia. Wyrocni nie można zabić. Lodziazar dostrzegł możliwość wykazania swej ignorancji co do osoby Wyrocni i natychmiast ją wykorzystał:

– Każdego Błękitnego Diabła można zabić.

Praed Tropo wykrzywił się. Lodziazar uznał, że to oznaka rozbawienia.

– Ona nie należy do naszej rasy – oświadczył – lecz do waszej.

– To co w takim razie robi na Alfie Crepello III?

– Tego nie musisz wiedzieć.

– Jeśli więc jest człowiekiem, tym bardziej należy ją chronić – powiedział Lodziazar. – Jediną rzeczą, na której Chandler naprawdę się zna, jest zabijanie ludzi.

– On nie może jej zabić – powtórzył Praed Tropo.

– Jeśli jesteś tego tak cholernie pewien, to czemu pozwoliłeś mi wyłudować? – zapytał Lodziarz.

– Bo po planecie chodzi morderca i trzeba go aresztować. Lodziarz zmusił się do zrobienia zdziwionej miny.

– Ale jeśli jesteś przekonany, że on nie może zabić Wyroczeni, to czemu...?

– Bo może zabijać tych członków mojej rasy, którzy na co dzień kontaktują się z Wyrocnią.

– Dlaczego twierdzisz, że Wyroczeni nie można zabić?

Praed Tropo puścił jego pytanie mimo uszu i poprowadził Lodziarza z powrotem długim, wariacko wijącym się korytarzem aż do wyjścia z budynku. Tam zatrzymał się i odwrócił do niego.

– Nie mamy tu żywności dla Ludzi. Zostaniesz odprowadzony do twego statku, skąd przyniesiesz zapasy wystarczające na trzy dni.

– A co będzie, jeśli aresztowanie Chandlera zajmie więcej niż trzy dni?

– Wówczas ponownie ocenię sytuację.

– Chwileczkę – powiedział Lodziarz. – Jeśli nie macie żadnej żywności dla Ludzi, co je Wyroczenia?

– Nie mamy żywności dla ciebie – odrzekł Praed Tropo. Gwizdaczu, pracujesz w głębokiej konspiracji, jest więc szansa,

że nie dowiesz się, kto dostarcza jej żywność, pomyślał Lodziarz. Ale jeśli Indianiec nie zagubił się w świecie marzeń dla żujących ziarna, do tej pory już powinien to wiedzieć. To zaś oznacza, że dotarł do niej bliżej, niż ty, więc mogę oczekiwać, że pokaże się pierwszy... jeśli trzymał się z dala od nasion.

Wobec tego, jeżeli będę musiał poświęcić jednego z was, to poświęcę Indiańca, twierdząc, że odnalazłem Chandlera... I dobrze by się stało, bo lata upłynęły od czasu, gdy byłem dość dobry, aby cię zabić, jeśli w ogóle kiedykolwiek miałem taką szansę. Tylko chciałbym wiedzieć jak, u diabła, wygląda ten Indianiec.

– A gdy zabiorę swoją żywność, co wtedy? – zapytał na głos.

– Wtedy wyświetlę ci hologramy wszystkich Ludzi, o których wiadomo, że są na planecie – odpowiedział Praed Tropo. – A jeśli Chandler jest wśród nich, zatrzymamy go i uwięzimy.

– A jeśli nie znajdę go wśród nich lub zidentyfikuję jego hologram, ale

nie będę w stanie go odszukać?

– Wtedy postawimy w stan alarmu nasze siły bezpieczeństwa, a gdy zbliży się do Wyroczni, aresztujemy go.

– Czy mogę coś zasugerować? – zapytał Lodziarz.

– Możesz.

– Chandler jest zbyt dobry w swym zawodzie, by go tak łatwo schwytać. Może zauważy jego hologram, a może nie, ale jest znaczna szansa, że już zbliża się do Wyroczni. I nie podejdzie do niej bezpośrednio: tylko głupiec zrobiłby to na planecie, gdzie każdy Człowiek jest podejrzany.

Tylko głupiec, a może też pomarszczony starzec, który tak dawno temu przekroczył szczyt swej kariery, że nie może już działać z ukrycia, poprawił się w myśli.

– Co chcesz przez to udowodnić? – zapytał Praed Tropo. – Jest człowiekiem ostrożnym – kontynuował Lodziarz. – Nie

zrobi żadnego ruchu, póki nie pozna funkcji i rozkładu zajęć wszystkich Błękitnych Diabłów, strzegących Wyroczni. – Lodziarz przerwał na chwilę. – A więc, jeśli wzmocnicie wasze siły bezpieczeństwa wokół niej, on po prostu przeczeka. Nie wiem, ile mu płacą za tę robotę, ale musi być tego dosyć, by mógł spędzić rok czy dwa, wypatrując właściwej okazji. – Odwrócił się do Praeda Tropo. – Ale ponieważ on zna mnie i nie ma powodu, by mi nie ufać, to jeśli umieścicie mnie w jakimś widocznym miejscu blisko kwatery Wyroczni, na pewno skontaktuje się ze mną, nim podejmie jakieś działania.

– Czemu miałby to zrobić?

– Bo nie mam powodu, by się tu znajdować i to go zacieka. Będzie chciał się dowiedzieć, czy jesteśmy konkurentami w tej robocie, czy może mam jakieś nowe instrukcje od jego pracodawcy, a może z jakiejś innej przyczyny znalazłem się na planecie.

– Co na tym zyskamy? – zapytał Praed Tropo. – Jesteś starym człowiekiem, on zaś zawodowym mordercą. W jaki sposób mógłbyś go aresztować?

– Nie mógłbym – odrzekł Lodziarz. – Ale mogę go zaprowadzić tam, gdzie zostanie aresztowany. Mogę mu powiedzieć, że nastąpiła zmiana planów i że musimy udać się gdzieś, by to przedyskutować... Tam będziecie na niego czekać.

– Czemu miałby ci wierzyć? – spytał Błękitny Diabeł.

– A czemu nie?

– Ponieważ, jak sam powiedziałeś, nie masz powodu, by się znajdować na Alfie Crepello III. Sama twoja obecność może wystarczyć, by go zaalarmować.

– To możliwe – przyznał Lodziarz. – Ale co będzie mógł zrobić? Zapewniłeś mnie, że Wyrocznia jest nietykalna. Jeśli mój plan wypali, w godzinę później będziecie go mieć w areszcie. Jeśli nie, jeśli moja obecność go zaalarmuje, prawie na pewno wróci do kryjówki. A wówczas sytuacja będzie taka jak obecnie, z tym wyjątkiem, że poznacie w głównych zarysach teren, gdzie się ukrywa.

– A jeśli cię zabije?

– Zapłacono mi mnóstwo pieniędzy za podjęcie tego ryzyka.

– Będę musiał bardzo dokładnie zastanowić się nad twoją propozycją – oświadczył Praed Tropo. – Nie mam ochoty pozwolić ci na taką swobodę działania.

– Jeśli mamy współpracować – powiedział Lodziarz – musimy sobie ufać nawzajem.

– Jesteś Człowiekiem – zareplikował Praed Tropo. – To wystarczający powód, by ci nie ufać.

– Ale twoja maszyna potwierdziła, że mówię prawdę.

– Nie skłamałeś odpowiadając na moje pytania – przyznał Błękitny Diabeł. – Ale możliwe jest, że nie zadałem właściwych pytań. Jesteś Człowiekiem, a pomimo to sprzymierzyłeś się z obcą rasą, by zabić drugiego Człowieka. Nie mam wątpliwości, że gdybym nie udzielił ci pozwolenia na lądowanie, poszukałbyś jakichś tajnych sposobów, by znaleźć się na Alfie Crepello III. Ten morderca zna cię i ufa ci, ty zaś planujesz, że go oszukasz i oddasz w nasze ręce. Skąd mogę wiedzieć, czy nie istnieją inne powody, dla których mogłeś się tu znaleźć?

Jesteś sprytniejszy niż na to wyglądasz, Tropo, pomyślał Lodziarz. Teraz w każdej chwili może ci przyjść na myśl, by zapytać Wyrocznię, co zrobić z Chandlerem. Boisz się zawracać jej głowę czymś, co nadal uważasz za beznadziejne przedsięwzięcie. Ale wreszcie... może jutro, może pojutrze... zbierzesz się na odwagę, a gdy to zrobisz, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa wymienisz moje nazwisko. Obawiam się, Praed Tropo, że czeka cię rychła śmierć.

– Jeśli wymyślisz lepszy plan, zawiadom mnie – powiedział Lodziarz.

– Zrobię to.

– Tylko nie zastanawiaj się długo. Pamiętaj: ten człowiek jest znakomitym zabójcą, a na planecie jest od dość dawna, by ustalić miejsce pobytu Wyroczni. Życie wielu zależy od szybkości naszych ruchów.

Z moim włącznie, dodał w myśli.

Do końca dnia Praed Tropo jeszcze nie zdecydował, jakie działania podjąć. Lodziarz poprosił więc o pozwolenie spędzenia nocy na pokładzie swego statku, gdzie było chłodniej i znajdowało się wygodne łóżko. Błękitny Diabeł początkowo sprzeciwiał się, ale w końcu udzielił zezwolenia. Gdy tylko Lodziarz znalazł się na pokładzie i włączył system bezpieczeństwa, uruchomił radio podprzestrzenne.

– Tu Trzydzieści Dwa – odezwał się głos na drugim końcu połączenia.

– To ja – powiedział Lodziarz. – Mam nadzieję, że jesteś pewien, iż ta częstotliwość znajduje się poza ich możliwościami podsłuchu.

– Owszem. Gdzie jesteś? Na jednym z księżyców?

– Na Hadesie.

– Na samym Hadesie? – wykrzyknął Trzydzieści Dwa zaskoczony. – Wiedziałem, że znalazłem właściwego człowieka, gdy wysłałem tę kobietę, aby zwróciła się do ciebie! Nie powinienes oddawać roboty podwykonawcy.

– Wówczas próbowałbyś mnie zabić – stwierdził sucho Lodziarz. Nastąpiła niezręczna przerwa w rozmowie.

– Czy już się czegoś dowiedziałeś? – zapytał w końcu Trzydzieści Dwa.

– Nie dowiedziałem się niczego na temat Gwizdacza, jeśli to miałeś na myśli.

– A co z Jimmym Dwa Pióra?

– Nie wiem, gdzie jest, ale jeśli trzymał się z dala od nasion, to wiem, gdzie się pojawi.

– O niego nie musisz się martwić. Albo zabije Wyrocznię, albo mu się to nie uda i zapewne sam zostanie zabity. To Chandlera musimy powstrzymać.

– Czy mogę zwrócić ci uwagę, że jestem na tej przeklętej planecie dopiero od trzech czy czterech godzin? – zapytał Lodziarz. – Gdyby tak łatwo było go powstrzymać, to bym go nie wynajmował, a ty nie musiałbyś wynaiać mnie.

– Przykro mi – odparł Trzydzieści Dwa nieszczercze. – To tylko dlatego, że niepokoiliśmy się o cały ten projekt.

– „My”? – powtórzył Lodziaz. – Czy trzymacie jakiegoś totalizatora na

temat, kto przeżyje, a kto umrze?

– Tylko bądź ostrożny – przestrzegł go Trzydzieści Dwa. – Gdybyśmy mieli totalizatora, faworytem byłaby Wyrocznia.

– Wiem – odrzekł Lodziaz. – Ale jeśli dasz mi pomówić z jednym z twych ekspertów od demolki, być może zdołam wpłynąć na obniżenie stawek.

– Zaraz go tu sprowadzę.

– Im prędzej, tym lepiej, nadal nie ufam tej częstotliwości. Ekspertka pojawiła się w parę minut później, Lodziaz zadał jej

szereg pytań, otrzymał potrzebne odpowiedzi, a potem wyłączył radio.

Odczekał kilka minut, by upewnić się, że nikt nie monitorował jego rozmowy i nie idzie tu, by go aresztować, następne dwie godziny zaś spędził pracując zgodnie z otrzymanymi informacjami. Wreszcie, fizycznie i psychicznie wyczerpany wydarzeniami dnia, położył się na koi i niemal natychmiast zasnął.

Następnego dnia, tuż po wschodzie słońca, Praed Tropo skontaktował się z nim przez radio i kazał mu przyjść do siebie. Na dworze z minuty na minutę robiło się coraz goręcej. Lodziaz wziął więc kapelusz z szerokimi kresami, by osłonić oczy przed słońcem.

– Bardzo starannie rozważyłem twoją propozycję – oświadczył Praed Tropo, gdy szli do oczekującego pojazdu. – I zdecydowałem, że pozwolę ci spróbować powstrzymać mordercę.

– Dziękuję.

– Nie masz mi za co dziękować – odrzekł Błękitny Diabeł. – Stoimy w obliczu niebezpiecznej sytuacji. Ryzykujesz życie, by jej zapobiec.

– Jak ci już powiedziałem, dobrze mi za to płacą – zareplikował Lodziaz.

Mina Praeda Tropo zdradzała, co myśli o rasie, która gotowa jest zrobić wszystko dla pieniędzy, ale nie odpowiedział.

– Dokąd jedziemy? – zapytał Lodziaz, gdy wsiedli do pojazdu. Czekwały na nich cztery zbrojne Błękitne Diabły, a Praed Tropo dołączył do nich w chwilę później.

– Tam, gdzie chcesz pojechać – odparł Błękitny Diabeł. Nagle wszystkie okna pociemniały i zapaliło się światło we wnętrzu wozu.

– Do kwatery Wyroczni?

– Tak – rzekł Praed Tropo. – Ponieważ nie ma potrzeby, abyś znał jej położenie, uczyniłem okna nieprzezroczystymi.

Wóz ruszył, a Lodziarz odchylił się na oparcie, bezskutecznie próbując przyjąć wygodną pozycję. Po raz pierwszy od przybycia na Hades poczuł nieprzyjemny, prawie cierpki zapach Błękitnych Diabłów. Pojazd nie miał klimatyzacji, gdyż Błękitne Diabły ewoluowały w sposób pozwalający im dawać sobie radę z intensywnym gorącem. Lodziarz nagle poczuł suchość w ustach. Po kilku minutach zaczął się obficie pocić, wkrótce potem ubranie miał już przemoczone, a w obuwiu chlupało mu w krępujący sposób. – Jak długo jeszcze? – zapytał ochryple.

– Może z godzinę – rzekł Praed Tropo. – A może dwie.

– Wspaniale – mruknął.

– Niewygodnie ci?

– Bardzo.

– O – powiedział Praed Tropo bez cienia zainteresowania. Wóz przyśpieszył, Lodziarz zaś wreszcie odkrył, że jest mu mniej niewygodnie, gdy pochylił się do przodu, opierając łokcie na kolanach, a podbródek na złożonych dłoniach. Po jakichś dziesięciu minutach zaczęły boleć go plecy, więc znów wyprostował się, mając pełną świadomość, że dostarcza Błękitnym Diabłom satysfakcji, jeśli nie zabawy.

– Czy jedziemy w stronę jakiegoś miasta? – zapytał w nadziei, że rozmową odwróci uwagę od niewygody.

– Dlaczego tak myślisz? – odpowiedział Praed Tropo.

– Bo jej kwatery byłyby trudniejsze do wykrycia, gdyby otaczały ją setki innych budynków.

– Ona nie ma powodu, by obawiać się napaści.

– Opowiedz mi o niej.

– Dlaczego?

– Rzykuję życie, by ją ocalić, więc to oczywiste, że jestem ciekaw – odpowiedział Lodziarz.

– Jej nie grozi niebezpieczeństwo. Jesteś tu tylko po to, aby uchronić innych przedstawicieli mojej rasy.

– Czemu nazywacie ją Wyrocznią? Czy jej wypowiedzi są mistyczne?

– Wyrocznia to słowo ziemskie – odparł Praed Tropo. – Wybrała ją sama. Nie wiem, co oznacza.

– Czemu mieszka wśród was?

– Nie musis tego wiedzieć.

– Jak ona wygląda? – dopytywał się Lodziarz. – Jak każdy inny członek twojej rasy.

– Każdy inny członek mojej rasy może zostać zabity. Skąd masz taką pewność, że ona nie?

– Zadajesz zbyt wiele pytań – orzekł Praed Tropo.

– Demokracja płaci mi mnóstwo pieniędzy za to, bym ją uratował – stwierdził Lodziarz. – Z tego wynika, że ktoś inny wydał mnóstwo pieniędzy, by ona została zabita. Chciałbym wiedzieć, co powoduje, że Wyrocznia jest tak cenna. Twoje twierdzenie, że jest nietykalna, to dobry punkt, by zacząć rozmowę.

– Siedź cicho, Mendoza – powiedział Praed Tropo. – Męczą mnie twoje pytania.

– To czemu nie powiesz, abym się zamknął?

– Bo przyszło mi na myśl i niewątpliwie tobie również, że Chandlerowi mogli zapłacić więcej niż dziesięć milionów kredytów za to, by ją zamordował. Ponieważ wiesz, kto go wynajął, i ponieważ chciwość jest podstawową siłą motywacyjną wszystkich Ludzi, uważam za bardzo prawdopodobne, że ty sam pokusisz się o zamordowanie Wyroczni, jeśli uznasz, że pojawia się taka okazja.

– Ale już mi powiedziałaś, że to jest niewykonalne – wytknął mu Lodziarz. – Czy kłamałaś?

– Nie – odparł Praed Tropo. – Ale przy okazji mógłbyś zabić niektórych członków mojej rasy, a ponieważ ja pozwoliłem ci tu wylądować, ja byłbym odpowiedzialny za twoje zbrodnie. – Przerwał. – Wobec tego nie powiem ci nic o Wyroczni. Jesteś tutaj tylko po to, by aresztować Chandlera.

Wiesz, pomyślał Lodziarz, gdy byłem młodszy i silniejszy, prawdopodobnie spróbowałbym wyłączyć Chandlera i osobiście zabić Wyrocznię... gdyby moja historyjka była prawdziwa. Znów jesteś zbyt sprytny, Praed Tropo. Jeśli wszystkie Błękitne Diabły podobne są do ciebie, zastanawiam się, czemu wasz lud uważa, że potrzebna mu Wyrocznia.

– Wobec tego – powiedział głośno – może mi opowiesz o jej kwaterze. Jakie są jej wymiary, ile Błękitnych Diabłów jej strzeże, jakie ma systemy bezpieczeństwa?

– Sam to zobaczysz, gdy przyjedziemy – odpowiedział Praed Tropo.

– Świetnie – rzekł z westchnieniem Lodziarz. – Ale jedno powiem ci już teraz.

– Dobrze. Co takiego?

– Moja rasa nazywa się Lorhn – rzekł Praed Tropo. – Określenie Błękitne Diabły uważamy za obraźliwe.

– Zapewniam cię, że nie miałem zamiaru nikogo obrażać. Słyszałem o was tylko jako o Błękitnych Diablach.

– My nazywamy was Ludźmi, jak to wolicie, zamiast... – Wydał dźwięk niewypowiadalny w żadnym ziemskim języku. – I nauczyliśmy się mówić tak jak wy, chociaż nie ma to nic wspólnego z naszym językiem i powoduje u nas ból gardła. – Przerwał. – A przecież, choć Demokracja wie, że nazywamy się Lorhn, upiera się, by określać nas mianem Błękitnych Diabłów i nie uczy swych dyplomatów ani przedstawicieli naszego języka. Czy trudno się więc dziwić, że nie pragniemy zostać przez was przyłączeni?

– Nie jestem politykiem ani przedstawicielem – podkreślił Lodziarz. – Jestem zwykłym biznesmenem i od tej chwili z przyjemnością będę was określał jako Lorhn. Jeśli uważacie, że Demokracja traktuje waszą rasę w sposób pozbawiony szacunku, powiedzcie to jej przedstawicielom.

– Nie mamy żadnych stosunków z Demokracją i nie spodziewamy się mieć, chyba że nas napadnie – stwierdził Praed Tropo. – Mówię ci to, bo jeśli przeżyjesz, będę oczekiwał, że przekażesz tę wiadomość.

– Możesz być tego pewien – skłamał Lodziarz.

Błękitny Diabeł ponownie zamilkł, Lodziarz zaś, wyczerpawszy możliwe pytania, dalej już w milczeniu znosił niewygodę.

Gdy upłynęła jeszcze godzina, poczuł, jak wóz skręca w lewo i nagle szum wiejącego wiatru ucichł, jakby wjechali pomiędzy wielkie budynki albo naturalne formacje. Następnie pojazd zaczął zwalniać i zatrzymał się przejechawszy jeszcze milę.

– Przybyliśmy – oznajmił Praed Tropo i okna znów stały się przezroczyste.

Od intensywnego blasku słonecznego, odbitego od wielkiej pościeli piasku, Lodziarzowi zaczęły łzawić oczy.

Zobaczył budynek, znakomicie zakamuflowany w zagłębieniu pod wielką, wystającą skałą. Była to wariacko nieregularna konstrukcja, lecz

gdymy wybudowano wokół niej ścianę załamującą się pod prostymi kątami, w ocenie Lodziarza ta miała by boki po jakieś czterysta stóp.

Natychmiast zwrócił uwagę na kwarcowy dach, odbijający oślepiające, czerwone, pomarańczowe i złote promienie. Wydawał się zanadto skomplikowany, nawet jeśli służył za kolektor energii słonecznej.

Rozejrzał się w poszukiwaniu jakichkolwiek okien i drzwi, dostrzegł je w miejscach, gdzie nie powinny się znajdować, więc wzruszył ramionami. Przebywał na dostatecznie wielu obcych planetach, by nie próbować szukać sensu w konstrukcjach przestrzennych rdzennych mieszkańców. Jeśli ci uważali, że dach powinien w jednym miejscu znajdować się na wysokości pięćdziesięciu, a w innym dziesięciu stóp, bez ładunku czy składu, usprawiedliwiającego nagłe zmiany, no to świetnie; obchodziła go tylko kobieta rezydująca pod tym dachem.

Na drugim końcu budynku znajdowały się potężne, trójkątne wrota. Gdy zaś Lodziarz, Praed Tropo i cztery uzbrojone Błękitne Diabły wysiedli z pojazdu, kierowca ruszył ponownie i przez owo wejście przejechał do czegoś, co, jak uznał Lodziarz, powinno być potwornej wielkości garażem.

Po otaczającym ich terenie chodziło jedenaście Błękitnych Diabłów, krocząc bardzo zawiłymi trasami, które zdawały się nie mieć wzajemnego związku. Żaden z nich nie był uzbrojony.

– Kim oni są? – zapytał Lodziarz.

– To są członkowie służby domowej.

– Co robią?

– Odprawiają swe rytuały religijne – powiadomił Praed Tropo.

– Są przeraźliwie łatwymi celami – zauważył Lodziarz.

– Jeśli tak, to wcześniej połączą się z naszym Bogiem – stwierdził, wzruszając ramionami, Praed Tropo.

– A to co takiego? – spytał Lodziarz, wskazując liczne konstrukcje kamienne, rozrzucone po terenie. – Wyglądają jak fontanny.

– Co to jest fontanna?

Lodziarz wyjaśnił, Praed Tropo zaś zrobił minę wyrażającą dezaprobatę.

– Nie mamy dość wody dla tak nieistotnych celów.

– Powtarzam więc: co to takiego?

– Pomniki, upamiętniające miejsca, gdzie różni Lorhnowie padli w obronie Wyroczeni. – Przerwał. – W każdym z tych wypadków zostali zabici

przez agentów Demokracji.

– Wynikałoby z tego, że Demokracja wynajęła mnie, by naprawić wyrządzone szkody.

– Zgodnie z całym moim doświadczeniem, Ludzie nie naprawiają wyrządzonych przez siebie szkód – oświadczył Praed Tropo.

– Obcowaleś z niewłaściwymi Ludźmi – odparł swobodnym tonem Lodziarz.

– Dam ci wiele okazji, abyś udowodnił, że się mylę, Mendoza – stwierdził Błękitny Diabeł. – Ale sądzę, że nie różnisz się od innych.

– Wiesz co, ty się sprzeciwiasz nazywaniu przeze mnie twej rasy Błękitnymi Diabłami, a ja staram się zastosować do twoich życzeń – odrzekł Lodziarz. – Ale nieustannie robisz uogólnienia na temat mojej rasy, choć wiesz, że są kłamliwe.

– Nic, co powiedziałem, nie było kłamliwe.

– Oświadczyłeś lub dałeś do zrozumienia, że Ludziom nie można ufać i że my gardzimy twoją rasą.

– To prawda.

– Zapominasz o Wyroczeni – stwierdził Lodziarz. – Ona należy do mojej rasy, a przecież jej ufacie.

Praed Tropo przez długą chwilę wpatrywał się w Lodziarza, a potem powiedział:

– Powtarzam, nie powiedziałem niczego, co byłoby kłamliwe.

Gdy obchodzili teren, Lodziarz nadal zastanawiał się nad słowami Praeda Tropo.

– Jaką drogą, według ciebie, podejdziesz Chandler? – zapytał Błękitny Diabeł, gdy zakończyli już swoją inspekcję.

Lodziarz położył ręce na biodrach i rozejrzał się po okolicy.

– Trudno powiedzieć – odrzekł. – Zakładam, że płot po zachodniej stronie jest pod napięciem?

– W naszym systemie bezpieczeństwa nie posługujemy się elektrycznością – odpowiedział Praed Tropo. – Zbyt łatwo ją wyłączyć. Płot ma samogenerujące się pole, które zabije każdego, kto by starał się go dotknąć.

– A co z tym nawisem? – spytał Lodziarz, wskazując ogromną skałę, górującą nad domem.

– Nie można się po niej wspiąć.

– Może Lorhn nie potrafiłby... Ale dla człowieka to nie jest aż tak trudne.

– Czy ty mógłbyś się wspiąć? – zapytał sceptycznie Praed Tropo. Lodziarz uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Nie... ale ja mam protezę nogi i nigdy nie nauczyłem się z niej właściwie korzystać; mam uszkodzone jakieś nerwy biodrowe. Dwadzieścia lat temu wszedłbym na nią bez problemów.

– Rozmieszczę strażników, by pilnowali wszelkich podejść do nawisu – oświadczył po pewnym namyśle Praed Tropo.

– Na twoim miejscu nie robiłbym tego.

– Czemu nie? – zapytał podejrzliwie Błękitny Diabeł

– Bo nie masz tu do czynienia z amatorem – odrzekł Lodziarz – Kogokolwiek tam umieścisz, zauważy go i nie będzie próbował przedostać się do środka... A jeśli nie zjawi się w środku to Ja nie będę miał sposobu, by się z nim skontaktować.

– Jesteś pewien?

– W takich warunkach jedynym sposobem przedostania się na teren będzie wybicie wszystkich Lorhnów, których tam postawi A przecież przywoleś mnie tu właśnie po to, by temu zapobiec.

– To prawda – przyznał Praed Tropo. – Ale jeśli zastosujemy tę filozofie do całego naszego systemu obronnego, jest prawie pewne, że Chandler dotrze nie zauważony do miejsca, w którym w tej chwili stoimy.

– Przecież to jest właśnie celem naszych manewrów – odpowiedzi Lodziarz. – Musimy go sprowokować do przełamania twojej obrony, bo inaczej nie będę w stanie ani go zidentyfikować ani wstrzymać.

– A jeśli nie zdołasz go powstrzymać? – zapytał Praed Trono – Co będzie, jeśli dostawszy się aż tak daleko, zdecyduje, żeby cię zabić.

– Nie ma powodu, by mnie zabijać.

– Ludzie okłamują się nawzajem przez cały czas. Czemu miałbyś uwierzyć w to, co mu powiesz?

– Bo mnie zna.

– To nie jest wystarczająca odpowiedź.

– Przykro mi, ponieważ jest to najlepsza możliwa odpowiedź – stwierdził Lodziarz. – A poza tym powinno ci być wszystko jedno czy mnie zabije, czy nie. Upierasz się, że nikt nie może zabić Wyroczni W ten sposób będziesz przynajmniej wiedział, gdzie on jest i możesz sprawić, by się stąd nie wydostał.

Praed Tropo milczał przez chwilę.

– Logiczne – powiedział wreszcie.

– Cieszę się, że przynajmniej w czymś się zgadzamy – odparł Lodziarz.

– A co z resztą obwodu? – zapytał Błękitny Diabeł. – Ogrodzenie można dezaktywować.

– To nie jest dobry pomysł – orzekł Lodziarz. – Chcemy, aby przyszedł drogą, którą wybierzemy. Jeśli tylko pozwolisz mu na przedarcie się w dowolnym miejscu, mogę go w ogóle nie ujrzeć.

Praed Tropo patrzył na niego z dziwnym wyrazem twarzy.

– Coś nie tak? – zapytał Lodziarz.

– Nie – odrzekł Błękitny Diabeł. – Swoją rolę grasz bardzo dobrze.

– Nie gram żadnej roli – zareplikował poirytowany Lodziarz. – Próbuję dobrze wykonać zlecenie.

– Nadal ci nie ufam – stwierdził Praed Tropo. – Choć bardzo uważałeś, by nie popełnić błędu. Gdybyś zaproponował, byśmy dezaktywowali ogrodzenie, wiedziałbym, że jesteś agentem mordercy i uwięziłbym cię natychmiast. – Przerwał. – Będę nadal współpracował z

tobą, ale spodziewam się, że wcześniej czy później popełnisz błąd.

– Czeka cię rozczarowanie – powiedział Lodziarz.

– Zawsze spodziewałem się najgorszego ze strony Ludzi – oświadczył Praed Tropo. – I jak dotąd nigdy się nie pomyliłem.

– Jeśli masz zamiar nadal mi tłumaczyć, jak zdradziecką jesteśmy rasą, to czy przynajmniej możemy przejść gdzieś w cień? – zapytał Lodziarz. – Jeśli jeszcze trochę tu postoję, mogę nie dożyć chwili, gdy będę mógł ci udowodnić, że mówię prawdę.

Praed Tropo zaprowadził go do dziwnie ukształtowanej przybudówki; żeby się tam zmieścić, musieli się zgiąć w pół.

– Czy nie jest ci niewygodnie? – zapytał Lodziarz, spoglądając na nieco wyższego niż on Błękitnego Diabła.

– Chciałeś cienia. Zapewniłem ci go.

– To zaczyna być absurdalne – oświadczył Lodziarz. – Wasze meble i pojazdy są już dostatecznie niewygodne, ale jeśli mam się upiec na śmierć, nie widzę powodu, dla którego miałbym to robić zgięty w pół.

– Powinieneś wziąć to pod uwagę, nim przyjąłeś zlecenie na terenie Alfego Crepello III – odrzekł Praed Tropo, wycofując się z przybudówki.

– Posłuchaj – powiedział Lodziarz, wychodząc za nim. – Wiem, że moja niewygodna sprawa ci sprawia przyjemność, ale moja rasa nie potrafi znieść takiego upału, a ja jestem bardzo starym człowiekiem. Musisz mi zapewnić jakieś wygodne cieniste miejsce, a podkreślam słowo wygodne, jeśli mam pozostać na dworze i czekać na pojawienie się Chandlera.

– Prawie na pewno przyjdzie pod osłoną nocy – odpowiedział Praed Tropo. – Nasze noce są całkiem chłodne.

– Doświadczyłem już jednej z waszych nocy, dziękuję. Są chłodne tylko wówczas, gdy jest się Lorhnem. – Lodziarz przerwał. – Czy wiesz, co to jest parasol?

– Nie.

– Narysuję ci go – rzekł Lodziarz. – Chcę, aby jeden z twoich Lorhnów zbudował go dla mnie. I potrzebuję mnóstwa wody.

– Mamy bardzo mało wody na Alfego Crepello III.

– Nie tak mało jak morderców – odparł Lodziarz. – Jeśli chcesz, bym go powstrzymał, musisz postarać się, bym został przy życiu do czasu, gdy on się pojawi.

Wygłądało na to, że Praed Tropo zastanawia się nad jego żądaniem.

– Zobaczę, co się da zrobić – powiedział w końcu.

– Dobrze.

Praed Tropo spoglądał na niego przez chwilę.

– Jeszcze nie zbadałeś wejścia do posiadłości, z którego korzystają pojazdy – stwierdził, wskazując dwie drogi dojazdowe. – Czy czujesz się dość silny, by je skontrolować?

– Załatwmy to od razu – zgodził się Lodziarz.

Sprawdził pierwszą i szli w stronę drugiej, gdy Lodziarz nagle zatrzymał się, dostał bowiem zawrotów głowy.

– Co się stało, Mendoza? – zapytał Praed Tropo.

– Myślę, że udar cieplny – wymamrotał Lodziarz. – Nie mogę być już dłużej na słońcu.

– Jak się leczy udar cieplny u człowieka?

– Nie wiem – powiedział Lodziarz, chwytając za rękę Praeda Tropo, aby nie upaść. – Nigdy w życiu go nie miałem. Zaprowadź mnie do jakiegoś chłodnego miejsca, a jeśli zemdleję, znajdź sposób, by wlać we mnie jakiś płyn. Po prostu wodę; nie sądzę, by mój organizm mógł wytrzymać cokolwiek, co piją Lorhnowie.

Praed Tropo wezwał dwa Błękitne Diabły. Ostatnim, co pamiętał Lodziarz, było, jak go na wpół niosą, na wpół ciągną do holu wielkiego budynku.

A potem stracił przytomność.

Gdy się ocknął, leżał na podłodze maleńkiego pokoiku, obok dziwnego kształtu pryczy. Nawet w stanie osłabienia i odwodnienia, uznał, że podłoga będzie wygodniejsza.

Wstał, oparł się o ścianę, aby nie upaść i rozejrzał się po otoczeniu. Pokoik miał może z osiem stóp długości, akurat tyle, by zmieściła się pryczna, mały, wielopoziomowy stolik oraz holoelektrointerkomu. Na stole stał pojemnik z wodą. Chwycił go natychmiast, prawie minutę spędził na badaniu, jak go otworzyć, a potem wypił dwa duże łyki. Woda była ciepła i pływały w niej jakieś drobiny, o których wolał nie myśleć, ale smak miała niebiański.

Chciał wypić więcej, opróżnić pojemnik, ale wydało mu się, że gdzieś czytał czy słyszał, że powinien pić często, ale umiarkowanie, do chwili odzyskania sił. Na próbę zrobił jeden krok, potem drugi i przekonał się, że nie jest tak słaby, jak się spodziewał. Błękitne Diabły zabrały go ze słońca, nim wyrządziło mu poważniejszą szkodę.

Drzwi pokoiku były zamknięte. Nie miał pojęcia, czy mają zamek i w tym momencie nie obchodziło go to szczególnie. Zanim będzie mógł wykorzystać fakt, że tu się znalazł, upłynie co najmniej godzina. Jeśli z tego, że znalazł się wewnątrz budynku wyniknie oczywiście jakakolwiek korzyść.

Jeszcze parę razy przeszedł się od ściany do ściany, by rozruszać sztywne ciało, a potem ostrożnie usiadł na skraju pryczy i po prostu rozkoszował się tym, że nie jest na słońcu. W pokoju temperatura wynosiła może ze trzydzieści sześć stopni Celsjusza, ale w porównaniu z tym, co czuło się na dworze, tu było chłodno i wygodnie.

Odczekał jeszcze pięć minut, a potem wstał i ponownie podjął spacer tam i z powrotem, tym razem poczuł się silniejszy. W chwili, gdy zbliżał się do przeciwległej ściany, usłyszał głos.

– Widzę, że się wreszcie obudziłeś, Lodziarzu – powiedział chłodny, beznamiętny, skądś znajomy głos.

Odróciwszy się zobaczył na holoelektrointerkomie twarz młodej kobiety. Przyjrzał się jej dokładnie. Kości policzkowe miała wydatniejsze, podbródek odrobinę bardziej spiczasty, włosy o ton ciemniejsze, ale to

była bez wątpienia ona. Tylko oczy zmieniły się nie do poznania; zdawały się dziwne, dalekie, niemal obce.

– Wiele czasu upłynęło – powiedział wreszcie.

– Czternaście lat – odrzekła Penelopa Bailey.

CZĘŚĆ 5

KSIĘGA WYROCZNI

– Czuję się chory i zmęczony czekaniem – zauważył Indianiec, gdy wraz z Broussardem siedzieli w jego pokoju w ambasadzie. – Myślę, że właśnie nadszedł czas, by wziąć się do roboty.

– Sądziłem, że nie robi pan nic, dopóki nie pokaże się Gwizdacz – odpowiedział Broussard.

– Zdaje mi się, że Błękitne Diabły zabiły go na jednym z księżyców, więc w ogóle się nie pokaże.

Indianiec wstał i zaczął niecierpliwie przechadzać się po pokoju. Broussard wpatrywał się w niego, próbując zrozumieć, jakie zaszyły w nim zmiany w ciągu ostatnich paru dni. Stał się bardziej drażliwy i niespokojny, miewał też gwałtowne wybuchy złego humoru. To po prostu nie pasowało do zimnego profesjonalisty, z którym Broussard dotychczas pracował, więc młody człowiek był prawdziwie zaniepokojony stanem umysłu Indiańca.

– Gdzie on, u diabła, jest? – mruknął Indianiec, waląc pięścią w ścianę. – Nie mogę już dłużej czekać!

– Nie wyznaczono panu konkretnego terminu zabicia Wyroczeni – zauważył Broussard. – A jeśli tak, to nic mi pan o tym nie mówił.

– Mam osobisty termin – warknął Indianiec. – I prawie go osiągnąłem.

– Osobisty termin? – powtórzył zdziwiony Broussard.

– Po prostu zamknij się i pozwól mi pomyśleć.

– Mogę wyjść z pokoju, jeśli pan sobie tego życzy.

– Wyjdź, zostań... Nie interesuje mnie, co zrobisz.

Nadal przemierzał pokój, coraz szybciej, więc po kilku minutach Broussard podszedł do drzwi i udał się do własnej kwatery, głęboko zaniepokojony zmianą, która dotknęła jego przełożonego.

Wreszcie Indianiec zatrzymał się przed komputerem i zagapił się na niego, jakby to była jakaś nadzwyczajna maszyna, której nigdy przedtem nie widział. Wreszcie jego zamglone oczy o dzikim wyrazie rozjaśniły się i Indianiec usiadł przy aparacie.

– Włącz się – rozkazał.

– Włączony – odpowiedział komputer.

– Sprawdź wszystkie planetarne bazy danych i powiedz mi, czy Jozue Jeremiasz Chandler, znany także jako Gwizdacz, już przybył na Hades.

– Sprawdzam... nie wiadomo.

– Cholera! – mruknął Indianiec.

Już miał rozpocząć ponowny spacer po pokoju, gdy uderzyła go pewna myśl.

– Za każdym razem, gdy cię pytałem, odpowiadałeś nie. Tym razem powiedziłeś nie wiadomo. Dlaczego?

– Ponieważ istota ludzka wylądowała w Bazie Wojskowej Polid Kreba i nie mogłem ustalić jej tożsamości.

– To musi być on! – oświadczył Indianiec. – Czy został uwięziony?

– Nie wiadomo.

– Bez znaczenia – powiedział Indianiec. – Jeśli jest w więzieniu, zgnije tam i dalsze czekanie nie ma sensu. Jeśli nie, to może się wydostać z bazy wojskowej i zapewne ma swobodę ruchów, więc ja muszę wyruszyć tej nocy.

Komputer nie odpowiedział, gdyż nie postawiono mu żadnego pytania.

– Wyłącz się – rozkazał Indianiec.

Komputer pociemniał, Indianiec zaś wyszedł z pokoju, zszedł na dół do holu i dalej do pokoju Broussarda.

– Ruszam po nią tej nocy – oznajmił.

– Jest pan całkiem pewien? – zapytał Broussard, wyraźnie zaniepokojony.

– Oczywiście, że jestem pewien! – powiedział Indianiec. – Gwizdacz wylądował na Hadesie!

– Tego też jest pan pewien?

– Komputer to potwierdza.

– Komputer mówi, że Gwizdacz wylądował? – powtórzył Broussard. – Wobec tego, czemu nie pojawił się na naszej liście imigrantów?

– Wylądował w bazie wojskowej Błękitnych Diabłów.

– Czemu miałby to robić?

– Skąd, u diabła, mam wiedzieć? – warknął podrażniony Indianiec. – Jest tutaj i tylko to się liczy.

– Jakiego nazwiska używa? – spytał Broussard.

– Nie wiem.

Broussard zmarszczył brwi.

– Skąd pan zatem wie, że to jest Gwizdacz?

– Któż jeszcze mógłby wyładować na tej zapomnianej przez Boga i ludzi, piekielnej dziurze, nie przechodząc przez Urząd Celny oraz Imigracyjny? – Indianiec przerwał. – Będę potrzebował twojej pomocy.

– Nie mam zamiaru pana obrażać ani wykazać się niesubordynacją, ale pragnąłbym, aby przedtem poddał się pan ocenie psychologicznej – rzekł Broussard.

Indianiec rzucił mu wściekłe spojrzenie.

– Co ty gadasz? Myślisz, że zwariowałem?

– Nie – odpowiedział Broussard. – Ale ostatnio nie był pan sobą.

– Wkrótce będę – stwierdził Indianiec.

– Jest pan nerwowy, popędliwy i zaczął pan zapominać – kontynuował Broussard. – Nie sądzę, by w takim stanie mógł pan stawić czoło Wyroczni.

– Świetnie będę się czuł – stwierdził Indianiec, próbując stłumić szalejącą w nim wściekłość i żądzę. – Wierz mi.

– Nadal pragnąłbym, aby pan odwiedził psychologa w naszej ambasadzie.

– Nie powie mi nic, czego bym już nie wiedział – zareplikował Indianiec. – Słuchaj, udam się tam dzisiejszej nocy z tobą lub bez ciebie, ale gdybyś pojechał, moje życie stałoby się znacznie łatwiejsze. Potrzebuję cię tylko po to, abyś mnie zawiózł w to samo miejsce, w którym byliśmy tamtego dnia. Całą resztą zajmę się sam. – Przerwał i spojrzał na młodego człowieka. – Więc jesteś ze mną czy nie?

Broussard westchnął zrezygnowany.

– Nie mogę pozwolić, by pojechał pan tam samotnie.

– Dobrze – powiedział Indianiec. – Ruszamy o zmroku. Broussard odwrócił się, by wyjść z pokoju.

– Jeszcze jedno – dodał Indianiec. – Tak?

– Doceniam twoją troskę o mnie i zdaję sobie sprawę, że leży ci na sercu moje dobro. – Przerwał. – Ale jeśli ty lub ktokolwiek inny spróbuje mnie powstrzymać, przekonasz się po prostu, jak dobrym jestem zabójcą.

Broussard wyprostował się sztywno.

– To nie było potrzebne – odparł z godnością.

– Miejmy nadzieję.

Wyruszyli o zmroku i skierowali się główną drogą z miasta, jadąc bez pośpiechu. Po dwudziestu minutach ruch na szosie stał się rzadszy, a po

pół godzinie zamarł zupełnie.

– Nie przypominam sobie tego miejsca – oświadczył Indianiec, wysilając wzrok w ciemności. – Gdzie są te wszystkie skały?

– Dotrzemy do nich za czterdzieści minut – odpowiedział Broussard.

Indianiec oparł się wygodnie i zamknął oczy.

– Nie opowiedział mi pan jeszcze o swoim planie – zauważył Broussard.

– Wiem.

– Ma pan jakiś, prawda?

Indianiec poklepał się po kurtce.

– Właśnie tu, w mojej kieszeni.

– Broń? – zapytał Broussard. Indianiec uśmiechnął się.

– To też.

Dwa uzbrojone Błękitne Diabły weszły do pokoiku Lodziarza i w milczeniu poprowadziły go długim, zaciemnionym korytarzem, potem pochyliły w górę, jeszcze innym korytarzem i wreszcie zatrzymały się przed wielkimi drzwiami, gdzie czekał na nich Praed Tropo.

– Mendoza, ona chce cię widzieć – zawiadomił. – Już się tego domyśliłem.

– Nie zbliżaj się do niej.

– Nie rozumiem – oświadczył Lodziaz.

– Zrozumiesz.

Wydał cichy rozkaz i drzwi cofnęły się, ukazując wielki, luksusowo wyposażony pokój, o bokach długości niemal pięćdziesięciu stóp. Były tam łóżka, biurka, stoły, nawet holoeokran, a wszystkie tak skonstruowane, by mogła z nich wygodnie korzystać istota ludzka.

Sama lokatorka stała oddalona o jakieś trzydzieści stóp. Była wysoka, szczupła, o ciemnoblond włosach i bladoniebieskich oczach, które zdawały się przenikać Lodziaz na wskroś, patrząc w jakieś tajemne miejsce, widzialne tylko dla niej.

– Witaj na moich włościach, Lodziaz – powiedziała. – Cześć, Penelopo.

– Czy już ją kiedyś spotkałeś? – zapytał zaskoczony Praed Tropo.

– Bardzo dawno temu – odrzekł Lodziaz.

– Myślałam, że już się nigdy nie zobaczymy – stwierdziła Wyrocznia. – Miałam nadzieję, że umrzesz tam, gdzie cię zostawiłam, ale byłam wtedy bardzo młoda, a moje możliwości ograniczone.

– A teraz jesteś dorosła – zauważył Lodziaz.

– Teraz jestem dorosła – powtórzyła apatycznie, jakby jej uwaga była skierowana gdzie indziej. – Teraz widzę rzeczy jaśniej, wyraźniej i dokładniej je interpretuję.

– Jakiego rodzaju rzeczy?

– Rzeczy, od których widoku oszalałbyś, Lodziaz. – Przerwała. – Milion wariantów przyszłości, walczących, by się narodzić, trylion wydarzeń stojących w kolejce, by nastąpić i wszystkie czekają na moją aprobatę.

– Współczułem ci, gdy byłaś małą dziewczynką – powiedział Lodziaz.

– I żał mi ciebie teraz.

– Daruj sobie to współczucie, Lodziarzu – odparła. – Nie zamieniłabym się z tobą na miejsca.

Lodziaz przyjrzał się cienkiej linii na podłodze, z dziesięć stóp przed nim i zauważył, że biegła także po ścianach i przez sufit.

– Prawdę mówiąc, nie mogłabyś zamienić się ze mną na miejsca, nawet gdybyś tego chciała – stwierdził.

Znów się uśmiechnęła.

– Masz na myśli pole siłowe.

– Tak.

– Trzyma mnie wewnątrz... ale także trzyma ciebie na zewnątrz – odpowiedziała. – Ciebie i innych.

– Jakich innych?

– Nie udawaj głupka, Lodziarzu – oświadczyła Wyrocznia. – To ci nie przystoi.

– Czy masz na myśli mordercę Chandlera? – spytał Praed Tropo.

– Być może – odrzekła Wyrocznia. Zwróciła się do Błękitnego Diabła.

– Teraz musisz nas zostawić samych.

Praed Tropo odwrócił się i dołączył do dwóch Błękitnych Diabłów, stojących za drzwiami, które natychmiast się zasunęły.

– Od jak dawna jesteś więźniem?

– Czemu uważasz, że jestem więźniem?

– Czy możesz opuścić ten pokój?

– Czasami – powiedziała.

– Ale nie teraz – stwierdził.

– Cieszę się, że nie mogę odejść w tej chwili. Przyglądał się jej przez długi czas.

– Zmieniłaś się.

– Dorosłam – oznajmiła Wyrocznia.

– Trudno już uważać cię za człowieka.

– Spójrz na mnie – zareplikowała, obracając się w miejscu. – Czy nie wyglądam, jak każda młoda kobieta?

– Inne młode kobiety kierują uwagę na to, co mówią lub słyszą. Ty wyprzedzasz wszystkich o całe godziny i dnie. Nasza terażniejszość to twoja przeszłość. Wypowiadasz słowa, które nasunęły ci się, zanim tu przybyłem.

– Jesteś bardzo spozregawczy, Lodziarzu. Cieszę się, że cię tu sprowadziłam.

– Przybyłem z własnej nieprzymuszonej woli – stwierdził. – Jeśli przypadkiem służy to twoim celom, jest to zwykły zbieg okoliczności.

– Wolno ci tak myśleć – powiedziała. Nagle szarpnęła się ostro.

– O co chodzi? – zapytał Lodziaz.

– Twój przyjaciel Gwizdacz jest w drodze do tego miejsca – odrzekła.

– Przybył na Hades trzy dni temu, ukryty w ładowni statku towarowego i wydostał się z kosmoportu pod osłoną nocy. Aż tyle czasu zabrało mu wykrycie, gdzie jestem. Gdybym stała w miejscu, w chwili gdy opuszczał Quichancha, ujrzałby go jeden z moich agentów.

– I myślisz, że dzięki zwykłemu ruchowi twego ciała wydostanie się z miasta nie zauważony? – oświadczył sceptycznie Lodziaz.

– Lodziazu, jest nieskończona liczba przyszłości. Moja swoboda działania jest ograniczona, ale we wszystkich wariantach przyszłości, w których poruszyłam się, opuścił miasto nie zauważony.

– Jak szarpnięcie twojego ciała może wpływać na to, co dzieje się o sto mil stąd?

– Nie wiem, jak, wiem tylko, że tak się dzieje – odpowiedziała pogodnie Wyrocznia. – We wszechświecie przyczyn i skutków, ja jestem Przyczyną. Siłą mej woli oraz sposobem działania uzyskuję pożądaną skutek.

Utkwił w niej spojrzenie i nie odpowiedział.

– Czemu patrzysz na mnie z tak dziwnym wyrazem twarzy? – zapytała.

– Bo jestem zaskoczony. – Ja cię zaskoczyłam? – Nie.

– Wyjaśnij, proszę.

– Po co zawracać sobie głowę? Wiesz, co powiem.

– Znam milion rzeczy, które możesz powiedzieć – zareplikowała. –

Nie mogę rozważać ich wszystkich.

– Zgoda – stwierdził Lodziaz. – Jestem zaskoczony moją reakcją na ciebie.

– W jaki sposób?

– Gdy widziałem cię po raz ostatni, spowodowałaś śmierć kogoś, kto mnie bardzo obchodził. Spowodowałaś jej śmierć, mnie uczyniłaś inwalidą i myślałem, że cię nienawidzę. Myślałem, że jeśli cię jeszcze kiedykolwiek spotkam, będę chciał jedynie chwycić cię rękami za gardło i ścisnąć, póki

nie umrzesz.

– Ale teraz tak nie jest?

– Nie – przyznał. – Nienawidziłem małej dziewczynki, która zabijała przez pasję i zazdrość... Ale ty nie jesteś już tą dziewczynką. Nie zostało ci nic z tej pasji. Nie żywisz także żadnych innych ludzkich uczuć. Jesteś siłą natury i niczym więcej. – Przerwał z westchnieniem. – Nie można nienawidzić huraganu czy burzy jonowej za to, czym są, więc przekonałem się, że nie mogę nienawidzić ciebie.

Popatrzyła na niego z ciekawością, ale nie odpowiedziała.

– Co nie oznacza, że nie powinno się ciebie powstrzymać – kontynuował. – Gdy wiatr nabiera szybkości huraganu, rozpraszamy go. Gdy burza jonowa zbliża się do zamieszkałej planety, neutralizujemy ją.

– Nie możesz mnie powstrzymać, Lodziarzu – odparła z niedbałym rozbawieniem. – Z pewnością już o tym wiesz.

– Już ktoś cię powstrzymał – zareplikował. – Czy też może potrafisz przejść tu, gdzie ja stoję?

– Do tej chwili nie chciałam tego – powiedziała spokojnie. – A teraz, gdy już chcę, wkrótce będę to miała.

– A w jaki sposób oni zdołali cię uwięzić?

– Byłam bardzo młoda i bardzo naiwna – stwierdziła Wyrocznia.

– Owszem, byłaś młoda – odparł Lodziaz – ale trudno mi uwierzyć, że kiedykolwiek grzeszyłaś naiwnością.

– Ale to prawda, Lodziarzu – powiedziała. – Przybyłam tu z Nibyżółwiem. Zatrzymaliśmy się dla nabrania paliwa w drodze na planetę, gdzie miałam dorosnąć osłonięta przed wszelkimi wpływami zewnętrznymi i nauczyć się używać moich władz w ich najszerszym zakresie. – Przerwała na chwilę. – I wtedy popełniłam błąd.

– Jaki błąd?

– Potrafiłam przewidzieć, że jeśli mała uszczelka nie zostanie wymieniona, statek przestanie funkcjonować. I pozwoliłam im podsłuchać, jak mówiłam to Nibyżółwiowi. Pewnie pamiętasz, on czcił mnie prawie jak bóstwo, więc zaraz zaczął nalegać, aby ich mechanicy naprawili uszkodzoną uszczelkę. Gdy przekonali się, że naprawdę jest pęknięta, powiedzieli nam, że sprowadzenie tej części zajmie kilka tygodni, ponieważ ich statki działają na innej zasadzie. A że moje zdolności były niedojrzałe, nie zdołałam zajrzeć dość daleko w przyszłość, by przekonać

się, że owa część nigdy nie nadejdzie. Więc im uwierzyłam.

– I uwięzili cię tutaj? – zapytał Lodziarz.

– Wyjaśnili, że to urządzenie ochronne i rzeczywiście tak jest

– odrzekła. – Bo zarówno ty, jak ja nie możemy przekroczyć pola.

– Znowu przerwała, jak gdyby przeszłość było o wiele trudniej przywołać, niż przyszłość. – Następnego ranka zrozumiałam, że jesteśmy więźniami. Ale ponieważ i tak nie interesowała mnie planeta Nibyżółwia, a wszelkie moje potrzeby były zaspokajane, zdecydowałam, że jest to miejsce równie dobre jak każde inne, by w nim dorosnąć i nabrać siły.

– Czemu pomogłaś Błękitnym Diabłom pozostać poza Demokracją? – zainteresował się. – Przecież nie mogą mieć dla ciebie większego znaczenia, niż miał Nibyżółw.

– Myślały i zapewne nadal myślą, że pomagam im w nadziei, iż pewnego dnia mnie uwolnią. Ale w rzeczywistości była to okazja do zbadania moich rosnących umiejętności – odpowiedziała Wyrocznia. – I nie kocham Demokracji. To Demokracja odebrała mnie moim rodzicom i próbowała zrobić ze mnie zwierzę laboratoryjne, które będzie wykonywało wszelkie rozkazy. I to Demokracja wysłała za mną tuziny łowców nagród, gdy uciekałam. Nie, wcale nie kocham Demokracji. – Spojrzała Lodziarzowi w oczy, ale znów wydawało się, że patrzy nie na niego, ale na czas odległy od niego o miesiące i lata. – Mam swoje plany co do Demokracji, Lodziarzu. Mam bardzo interesujące plany.

– A teraz myślisz, że gotowa jesteś urzeczywistnić je? – zapytał Lodziarz.

– Teraz stałam się dorosłą kobietą. Nie jestem już Penelopą Bailey, ani Wróżbiarką Nibyżółwia. Jestem Wyrocznią i nadszedł czas, by wyjść na Galaktykę.

– Co się stało z Nibyżółwiem?

– Umarł – odrzekła, obojętnie wzruszając ramionami. – W jaki sposób?

– Czemu cię to obchodzi?

– Jestem ciekaw – odpowiedział. – Nie wierzę, że nie potrafiłabyś utrzymać go przy życiu, gdybyś tego chciała.

Uśmiechnęła się uśmiechem, który mógłby być pociągający, gdyby nie był tak zimny i daleki.

– Jesteś bardzo spostrzegawczy, Lodziarzu.

– Czy po prostu znudziło ci się odbieranie boskiej czci?

– Którego boga nudzi odbieranie czci?

– W jaki sposób umarł?

– Obchodziło go tylko to, co mogę zrobić dla jego nic nie znaczącej rasy. Tylko o tym mówił, tylko o tym myślał, tylko na tym mu zależało. Bez przerwy nalegał, abym uciekła i wróciła wraz z nim na jego rodzinną planetę. W końcu stał się bardzo męczący.

– I?

– I pewnego dnia jego serce przestało bić.

– Oczywiście ty to spowodowałaś.

– Lodziarzu, ty nadal nie rozumiesz – powiedziała, potrząsając ze smutkiem głową. – Ja nie powoduję, że coś się dzieje. Ja wybieram przyszłość, w której już coś się wydarzyło.

Zmarszczył brwi.

– To wygląda na sprzeczność wewnętrzną.

– Czemu?

– Bo wydarzenia nie mogły już nastąpić, gdy patrzysz w przyszłość.

Wyglądała na rozbawioną.

– Być może tak to wygląda z twojej perspektywy. Ale przecież ty jesteś zaledwie Człowiekiem.

Podniosła lewą rękę nad głowę, trzymała ją tak przez jakieś pięć sekund, a potem opuściła.

– I jaką przyszłość wybrałaś w tej chwili? – zapytał.

– Na dzisiejszą noc sprowadzam całe roje możliwych przyszłości

– stwierdziła. – Nie mogę ci nic wytłumaczyć, gdyż przekraczałoby to twoją zdolność pojmowania.

– Wypróbuj mnie.

– Wolę cię wykorzystać, Lodziarzu. – Jak?

– Nadszedł czas, bym opuściła moje zamknięcie – powiedziała – Ty odegrasz w tym zasadniczą rolę.

– Nie, jeśli tylko zdołam. Zachichotała rozbawiona.

– Nie możesz się przeciwstawić, Lodziarzu. Właśnie dlatego jesteś tu, w tym miejscu i czasie.

Indianiec opuścił zaciemniony pojazd mniej więcej pół mili od ogrodzenia siedziby Wyroczeni, a potem cichaczem zaczął zbliżać się do skalistego nawisu, który uznał za najodpowiedniejsze miejsce, by dostać się do środka.

Zanim dotarł do podnóża skały, wyczuł czyjąś obecność. Wyciągnąwszy najcichszą ze wszystkich broni, pistolet laserowy, przykucnął i znieruchomiał, wytężając wzrok w ciemności i uważnie nasłuchując.

Nic nie zobaczył, niczego nie usłyszał, ale nie mógł pozbyć się wrażenia, że ktoś mu towarzyszy. Oczywiście mógł to być Błękitny Diabeł. Ale żaden Błękitny Diabeł nie musiałby się zachowywać tak cicho, chyba że już wyczuły Indiańca i polowały na niego. Ale wiedział, że jest zbyt dobry w swoim zawodzie, by tak szybko się zdradzić. To z pewnością był Gwizdacz, który wreszcie przedostał się na Hades.

Indianiec rozumiał, że w tej sytuacji musi skorzystać ze swej wizji peryferyjnej i dlatego po raz pierwszy od wielu dni zdjął przepaskę z oka. Przystosowanie się do nowego, szerszego pola widzenia zabrało mu chwilę, pozostał więc na miejscu przez kilka minut, dopóki nie uzyskał pewności, że to co ujrzy nie zdezorientuje go.

Nagle przestał wyczuwać czyjąś obecność, więc zwinnie jak kot wspiął się na skalisty nawis. To pozwoliło mu zobaczyć przeciwny kraniec zagrodzonego terenu, gdzie dwa uzbrojone Błękitne Diabły strzegły drogi dojazdowej, oczekując na zbliżające się pojazdy. Badały wszystkie auta i albo je przepuszczały, albo zawracały.

Rozpląszczył się na szczycie skały i następne kilka minut poświęcił na obserwację, dzięki czemu ustalił pozycje trzech kolejnych strażników. Wpatrywał się w cienie rzucane przez skrzydła budynku i pomniki, próbując wysledzić Gwizdacza, ale nie potrafił go znaleźć.

Wreszcie podpełzł do skraju nawisu. Wznosił się tylko o osiem, może dziewięć stóp ponad jednym ze stalowych dźwigarów, podtrzymujących kwarcowy dach. Ostrożnie opuścił się w dół, aż jego nogi znalazły się o dwadzieścia cali nad belką. A potem otworzył dłonie i łagodnie wylądował na dźwigarze.

Szedł po belce tak długo, póki cień nawisu skrywał go przed okiem każdego, kto mógłby przypadkowo spojrzeć w górę. Następnie wyciągnął z kieszeni szmatkę i wytarł nią twarz i dłonie, spocone wskutek wysiłku fizycznego w gorącej nocy Hadesu.

Nie chciał przechodzić po kwarcu nie wiedząc, jak duży ciężar dach jest w stanie udźwignąć, posuwał się więc dalej po belce, póki nie dotarł do załamania, oznaczającego, że znalazł się albo na krańcu dachu, albo też na skraju jednego z jego poziomów. Położył się na brzuchu i wychylił twarz nad brzegiem, szukając okna... Pięć stóp poniżej i dwanaście stóp na prawo od siebie ujrzał jedno z nich. Było o wiele większe niż typowe drzwi w budowlach dla ludzi.

Znajdował się w tej chwili około trzydziestu stóp nad ziemią. Ostrożnie opuścił się, aż stopami mógł dotknąć okna. Na oko zdawało się posiadać zawiasy, więc spróbował ostrożnie je nacisnąć. Przez chwilę stawiało opór, a potem rozwarło się do środka.

Zaczekał, by przekonać się, czy ktokolwiek z zaciemnionego pokoju nie podejrze do okna, by przekonać się, co się stało. Gdy po dwudziestu sekundach nikt się nie pojawił, wypuścił z rąk belkę, lekko wylądował na parapecie i wskoczył płynnie do pokoju. Następnie szybko zamknął okno za sobą.

Pokój miał kształt trójkąta równobocznego, około piętnastu stóp z każdego boku i z dziesięć wysokości. Nie było w nim żadnego umeblowania, a czemu miał służyć, Indianiec nie zdołał określić.

Pośrodku stały dwa z grubsza ociosane słupy, po sześć stóp wysokie i oddalone od siebie o pięć stóp. Przyjrzał się im przelotnie, lecz po co je tu postawiono, nie miał pojęcia.

Zwrócił więc uwagę na drzwi. Gdy do nich podszedł, nie odsunęły się, nie potrafił też znaleźć klamki ani zamka komputerowego. Wreszcie wyciągnął dłoń i pchnął je, one zaś ruszyły do góry tak szybko, że ze zdumienia odskoczył.

Znowu wyjął swój pistolet laserowy, gotów spopielić każdego, kto zauważyłby otwierające się drzwi, lecz gdy wyszedł na korytarz, rozszerzający się i zwężający tak bezsensownie, jak ulice w sektorze Błękitnych Diabłów w Quichancha, przekonał się, że jest tam zupełnie pusto.

Gdy ruszył korytarzem w lewo, drzwi zatrzasnęły się za nim. Zaraz

dotarł do ślepego końca, nie minąwszy po drodze żadnych drzwi, wind powietrznych ani schodów. Zawrócił własnym tropem, minął pokój, przez który dostał się do środka, i skręcił w prawo. Wreszcie trafił na pochylnię, prowadzącą na niższy poziom.

Poszedł nią ostrożnie, póki nie usłyszał przed sobą głosów. Przykucnął, trzymając broń w gotowości. Rozpoznał jeden z gardłowych dialektów Błękitnych Diabłów, gdy zaś przez całą minutę nie zbliżyły się ani nie ucichły, zaczął znów schodzić pochylnią.

Znalazł się w wielkim pokoju z wieloma oknami, pełnym dziwacznych mebli. Były tam hologramy i malowidła, których nie mógł wymyślić nikt przy zdrowych zmysłach oraz fotele, zbudowane nie tylko dla Błękitnych Diabłów, ale także dla wielostawowych Lodinitów oraz jakichś słoniowatych istot, których bliższe określenie przekraczało jednak granice jego wyobraźni. W jednym z rogów pokoju na holoeckranie niepokojąco błyskał wzór, złożony z różnych odcieni szarości, który, jak uznał Indianiec, musiałby wywoływać hipnotyczny efekt na każdym, kto zacząłby mu się przyglądać.

Usłyszał zbliżające się kroki, więc dał nura za jeden z olbrzymich foteli. W chwilę później z przeciwległego krańca pokoju wyłonił się Błękitny Diabeł, przeszedł przez środek i zniknął za drzwiami z lewej strony.

Indianiec wyprostował się, popatrzył na jedno i drugie wejście, wreszcie zdecydował się pójść w ślad za Błękitnym Diabłem.

Pozwolił mu wyprzedzić się o trzydzieści sekund, a potem ruszył za nim. Znalazł się w długim, krętym korytarzu z rzędem pozamykanych drzwi. Korytarz kończył się w następnym obszernym pokoju, wypełnionym komputerami i radiami miejscowej konstrukcji, obsługiwanymi przez cztery Błękitne Diabły.

Indianiec wiedział, że nie może przedostać się tamtędy nie zauważony i choć nie miał żadnych skrupułów co do zabijania każdego napotkanego Błękitnego Diabła, wątpił, czy zdoła tego dokonać, zanim któryś z nich uruchomi sygnał alarmu czy wezwie innych na ratunek. Tak więc zawrócił do pokoju, w którym ujrzał pierwszego Błękitnego Diabła, i wyszedł drugim wejściem.

Wyglądało, jakby miał znaleźć się w ślepych zaułku przed wielką, żółtą ścianą, ale gdy już miał zawracać, dostrzegł na prawo od siebie niesłychanie wąskie schody. Zakładając, że ktoś tak cenny jak Wyrocznia

nie mógłby mieszkać pod ziemią, zdecydował raczej pójść w górę, niż w dół.

Wspiął się po schodach, aż stanął na obszernym, nieregularnego kształtu podeście. Gdy zastanawiał się, co teraz począć, doleciał do niego zapach jedzenia dla Ludzi. Poszedł więc w tamtą stronę i znalazł się w małej kuchence, gdzie Błękitny Diabeł przyrządzał stek ze zmutowanej wołowiny i niedużą porcję sałaty.

Indianiec przysiadł w cieniu przyległego pokoju i czekał. Po paru minutach inny Błękitny Diabeł wkroczył do kuchni mijając go w odległości czterech stóp, wydał zwięzły rozkaz i odszedł. Błękitny Diabeł przygotowujący potrawy powiedział coś do jarzącej się kuli, unoszącej się w powietrzu przy ścianie i wkrótce potem trzeci Błękitny Diabeł, tym razem nie uzbrojony, pojawił się w kuchni, umieścił potrawy na tacy i zniknął za innymi drzwiami.

Indianiec zrozumiał, że jeśli ma pójść za Błękitnym Diabłem z tacą, musi przedostać się przez kuchnię. Wstał, wszedł do środka, raz zakaszłał, by zwrócić na siebie uwagę kucharza i wycelował w niego laserów pistolet.

– Nie ruszaj się – powiedział cicho Indianiec. Błękitny Diabeł wlepił w niego wzrok, ale się nie ruszył.

– Gdzie jest Wyrocznia? – zapytał Indianiec. Błękitny Diabeł nie odpowiedział.

– Gdzie jest Wyrocznia? – zapytał Indianiec. – Słyszałeś mnie. Gdzie ją trzymacie?

Błękitny Diabeł wybełkotał coś niezrozumiałego.

– Och, gówno! – mruknął Indianiec. – Nie udawaj, że nie potrafisz mówić tak, żebym cię zrozumiał.

Błękitny Diabeł znów odezwał się i znów Indianiec nie zdołał pojąć z tego ani słowa.

Rozejrzał się po kuchni, dostrzegł coś, co wyglądało jak na wpół otwarta spiżarenka, więc trzymając bez przerwy na muszce Błękitnego Diabła podszedł do niej i otworzył drzwi.

– Do środka – powiedział, nakazując gestem Błękitnemu Diabłu, by wszedł do spiżarki.

Błękitny Diabeł patrzył na niego, jakby nic nie rozumiał.

– Nie mam czasu do stracenia! Ruszaj się i to już!

Błękitny Diabeł nadal stał nieruchomo, Indianiec wyciągnął więc dłoń i

chwycił go za rękę. Ten natychmiast drugą ręką sięgnął mu do gardła.

Indianiec kopnął go w staw kolanowy, a potem rąbnął pistoletem w głowę. Błękitny Diabeł upadł bezwładnie, więc nie zadając sobie trudu sprawdzenia, czy jest żywy, czy martwy, zaciągnął go do spiżarki, wepchnął do środka i zamknął za nim drzwi. Indianiec wycelował jeszcze pistolet laserowy w zamek komputerowy, aby spalić jego pamięć. Ale gdy pociągnął za spust, nie ukazał się żaden promień.

Zbadał pistolet, przekonał się, że uderzenie, którym zwałił Błękitnego Diabła, zerwało połączenie z zasilaniem, więc wrzucił broń do szuflady. Następnie, zdając sobie sprawę z tego, że Błękitny Diabeł niosący tacę zniknął mu z oczu minutę temu, popędził za nim przez drzwi.

Korytarz, w którym się znalazł, był względnie prosty, wkrótce jednak stał się szeroki jak pokój. Wreszcie ostro zakręcił, a gdy Indianiec wychylił głowę za róg, ujrzął pięć uzbrojonych Błękitnych Diabłów, strzegących drzwi.

– To musi być tutaj – mruknął.

Odczekał minutę, potem drugą, by przekonać się, czy Błękitny Diabeł z tacą wynurzy się ze strzeżonego pokoju, ale nikt się nie pojawił. Oczywiście, rozumował, mógł przekazać tacę jednemu ze strażników i odejść inną drogą. Cały szereg korytarzy prowadził zarówno w lewo, jak i w prawo, on zaś nie miał sposobu, by przekonać się, co się tu wydarzyło. Było nawet możliwe, że te Błękitne Diabły strzegą czegoś innego, a ten, którego śledził, nadal niesie dla niej pożywienie. Ale wątpił w to. Jeśli nawet się nie mylił, będzie musiał i tak załatwić wszystkie pięć Błękitnych Diabłów, zanim znów wyruszy na poszukiwania... Ale w tym wariacko zbudowanym domu nie strzeżono niczego innego, nawet centrum łączności. Wydawało się więc prawdopodobne, że to właśnie Wyroczeni pilnują.

Indianiec uznał, że nadszedł czas, by poddać próbie swą strategię.

Wydobył pistolet dźwiękowy i odsunął bezpiecznik. Następnie wolną ręką sięgnął do kieszeni, wyciągnął ziarna alfanelli, które polecił Broussardowi skonfiskować w Quichancha, włożył je między zęby i zgryzł z całej siły.

– Już sforsowali ogrodzenie – oświadczyła Wyrocznia, spoglądając nie widzącym wzrokiem w bezkresną przestrzeń.

– Obaj? – zapytał Lodziarz.

– Tak. – Odwróciła się do niego i uśmiechnęła. – Wszystko zaczyna owocować.

– Rozumiem, że i ja jestem częścią planu?

– W pewnych wariantach tak. W innych nie. – Jak uważasz, co zrobię?

– W żadnej z przyszłości, które mogę widzieć, nie odpowiadam na to pytanie – powiedziała z uśmiechem.

Wyciągnął cygaretkę.

– Pozwolisz, że zapalę?

– Nie, nie pozwolę.

– Trudno – odrzekł, zapalając ją.

– No, no – parsknęła, nadal rozbawiona. – Przeciwwstawieś mi się.

Czy teraz czujesz się lepiej, Lodziarzu?

– Niespecjalnie.

– Ale nie boisz się mnie?; – Niespecjalnie.

– A powinienes.

Lodziarz wzruszył ramionami.

– Być może.

– Czy wiesz, że przez całe życie bałam się tylko jednego człowieka?

– Kogo? – Ciebie.

– Pochlebiasz mi.

– To było dawno temu – stwierdziła Wyrocznia. – Teraz widzę cię i nie czuję strachu. – Spojrzała na niego, wreszcie zwróciwszy wzrok na teraźniejszość. – Mogę tobą tylko pogardzać.

– Nie czujesz do mnie nienawiści? – zapytał.

– Nie. Aby czuć nienawiść do kogoś, trzeba mieć dla niego respekt. Albo chociaż obawiać się szkód, jakie może wyrządzić.

– I uważasz mnie za nieszkodliwego?

– Tak. – Przerwała, a potem odezwała się ponownie. – Nawet biorąc pod uwagę materiał wybuchowy, który ukryteś w sztucznej nodze, uważam cię za nieszkodliwego.

– Wiesz o nim?

– Wiem wszystko – odparła. – Czyż nie jestem Wyrocznią?

– Jesteś Wyrocznią uwięzioną przez pole siłowe – stwierdził Lodziaz.

– Jak możesz mnie powstrzymać, jeśli postanowię w tej chwili zdetonować materiał wybuchowy?

– Lodziazu, jesteś stary, i masz sterane serce. Jeśli spróbujesz zdetonować materiał wybuchowy, poczujesz w sercu rozdzierający ból, który ci je rozerwie, i umrzesz. – Przyjrzała mu się uważnie. – Już w tej chwili bije szybciej, już pompuje ci krew z niebezpieczną częstotliwością. W wielu wariantach przyszłości nawet nie będziesz zdawał sobie z tego sprawy. Ale – dodała, robiąc dwa kroki w prawo – jeśli przesunę się tutaj, istnieje przyszłość, w której odczuwasz ostrzegawczy ból, prawda?

Lodziaz poczuł ostry ból w klatce piersiowej. Z trudem łapał oddech i miał wrażenie, że coś go przytłacza. Próbował ukryć swą reakcję, ale nie potrafił.

– Widzisz? – powiedziała z uśmiechem zadowolenia. – Istnieje jedna przyszłość na miliard, w której z powodzeniem detonujesz materiał wybuchowy, lecz ten ból nie ustępuje. Staje się nie do wytrzymania i w tej przyszłości, tuż przed śmiercią, zdajesz sobie sprawę, że to, co ci powiedziałam, jest prawdą.

Ból wreszcie zaczął zanikać, a twarz Lodziarza przybrała zdrowy kolor. Odetchnął głęboko i oparł się o drzwi, aby nie upaść.

– Czy mogę zadać ci pytanie?

– To właśnie robi Wyrocznia: odpowiada na pytania.

– Jak, u diabła, zdołali cię utrzymać w zamknięciu? Czemu twój dozorca nie uległ w odpowiednim momencie atakowi serca lub udarowi?

– Bardzo starannie dobrali moich dozorców – odrzekła. – W żadnej przyszłości, którą zdołałam sobie wyobrazić, ani jeden z nich nie cierpiął na jakiegokolwiek bóle czy choroby w stopniu zapewniającym mi wolność.

– W jaki sposób cię karmią? – spytał Lodziaz. – Z pewnością muszą w tym celu wyłączać przynajmniej część pola siłowego.

– Maleńką część – odparła. – Zobaczysz to za chwilę. – Podniosła głos. – Możesz wejść.

W tej samej chwili pojawił się Błękitny Diabeł, niosący tacę zjedzeniem, postawił ją na podłodze tuż przy polu siłowym, a potem wyszedł. W chwilę później przez interkom rozległ się melodyjny dźwięk,

Penelopa zaś odsunęła się aż pod samą ścianę. Słychać było szum energii statycznej, gdy część pola siłowego, nie większa niż na stopę kwadratową, znikła na poziomie podłogi. Penelopa podeszła, uklękła, bardzo ostrożnie pociągnęła tacę do siebie. W chwili, gdy ta przesunęła poza linie na podłodze, znów odezwała się energia statyczna i nagrany głos Błękitnego Diabła poinformował, że pole jest ponownie nieprzekraczalne.

Wyrocznia odniosła tacę na stół i postawiła ją.

– Widziałeś? – zapytała.

– I od ilu lat nie miałaś żywej istoty po twojej stronie pola?

– Od nieszczęśliwego zgonu Nibyżółwia.

– Przez cały ten czas nie kontaktowałaś się z Człowiekiem?

– Nie. Z nikim. – Zastanowiła się przez chwilę. – No, to nie jest pełna

prawda. Kiedyś miałam lalkę, ale rozleciała się cztery lata temu.

Lodziarz próbował sobie wyobrazić osiemnastoletnią Wyrocznię zabawiającą się lalką, ale nie potrafił. Natomiast bez żadnej trudności wywołał obraz osiemnastoletniej Penelopy Bailey, tulącej do siebie dla pociechy lalkę.

– Nadal żal mi ciebie, Penelopo – oświadczył. – To nie twoja wina, że zostałaś pobłogosławiona czy przeklęta i obdarzono cię takimi niezwykle zdolnościami, i nie jest twoją winą, że Demokracja nie wiedziała, jak się z tobą obchodzić. I zapewne nie jest nawet twoją winą, że Błękitne Diabły uwięziły cię tu przez wszystkie te lata... Ale dlatego, iż jesteś tym, kim jesteś, nie można pozwolić, abyś znalazła się na zewnątrz. Jeśli nawet nie można cię zabić, to można cię powstrzymać.

– Snuj swe bohaterskie marzenia, Lodziarzu – zareplikowała. – Nie możesz mnie skrzywdzić.

Nagle zrobiła w tył zwrot, stanęła twarzą do ściany i przez chwilę trwała napięta. A potem znów odwróciła się do niego.

– Komu pomagałaś tym razem? – zapytał Lodziarz.

– Nikomu, kogo byś znał – odparła. – Dzisiejszej nocy wszystko się prawie rozstrzygnie. Mam inne sprawy, których muszę dopilnować.

Jej obojętność rozwiła się, a zastąpiła ją pogardliwa mina.

– Głupiec! – zawołała. – Czy on uważa, że to zmniejszy moją zdolność posłużenia się nim?

– O kim ty mówisz? – zapytał Lodziarz.

– O Jimmym Dwa Pióra. – Gdzie on jest?

– Zbliża się i myśli, że może wprowadzić mnie w zamroczenie, robiąc to samo ze sobą. – Zwróciła się do Lodziarza. – Jego umysł rozplynął się... ale przecież ja nie czytam w umysłach. Ja widzę przyszłość.

– Rozgryź ziarna? – zainteresował się Lodziarz. – Jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie.

– Ma znaczenie – sprzeciwił się Lodziarz. – Teraz nie wie, jaki zrobi następny krok...

– Ja będę wiedzieć! – warknęła Wyrocznia.

– Myślałem, że widzisz miriady przyszłości i manipulujesz wydarzeniami, aby uzyskać tę jedną, której pragniesz. Jak możesz manipulować człowiekiem, który w tej chwili ma inteligencję owada?

– Po to tu jesteś, Lodziarzu – odrzekła.

– Ja?

– Jeśli ja nie będę mogła go powstrzymać, ty to zrobisz.

– Masz zachwycającą imaginację, Penelopo.

– Ja niczego sobie nie wyobrażam, Lodziarzu – odparła Wyrocznia. – Ja przewiduję wydarzenia.

– A więc to przewidziałaś mylnie – stwierdził Lodziarz. – Jeśli on zdoła cię zabić, nie kiwnę palcem, by mu przeszkodzić.

– Zrobisz to, co jest ci przeznaczone.

Lodziarz już miał odpowiedzieć, gdy otworzyły się drzwi i do pokoju wpadł Indianiec. Był rozczochrany, wzrok miał dziki. W jednej dłoni trzymał pistolet dźwiękowy, w drugiej ociekający krwią nóż. – Kim jesteś? – zapytał Lodziarza głuchym głosem. – Jestem przyjacielem – odpowiedział Lodziarz. Indianiec wlepił w niego spojrzenie, niczego nie pojmując.

– Obaj pracujemy dla Trzydzieści Dwa – kontynuował Lodziarz.

– Tego skurwysyna! – wrzasnął Indianiec. – Najpierw zabiję ją, potem jego!

– Mów ciszej. Indianiec zachichotał.

– Czemu? Zabiłem wszystkie Błękitne Diabły w holu. Lodziarz zerknął na Wyrocznię, która patrzyła na Indiańca z uśmiechem rozbawienia.

Nie jesteś zaniepokojona, pomyślał Lodziarz. Ten cholerny szajbus stoi tuż przed tobą, chce cię zabić, a ty myślisz, że to zabawne. Więc nie o niego chodzi.

Indianiec odwrócił się twarzą do Wyroczni.

– Czemu szczerzysz zęby, moja pani? – wybełkotał. – Myślisz, że żartuję?

– Nie, Jimmy Dwa Pióra – odpowiedziała pogodnie. – Wiem, że nie żartujesz.

Podniósł pistolet, wycelował go między jej oczy, a potem opuścił.

– Pić mi się chce – zawiadomił.

– Jest woda na głównym piętrze – powiedziała Wyrocznia.

– Widzę wodę na stole tuż koło ciebie – powiedział Indianiec. Zaczął się do niej zbliżać.

– Nie! – krzyknął Lodziarz, ale było za późno.

Indianiec wpadł na pole siłowe, wrzasnął i odbił się od niego jak gumowa piłka. Walnął w ścianę, okręcił się w miejscu i zwałił bezwładnie u stóp Lodziarza.

Lodziarz ukląkł przy nim i pomacał puls. Galopował prawie dwukrotnie szybciej niż normalny.

– O co w tym wszystkim chodzi? – zapytał, podnosząc wzrok na Wyrocznię.

– Nie rozumiem cię – odrzekła.

– Czemu pozwoliłaś mu przedostać się aż do tego pokoju i zabić wszystkie te Błękitne Diabły tylko po to, aby skończył przedstawienie w ten sposób?

– To były tylko Błękitne Diabły – odrzekła z obojętnym wzruszeniem ramion.

– Myślałem, że potrzebujesz go, aby się stąd wydostać – nie ustępował Lodziarz.

– Myliłam się.

Zbyt gładko to mówisz, Penelopo, pomyślał Lodziarz. Wiedziałaś, że on tu przyjdzie i wiedziałaś, że nie może cię zabić. To znaczy, że wszystko idzie zgodnie z planem... Ale jakież, u diabła, plan wymaga, aby szalenciec leżał nieprzytomny u moich stóp?

– Wyglądasz na zakłopotanego, Lodziarzu – powiedziała. W jej oczach czaiło się znów rozbawienie, a także coś więcej: lekceważenie. – Jestem – przyznał. – Ale rozwiążę tę zagadkę. – Jeśli tego dożyjesz.

– To samo można powiedzieć o tobie – odgryzł się Lodziarz. – Ja lubię żyć, Lodziarzu. Mogę po prostu żyć wiecznie.

– Nie zgłaszam sprzeciwu – stwierdził Lodziarz. – Tak długo, jak zostajesz po tamtej stronie pola siłowego.

Zapatrzyła się w niego ze zdziwioną miną.

– Zastanawiam się...

– Nad czym się zastanawiasz?

– Urodziłam się w Demokracji, ty zaś na Wewnętrznej Granicy. Mam dwadzieścia trzy lata, ty jesteś po sześćdziesiątce. Nie wiem niczego o twojej przeszłości, ty niczego o mojej przyszłości. Nie mamy ze sobą nic wspólnego, prócz naszej wrogości. Szansę, że dwoje ludzi takich jak my spotka się choćby raz przez całe życie, są niewyobrażalnie małe. – Przerwała. – Dlaczego nasze losy tak się splotły? Nad tym się zastanawiam.

– Nie wiem – przyznał Lodziarz.

– To ciekawe, prawda? – zadumała się Penelopa.

– Gdybym nigdy nie dowiedział się, że istniejesz, byłbym całkiem szczęśliwy.

– Szczęście nie jest przeznaczone ani tobie, ani mnie, Lodziarzu – odrzekła. – A jeśli chodzi o wiedzę, że ja istnieję, wkrótce więcej Ludzi, niż

potrafisz sobie wyobrazić, dowie się o tym.

– Nie, jeśli zdołam temu zapobiec.

– Ach, przecież nie możesz – powiedziała z rozbrajającym uśmiechem. – Możesz jedynie stać tutaj bezradnie i czekać, co się wydarzy.

Nie raczył na to odpowiedzieć, więc tylko patrzyli na siebie w milczeniu.

– Odsuń się na bok, Lodziarzu – powiedziała wreszcie. – Blokujesz drzwi.

Odwróciwszy się ujrzał stojącego w wejściu nie uzbrojonego Praeda Tropo. A potem Błękitny Diabeł wpadł do pokoju, a tuż za nim wszedł Chandler, popychając go małym pistoletem.

– Mendoza! – zawołał Chandler. – Co ty tu, u diabła, robisz?

– Wyjaśnię za chwilę – powiedział Lodziarz. – Czy za tobą są jakieś Błękitne Diabły?

Chandler pokręcił głową.

– Wszędzie tylko trupy. Czy to była twoja robota?

– Jego – odrzekł Lodziarz, pokazując ciągle nieprzytomnego Indiańca.

– Kto to taki? – Jimmy Dwa Pióra. Gwizdacz zmarszczył brwi.

– Indianiec? A co, u diabła, on robi na Hadesie?

– Wynajęto go, by zabił Wyrocznię.

– No cóż, nie wygląda na to, aby stanowił wielką konkurencję.

Popchnął Praeda Tropo o parę stóp naprzód, potem kazał zamknąć się drzwiom.

– A po co on tutaj? – spytał Lodziarz, robiąc gest w stronę Błękitnego Diabła.

– Oglądał ciała w chwili, gdy pokazałem się na tym piętrze – odrzekł Chandler. – Przyszło mi do głowy, że mogę potrzebować tarczy, więc zaproponowałem, by mi towarzyszył. – Odwrócił się w stronę Wyroczni. – Czy to ta, której szukałeś?

– To jest Penelopa Bailey, tak – odpowiedział Lodziarz.

– Co to za linia na podłodze? Pole siłowe?

– Tak. Skąd wiedziałeś?

– Wiedziałem, że trzymają ją jako więźnia – rzekł Chandler. – Nie wiedziałem, w jaki sposób do tej właśnie chwili. Słyszałem, że ciągle

jeszcze nie potrafimy skonstruować pól siłowych. Ale wydawało mi się też, że nikt nie chce przekroczyć tej linii. – Przerwał. – Czy to właśnie przytrafiło się Indiancowi?

Lodziarz skinął głową.

– Jest naćpany ziarnami alfanelli i wlaź prosto na nie.

– No cóż, oczyścił mi drogę wprost do tych drzwi – zauważył Chandler.

– Też byś potrafił, gdybyś musiał.

– Wątpię – rzekł Chandler. – Nie wiem, jak ich podszedł, ale na drodze, którą przebyłem, byłbym zupełnie bezradny. – Przerwał. – Ale jeszcze nie powiedziałaś mi, po co tu jesteś.

– Nowe rozkazy – zawiadomił go Lodziarz.

– O? i

– Czy możesz ją zabić?

– Owszem – stwierdził Chandler. – Ale jeśli niepokoi cię pole siłowe, widziałem piekielnie wielki generator o dwa piętra niżej. Jeśli to on zasila pole, potrafię go wyłączyć.

Lodziarz popatrzył na Wyrocznię, która znowu spoglądała w czas i przestrzeń.

– Nawet nie wiesz, jak ono działa – zauważył.

– Nie wiem, jak działa pole siłowe – zgodził się Chandler. – Ale wiem, jak działa generator. Kiedyś miałem statek Kobolian, na którym był bardzo podobny.

Praed Tropo dał chyłkiem parę kroków do przodu, oddalając się od Chandlera, aż wreszcie Lodziarz zwrócił się do Błękitnego Diabła.

– Stój w miejscu – rozkazał. – Nie chcę cię zabijać, ale zrobię to, jeśli będę musiał.

Błękitny Diabeł zatrzymał się, a potem powoli wycofał, aż znów znalazł się obok Chandlera.

– Zrobmy więc to, co mamy zrobić – stwierdził Chandler. – Te ciała zapewne kiedyś ktoś zauważy.

– I to niedługo – wtrąciła Wyrocznia bez cienia niepokoju.

– No więc? – powiedział Chandler.

– Nadal próbuję to wszystko powiązać – oświadczył Lodziarz.

Myślałem, że już mam... ale do czego był ci tu potrzebny Praed Tropo? – zastanawiał się gorączkowo.

– Mendoza, nie mamy do dyspozycji całej nocy – ponaglił

zniecierpliwiony Chandler.

– Daj mi jeszcze minutkę – warknął Lodziarz. Odwrócił się i spojrzał na Wyrocznię. – Dobrze. Tylko on może cię uwolnić, a Indianiec był ci potrzebny, żeby przetrzeć mu drogę. Ale dlaczego ja? I dlaczego Praed Tropo?

Uśmiechnęła się do niego zagadkowo, ale nie odpowiedziała.

– Nie mogła zaplanować tego wszystkiego – ocenił Chandler. – Nawet jeśli zaplanowała, że Indianiec będzie żuł ziarna, jak mogłaby zaplanować to, co robi, gdy tylko usmaży sobie mózg?

– Ona nie planuje wydarzeń – wyjaśnił Lodziarz. – Ona wybiera przyszłość, w której wszyscy czterej znajdujemy się równocześnie w tym pokoju... Ale nadal nie wiem, czemu ona...

Nagle Praed Tropo wykonał gwałtowny ruch, Chandler zaś, który miał uwagę zwróconą na Wyrocznię, zaklął i chwycił się za prawą rękę, tryskającą krwią z miejsca, gdzie jego prawie odcięta dłoń zwisiała beużytecznie.

– Zabij tego skurwysyna! – warknął Chandler, gdy Praed Tropo odwrócił się twarzą do Lodziarza, trzymając nóż, który jakoś zdołał ukryć pod tuniką.

– Stój! – powiedział Lodziarz, wyciągając broń i celując z niej do Błękitnego Diabła.

Praed Tropo zawahał się na moment, a potem stanął nieruchomo.

– Rzuć to – kontynuował Lodziarz, gdy Chandler, przyklękawszy, próbował zatamować upływ krwi. Zerknął przelotnie na Wyrocznię, która przyglądała się wypadkom z nienaturalnym spokojem.

Nie jesteś w najmniejszym stopniu zdziwiona. Wiedziałaś, że to się wydarzy, pomyślał Lodziarz. Zmarszczył brwi i znów skierował uwagę na Praeda Tropo. Ale to nie ma żadnego sensu. Masz przed sobą dwóch najlepszych zabójców w Galaktyce, i jeden z nich jest półmartwy, a drugi okaleczony. Po co?

Chandler oderwał kawałek swej kurtki i owijał nim rękę, przez cały czas klnąc pod nosem.

Dobrze. Więc nie jest martwy. Chcesz, aby żył, ale był niedołączny. Dlaczego? Co przeoczyłem?, zastanawiał się Lodziarz.

– Daj mi jeszcze chwilę, a zabiję go sam! – wychrypiął Chandler, opatrując rękę.

– Zabić? – wymamrotał głuchy głos za Lodziarzem. – Zabić? Lodziarz

zrobił krok do tyłu, potem drugi i ujrzał, jak Indianiec

chwajnie podnosi się na kolana.

– Zabić – powtórzył, jakby to słowo straciło dla niego całkowicie znaczenie. Żrenice miał rozszerzone, minę wściekłą.

– Jimmy, zostań na miejscu – powiedział Lodziarz.

– Zabić – wymamrotał Indianiec, wstając niepewnie na nogi. – Jesteśmy twoimi przyjaciółmi – oświadczył Lodziarz, próbując

bez powodzenia nadać swemu głosowi ton kojący i uspokajający.

– Nie mam przyjaciół – szepnął Indianiec. – Nie znam cię! Nagle jego wzrok napotkał Chandlera. – Ale znam jego. On chce obrabować mnie z mojego zamówienia. – Sięgnął po swój pistolet dźwiękowy. – No więc nie możesz tego zrobić, Chandler! – wrzasnął. – Byłem tu pierwszy! Ona jest moja!

Zacisnął palce na kolbie pistoletu i zaczął podnosić rękę, by wycelować w Chandlera.

– To nieuczciwe! – mruczał zająkliwie. – Nie pozwolę ci, byś mnie obrabował!

Lodziarz wymierzył broń w Indiańca.

– Zatrzymaj się albo zginiesz – powiedział groźnie.

– Do diabła, ona jest moja! – upierał się Indianiec, a łzy zaczęły zalewać mu twarz. – Jaja znalazłem, nie ty! Ja zabiłem te wszystkie Błękitne Diabły w holu, nie ty! Nie możesz okraść mnie z tego, co moje!

Indianiec, chwając się jak pijany, niepewnie wycelował broń w Chandlera. Równocześnie palec Lodziarza zaczął zaciskać się na spuście.

I wtedy ostatni kawałek łamigłówki wskoczył na miejsce.

Lodziarz nie mógł powstrzymać swej broni, by nie wystrzeliła, ale w ostatniej mikrosekundzie szarpnął dłonią i w chwili, gdy Indianiec zabijał Chandlera, promień lasera Lodziarza trafił nieszkodliwie w ścianę.

– Nie! – krzyknęła Wyrocznia, gdy Chandler zwał się twarzą w dół na podłogę.

Lodziarz zaś wycelował z pistoletu między oczy Indiańca i strzelił ponownie. Potem zwrócił się do Praeda Tropo.

– Bądź cicho i nie rób niczego głupiego – ostrzegł – a możesz po prostu przeżyć to wszystko. – Przerwał. – Miałem rację, prawda,

Penelopo?

Skinęła głową.

– Miałeś mnóstwo przyszłości do uporządkowania – kontynuował Lodziarz. – Potrzebny był ci Gwizdacz, gdyż tylko on wiedział dość o generatorze, by go wyłączyć. Ale Indianiec musiał przybyć pierwszy, ponieważ nie było żadnej możliwości, by Gwizdacz mógł nie zauważony zbliżyć się do tego pokoju.

– Tak – powiedziała.

– Gdybym tego nie zrozumiał, co by się stało? Zabiłbym Indiańca, by ocalić Chandlera; zakładam, że taką wyznaczyłaś mi rolę, a wtedy Praed Trope zabiłby mnie?

Kiwnęła głową ze wzrokiem znów nie widzącym, badającym jeszcze więcej przyszłości.

– Ale jestem tłustym, kulawym starcem – kontynuował Lodziarz. – Nigdy nie zdołałbym się stąd wydostać. Tego właśnie nie mogłem zrozumieć: czemu Praed Trope musiał być z nami w pokoju, czemu on albo jakiś inny Lorhn nie mógłby po prostu załatwić mnie później.

– Nie pojmuję – powiedział Błękitny Diabeł. Lodziarz zwrócił się do niego.

– Ty miałeś okaleczyć Chandlera, nie zabijając go. On był najniebezpieczniejszy z nas wszystkich: nawet nie władając jedną ręką znalazłby sposób, aby cię zabić. Ale musiałyby też wiedzieć, że nie uda mu się stąd wydostać samemu. Wobec tego mógł uwolnić tylko Penelopę, aby wybrała te przyszłości, w których we dwoje uciekają. – Znów spojrzał na Wyrocznię. – A gdy ty znalazłabyś się w bezpiecznej stąd odległości, on zaś myślałby, że zabiera cię do Trzydzieści Dwa, dostałby ataku serca. Mam rację?

– Udar mózgowy – odrzekła obojętnie. – Serce miał w znakomitym stanie.

– Praed Trope – powiedział Lodziarz – czy rozumiesz, co się teraz zdarzyło? To wszystko – objął szerokim gestem ciała Chandlera i Indiańca – wszystko, co miało tu miejsce, nastąpiło dlatego, że ona chciała uciec. Dlatego ja tu jestem, dlatego ty tu jesteś. Ty i ja nie jesteśmy wrogami... Tylko jej pionkami i niczym więcej.

Błękitny Diabeł wpatrzył się w Lodziarza, ale nie skomentował jego słów.

– Nie możemy pozwolić, by się wydostała... Ani teraz, ani nigdy.

Okrutna ironia losu uczyniła z niej to, czym jest, i czekają ponura przyszłość. Ale jest zbyt niebezpieczna, aby wypuścić ją na Galaktykę. Spójrz, czego zdołała dokonać, mimo że trzymacie ją uwięzioną.

– Nie – powiedział Praed Tropo. – Nigdy nie można jej uwolnić.

– Jesteś rozsądną istotą, Praed Tropo.

– Ale przyjdą po nią inni. Zostaną przysłani, by ją zabić, lecz ona będzie manipulować nimi, tak jak manipulowała nami i następnym razem może jej się udać.

– Dopilnuję, aby nie było żadnego następnego razu – odpowiedział Lodziarz.

– Jak możesz to zrobić?

– Powiem Trzydzieści Dwa, że ona nie żyje. Jeśli zamkniesz ją w całkowitej izolacji, nie będzie miał powodu, by kiedykolwiek podejrzewać, że go okłamałem.

– To zakłada, że pozwolę ci odejść – zauważył Praed Tropo.

– Nie masz powodu, by mnie tu zatrzymać – powiedział Lodziarz. – A jeśli spróbujesz, mam przy sobie urządzenie wybuchowe, które bez wahania zdetonuję. Rozwali ciebie, mnie i tę całą cholerną budowlę w diabły, ale ona znajdzie jakiś sposób, by przeżyć. Ja także wolalbym żyć. A ty nie?

Praed Tropo patrzył na niego przez długą chwilę.: – Możesz odejść w pokoju – zdecydował wreszcie.

– Dziękuję.

– Nie zdołasz opuścić tego terenu, jeśli cię nie aresztuję – kontynuował Błękitny Diabeł. – Załatwię ci eskortę. – Podeszedł do drzwi, a potem odwrócił się do Lodziarza. – Nie wychodź z pokoju do mego powrotu, inaczej nie mogę odpowiadać za twoje bezpieczeństwo.

– Rozumiem – powiedział Lodziarz za odchodzącym.

– Myliłam się – rzekła Wyrocznia, gdy zostali tylko we dwoje. – Myślałam, że jestem gotowa, by wyruszyć na Galaktykę, ale się pomyliłam. Powinna poczekać, aż moje zdolności dojrzeją jeszcze bardziej.

– Nigdy nie opuścisz tego pokoju, Penelopo. Uśmiechnęła się.

– W dniu, w którym będę gotowa, zrobię to. Nie doceniłeś mnie, gdy byłam małą dziewczynką, dzisiejszej nocy ja nie doceniłam ciebie. Myślę, że żadne z nas nie popełni ponownie tego samego błędu. – Westchnęła i

potrząsnęła głową. – Powinam to zobaczyć... Ale było tyle permutacji: co Indianiec robi i kiedy, gdzie stanie Chandler, kiedy zacznie działać Praed Tropo, w jakim momencie ocknie się Indianiec. – Nagle uśmiechnęła się. – Niemniej byłam bardzo bliska sukcesu. Jeszcze pół sekundy i byłby mój.

– Tak – przyznał Lodziarz.

– Następnym razem zaplanuję wszystko dokładniej.

– Nie będzie żadnego następnego razu.

– Dla ciebie być może nie – odparła pogodnie. – Jesteś zużyтым, bezsilnym starcem – przerwała. – Ale ja nadal jestem młoda. Każdego dnia rosnę w siłę, a tam na zewnątrz jest cała Galaktyka.

– Daj jej spokój – powiedział Lodziarz. Uśmiechnęła się do niego.

– Nie mogę, wiesz o tym. Patrę w przyszłość i widzę wielkie rzeczy, rzeczy, których nawet nie możesz próbować sobie wyobrazić. Pewnego dnia będę musiała wyjść stąd i dokonać ich.

Wrócił Praed Tropo z oddziałem sześciu Błękitnych Diabłów.

– Czy jesteś gotów, Mendoza? – zapytał. Lodziarz skinął głową i dołączył do nich.

– Lodziarzu! – zawołała za nim Penelopa. – Tak?

– Chcę ci podziękować.

– Za co? – zapytał zdziwiony.

– Że mnie zaskoczyłeś – wyjaśniła. – Człowiek powinien zawsze szukać nowych doświadczeń, a do tej pory nikt mnie nie zaskoczył.

– Mam nadzieję, że ci się to spodobało – odrzekł zgryźliwie.

– Nie – odrzekła z namysłem. – Nie zamierzam już kiedykolwiek dać się zaskoczyć.

Gdy Lodziarz opuszczał pokój, jej słowa zawisły w powietrzu jak złowieszczą chmura.

Table of Contents

[STRONA TYTUŁOWA.. 1](#)

[PROLOG.. 4](#)

[CZEŚĆ 1. 7](#)

[1. 8](#)

[2. 15](#)

[3. 24](#)

[4. 33](#)

[5. 42](#)

[6. 48](#)

[7. 57](#)

[8. 69](#)

[CZEŚĆ 2. 74](#)

[10. 81](#)

[11. 87](#)

[12. 96](#)

[13. 102](#)

[14. 108](#)

[15. 117](#)

[16. 123](#)

[17. 131](#)

[CZEŚĆ 3. 138](#)

[19. 145](#)

[20. 153](#)

[21. 161](#)

[22. 168](#)

[CZEŚĆ 4. 174](#)

[24. 186](#)

[25. 196](#)

[26. 202](#)

[27. 206](#)

[CZEŚĆ 5. 208](#)

[29. 213](#)

[30.219](#)

[31.224](#)

[32.228](#)